M.B. im. L. W. w Łodzi

- Potrzebne są zmiany radykalne str. 3
- Sprawdzają również anonimy str. 4
- Czy rozwiązać ligę? str. 12
- Szwajcarska droga do zamożności str. 13
- Wspomnienia Adama Ochockiego str. 16

Na początku była „Prasa" – dodatek nadzwyczajny

R.S.W. KSIĄŻKA PRASA RUCH

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 26 (1526) ROK XXX 27 CZERWCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Władze łódzkie wykazały dużo odwagi i optymizmu. W halach panował spory ruch. Westchnienie obok stoisk z butami. Nie tylko panie były zadowolone. Co zmienić w przyszłości? CZYTAJ STR. 7

Powiało wielkim światem

Foto: Grzegorz Gałasiński

Przewidziane zmiany w Kodeksie Pracy są szansą na zupełne zrewolucjonizowanie prawa pracy, unowocześnienie go i dostosowanie do wymogów reformy.

Otwarty rynek pracy

ANDRZEJ KAROLCZAK

Kodeks Pracy nam się zestarzał nieco — uchwalony w połowie lat siedemdziesiątych już wówczas wydawał się co bystrzejszym praktykom, a i niektórym teoretykom „prawem pobożnych życzeń" w wielu swych sformułowaniach przynajmniej. A że życie poszło na dodatek w nieco innym kierunku niż przewidzieli to autorzy, formułujący owe pobożne życzenia, tym bardziej wydaje się anachroniczny i nieprzystawalny do rzeczywistości. Niepokoić musi przeto zawężony zakres nowelizacji prawa pracy nakreślony jako punkt wyjścia do społecznych dyskusji i konsultacji.

Potrzebny jest nam wszystkim — pracodawcom i pracobiorcom — zupełnie nowy kodeks. Nie jestem fachowcem, nie zamierzam robić w tym tekście systematycznego wykładu. Parę uwag jakie nasuwa mi lektura kodeksu i innych przepisów prawa pracy oraz obserwacja życia społecznego nie pretenduje do wyczerpania tematu ani nawet do sformułowania konkretnych wniosków, konkretnych rozwiązań.

ZACZNIJMY OD PODSTAW

czyli bardzo ogólnych założeń, których w myśleniu nad prawem pracy nie uwzględniać nie sposób. Zaliczyłbym do nich cztery zasady, które — choć mogą być w pewnej mierze rozbieżne a nawet sprzeczne między sobą — , socjalistyczny prawodawca musi brać pod uwagę. Pierwsza — Zygmunt Szeliga nazywa „wolnością pracy" ograniczając ją tylko do pełnego prawa nawiązywania i rozwiązywania stosunku pracy między zainteresowanymi stronami, tj. pracobiorcami i pracodawcami. Rozumiem ją nieco szerzej o czym jeszcze w dalszej części artykułu. Druga zasada — to w pełni równoprawne stosunki między stronami, trzecia zasada — ma charakter zbyt ogólny żeby ją w tym artykule rozwijać, chodzi mi bowiem o zasadę socjalistycznego humanizmu w zastosowaniu do prawnych aspektów stosunku pracy, czwarta wreszcie — w odróżnieniu od poprzedniej — jawnie utylitarna - to takie sformułowania w prawie pracy, które w praktyce wspomagać będą wprowadzenie i stosowanie zasad reformy gospodarczej, a nie — jak to często dziś bywa — stanowić hamulec do reformy.

WOLNOŚĆ PRACY

W radiowej dyskusji nad reformą kodeksu wspomniany już Zygmunt Szeliga opowiada się za nieograniczoną swobodą w nawiązywaniu i rozwiązywaniu umów o pracę. Przed zwolnieniami mają chronić pracownika tylko takie okoliczności jak piastowanie funkcji z wyboru w samorządzie zakładowym, w związkach zawodowych i organizacji partyjnej oraz ochrona typu socjalnego, tj. dotycząca np. karmiących matek czy pracowników na dwa — trzy lata przed emeryturą. Natomiast rezerwuje Zygmunt Szeliga, jako uprawnienie zakładu, wyegzekwowanie przez pracodawcę ustawowego okresu wypowiedzenia bądź, w przypadku np. porzucenia pracy, określone sankcje finansowe, które spotkać mają pracownika za to jaskrawe złamanie dyscypliny. Także prawo zwolnienia pracownika za złą, mało efektywną i mało wydajną pracę oraz zwolnienie pracownika który przez zakład nie może być wykorzystany — po prostu przez najbliższe dwa, trzy czy cztery miesiące roboty dla niego nie ma.

Na pierwszy rzut oka widać, że Zygmunt Szeliga optuje za rozwiązaniem które prawa pracodawcy stawia jednak nad prawami pracownika, w imię dość niejasno rozumianego „dobra produkcji" czy „dobra niezakłóconego funkcjonowania" firmy tj. pracodawcy. Akurat z tym trudno się nie zgodzić, ale, ale znów — jak to bywa dotąd — pracownik nie jest równoprawnym partnerem zakładu. W tej pozycji uzależnienia utrzymują go dotychczasowe zróżnicowane sposoby rozwiązania stosunku pracy. Wiadomo że pełnię praw i przywilejów pracowniczych zapewnia oprócz przeniesienia służbowego, tzw. porozumienie między pracodawcami. Porozumienie, w którym pracownik wcale nie jest stroną, które zostaje zawarte nad jego głową niejako bez jego udziału!

Nieco gorszym sposobem rozwiązywania umowy o pracę jest porozumienie stron, tj. zakładu i pracownika. Jest to sposób nie zapewniający już pracownikowi w nowym miejscu pracy niektórych uprawnień. Zupełnie złym sposobem jest jednostronne wypowiedzenie choć przecież w całym prawie cywilnym jest to najnormalniejszy sposób rozwiązywania wszelkich umów, zresztą w samym brzmieniu tychże umów przewidziany! O zwolnieniu dyscyplinarnym nie mówmy, sprawa jest jasna. Co do porzucenia pracy, to mam na ten temat do wygłoszenia pogląd dość światoburczy, o czym za chwilę.

Myślę, że czytelnik zgodzi się ze mną, iż równość, komplementarność praw pracodawcy i pracobiorcy wymaga zastąpienia tych trzech sposobów rozwiązywania stosunku pracy jednym: rozwiązaniem umowy o pracę, po prostu.

Rzeczą „układających się stron" będzie, z czyjej inicjatywy nastąpiło rozwiązanie, jak długo

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Papasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1895. H-2.

Przegląd prasy

Smutne rozważania o tolerancji opublikował w tygodniku „KULTURA" (nr 24) Bogdan Suchodolski. Na wstępie podkreśla, że ludzie od dawna marzyli o harmonijnym i braterskim społeczeństwie, lecz rzeczywistość była i jest inna. W przeszłości rzadko tolerowano innowierców, czyli mniejszości religijne.

„W ciągu długich wieków europejskiej historii panował fanatyzm i nietolerancja, prześladowania i nawracanie siłą na obowiązującą religię. Prześladowani wygnańcy krążyli po Europie szukając schronienia, płonęły stosy, niszczono książki i myśl wolną. Zarliwość wiary wydawała się usprawiedliwieniem tych akcji. Czyż mogli nie nawracać pogan ci, którzy posiedli prawdziwą religię i ponoszą odpowiedzialność za wszystkich pozostających w ciemnocie błędu? Rezygnacja z takiej służby wobec pogan oznaczałaby lekceważenie moralnych obowiązków wynikających z posiadania prawdy".

Obecnie możemy stwierdzić, że na polu religijnym idea tolerancji w Europie odniosła na ogół trwałe zwycięstwo. Jest to zasługa wielu filozofów i pisarzy, którzy prowadzili długą walkę o jedność w różnorodności wyznaniowej. Nie udało się natomiast opanować namiętności politycznych. Toteż w stosunkach międzynarodowych i w obrębie poszczególnych państw nadal istnieje

NIETOLERANCJA POLITYCZNA

„Wyrażana dawniej w języku religijnym misja wobec pogan, zyskiwała — zwłaszcza w wieku XIX i XX — wyraz w języku historii. Misja cywilizowania świata, jak niegdyś misja nawracania pogan, stawała się wspólnym przekonaniem narodów Europy, uzasadniającym ich kolonialne podboje. W tych doświadczeniach rodziły się także i przekonania o wielkich historycznych misjach «wybranych» narodów Europy. (...) Ofiarami takiego posłannictwa stawała się Abisynia, a następnie Polska i narody Związku Radzieckiego, niszczone w wielkiej krucjacie prowadzonej dla obrony rzekomo prawdziwej kultury, jak przed wiekami nawracano na prawdziwą religię pogan. Nie wygasły do dziś takie ideologie. Koncepcja tzw. praw człowieka uczy rozróżniać narody lepsze i gorsze, dzielić ludzkość na te narody, które żyją w prawdzie i te, które trwają w błędach. Podobnie jak przed wiekami odróżniano posiadających religię prawdziwą i fałszywą religię pogańską. I jak wówczas ostrzem miecza wymuszano przyjęcie religii prawdziwej, podobnie dziś rakiety z jądrowymi głowicami mają uczyć organizacji prawdziwego społeczeństwa politycznego. Na tolerancję nie ma miejsca w tej szkole przemocy, jaką są nowoczesne krucjaty polityczne".

Sprawa tolerancji nawet w Piśmie Świętym postawiona jest w sposób dwuznaczny. Według ewangelistów Mateusza i Łukasza, Jezus miał powiedzieć: *„Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie"* (MT 12,30 i Łk 11,23). Zupełnie inną wersję słów Jezusa podał natomiast św. Marek: *„Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami"* (Mk 9,40). Nigdy chyba się nie dowiemy, jak było naprawdę. W każdym razie w strategiach działania politycznego większe wzięcie miała pierwsza wersja.

Pod koniec Bogdan Suchodolski zwraca uwagę, że wybór między tolerancją i nietolerancją nie jest wcale prostym wyborem. A musimy go dokonać. Dlaczego? *„Odmawiając zaangażowania się ani po stronie tolerancji, ani po stronie nietolerancji, opowiadamy się w gruncie rzeczy po stronie radykalnej tolerancyjności, zezwalającej na wszystko, co się dzieje czy dziać będzie. Zajęcie takiej pozycji jest «umyciem rąk» Piłata, który postanowił respektować wolę tłumu. Ale czy Piłat mógłby dziś być dla kogokolwiek wzorem?"* — pyta uczony.

Nietolerancja bardzo często w dziejach ludzkich hamowała postęp wiedzy. Ciekawy przypadek z tego zakresu przypomina w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 23) Wiesława Uczkiewicz. Pisze o narodzinach i zmierzchu tzw. nowej genetyki w Związku Radzieckim. Z artykułu wynika, że osławiony akademik Trofim Łysenko

MIAŁ DOBRE INTENCJE

Był uczniem Iwana Miczurina i kontynuował jego prace. Z czasem doszedł do wniosku, że nowe właściwości organizmu powstają pod wpływem środowiska i świadomej działalności człowieka. Odrzucił jednocześnie powszechnie przyjmowane założenie, że przede wszystkim geny, a nie środowisko, określają cechy danego osobnika. Koncepcja ta stwarzała ogromne nadzieje na szybki rozwój hodowli. Wystarczyło tylko zdobyć osobniki podatne na wpływy zewnętrzne. Uzyskiwano je drogą krzyżowania roślin odległych pod względem geograficznym i genetycznym. Wydawało się, że człowiek będzie mógł łatwo manipulować przyrodą i osiągać bajeczne plony.

W sierpniu 1948 roku Trofim Łysenko wystąpił na sesji Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych, której był prezesem, z krytyką uznawanej dotąd genetyki. Ogłosił, że nie jest niezgodna z faktami, idealistyczna i reakcyjna politycznie. Stanowczo stwierdził, że dziedziczenie cech nabytych jest „możliwe i konieczne". Po burzliwej dyskusji, trwającej osiem dni, członkowie Akademii uznali ten kierunek za jedynie słuszny w biologii.

Wkrótce zakazano głoszenia innych poglądów. A osoby nieprzejednane i niepoprawne poddano represjom. Wspomina te czasy pisarz Władimir Dudincew, z którym przeprowadziła rozmowę — specjalnie dla „Sił" — N. Zagalska.

„Jedna z głównych tez «naukowych» Łysenki była taka, że są gatunki, które »dialektycznie«, »skokowo« rodzą inne gatunki. Takim gatunkiem jest także kukułka. »Kto widział — pytanie to zadawał Łysenko na posiedzeniu Akademii Nauk poważnym akademikom — jak kukułka znosi jaja?» Nikt nie widział. »Dobrze, to ja wam powiem. Ona jajek nie znosi. A skąd się biorą kukułczęta?» Znowu wszyscy spoglądają ze zdumieniem. «Kukułczęta wysiaduje pliszka. Pliszka znosi jajeczko, z którego w wyniku jedności przeciwieństw, skokowo (tutaj nastąpił cały zestaw pseudodialektycznych terminów) wykluwa się kukułka»... Podobnie jak pliszka może zrodzić kukułkę, tak samo, zdaniem Łysenki, jedno drzewo może zrodzić inne".

Wielu wybitnych uczonych cierpiało z powodu Łysenki. Nie tolerowano bowiem klasycznych poglądów genetycznych. Obowiązywała jedna teoria, którą później zdemaskowano jako błędną i szkodliwą.

Władimir Dudincew dostrzega jeszcze dziś przejawy łysenkowszczyzny. Mówi on: *„W niektórych instytucjach naukowych dotychczas spotyka się recydywę »przeróbki« pszenicy jarej na ozimą i odwrotnie. Jest to albo szarlataneria, albo po prostu nieuctwo. Po drugie — łysenkowszczyzna jest sama w sobie szczególnym przypadkiem amoralnej praktyki bronienia na siłę swojego punktu widzenia. Łysenko jako pierwszy dostąpił zaszczytu opatrzenia jego nazwiskiem tego odrażającego zjawiska w nauce, z którym trzeba jeszcze walczyć. Zresztą nie tylko w nauce. (...) A przecież zgodnie z tym, co dyktują demokratyczne podstawy naszego społeczeństwa, jedną z głównych zasad życia powinna być jawność, a więc wolność wyrażania rozmaitych poglądów i wolność ich obrony. Sędzią w każdym sporze powinien być argument".*

Nie zawsze jednak racjonalne argumenty docierają do świadomości człowieka. Ludzie często postępują wbrew logice i własnym interesom. Świadczy o tym m.in. duże

SPOŻYCIE ALKOHOLU I TYTONIU

Wszyscy wiedzą, że picie alkoholu i palenie papierosów jest szkodliwe, lecz ogromna część ludzkości lekceważy wyniki badań naukowych i lekkomyślnie osłabia organizm. Jak wyglądają te sprawy w Polsce i innych krajach piszą w miesięczniku „POLITYKA SPOŁECZNA" (nr 5-6) Mieczysław Iwanek i Irena Topińska.

Najwięcej napojów alkoholowych spożywano w 1980 roku we Francji. Przeciętny obywatel wypijał tam rocznie 14,8 litrów (w przeliczeniu na 100-procentowy alkohol). Kolejne miejsce zajmowały: Hiszpania — 14,1, Włochy — 13,0, Republika Federalna Niemiec — 12,7 l, Węgry — 11,5 l, Polska znajdowała się dopiero na 19 pozycji (8,4 l).

Zaskakująco dalekie miejsce Polski wynika z niskiej konsumpcji wina i piwa. *„W r. 1983 przeciętny mieszkaniec naszego kraju wypijał 8,5 litra wina, a w tym samym czasie w produkujących pod tym względem krajach wskaźnik ten wynosił: we Francji 85, we Włoszech 91, w Portugalii 90. Spożycie wina w Polsce było również dużo mniejsze niż w pozostałych krajach RWPG, w których wypijano (w litrach na osobę rocznie): na Węgrzech 32, w Rumunii ok. 30, w Bułgarii 23, w ZSRR ok. 15, w Czechosłowacji 13,5; w NRD ok. 10".* W Polsce aż ponad 60 proc. łącznego spożycia obejmowały wódki czyste.

Spośród krajów socjalistycznych w 1984 roku relatywnie najdroższy alkohol był w ZSRR, a najtańszy w NRD. Za przeciętną płacę miesięczną w Związku Radzieckim można było kupić 14,5 l wódki lub 39 l wina, lub 155 l piwa. Natomiast w Polsce wskaźniki te wynosiły: 15 litrów wódki, 45 litrów wina, 197 litrów piwa. Z kolei w NRD można było nabyć aż 40 l wódki czystej, 93 l wina, 434 l piwa.

Polska od lat znajduje się w czołówce światowej pod względem spożycia papierosów na jednego mieszkańca. W latach 1971—1984 na pierwszym miejscu były Stany Zjednoczone (2790 sztuk rocznie). My zajmowaliśmy — po Kanadzie i Japonii — czwartą pozycję (2436 sztuk), a zaraz za nami znaleźli się Węgrzy (2425 sztuk na osobę). Jeśli wziąć pod uwagę poziom spożycia, jakość papierosów i procent palących, to sytuacja w Polsce jest gorsza niż w jakimkolwiek innym kraju.

Sygnalizowałem już w tej rubryce, że Zbigniew Nienacki — autor „Uwodziciela", „Raz w roku w Skiroławkach" i „Wielkiego lasu" — pisze nową powieść. Redakcja dwutygodnika „WARMIA I MAZURY" zorganizowała spotkanie pisarza z czytelnikami. Ciekawsze wypowiedzi opublikowano w 12 numerze.

ZBIGNIEW NIENACKI MÓWI:

„Jestem pisarzem przekornym. Mieszkam na skraju wielkiego lasu, spostrzegłem, że las ma i inny wymiar, mój las nie jest piękny. Mam do czynienia z ludźmi pracującymi w lesie. Książka jest więc także polemiką z nurtem w literaturze, który laurkowo pokazuje las. Literatura jest dla mnie wszystkim, przygodą, bez niej nie miałbym racji bytu. Uprawiając ją mam możliwość polemizować z tradycją literacką. Obecnie pracuję nad 3-tomową książką »Dagome iudex« na temat naszej historii. Jasienica w »Polsce Piastów« powiedział, że nasza historia jest jak powieść bez pierwszego rozdziału. O przedchrześcijańskiej Polsce poza »Starą baśnią« nie ma nic. Jestem już po napisaniu dwóch tomów. Znowu przełamywać trzeba tabu ustalonych konwencji, spojrzeć na dawnych ludzi w oparciu o najnowsze badania, zaszokować czytelnika, co przyznaję, mnie pociąga. (...) Będzie to powieść o sztuce rządzenia ludźmi, o mechanizmach władzy, powieść okrutna i brutalna. Już jestem przerażony na myśl o tym, co mnie czeka po jej wydaniu".

O sobie samym pisarz mówi, że jest purytański, nie pije alkoholu, ma wideo, ale porno go nie interesuje. Erotyka w „Skiroławkach" jest ważnym elementem konstrukcyjnym. Chodzi tam o wykrycie sprawy zabójstwa 14-letniej dziewczynki. Był to mord na tle seksualnym, który autentycznie wydarzył się we wsi, gdzie mieszka Zbigniew Nienacki.

Powieść „Raz w roku w Skiroławkach" nie była, co ciekawe, krytykowana w pismach katolickich. I nie znalazła się na liście książek pornograficznych wymienionych w „Tygodniku Powszechnym".

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Przedwakacyjnie

Dla uargumentowania tezy, iż w ciągu powojennego czterdziestolecia nie marnowaliśmy czasu, powołujemy się nieraz na nieporównywalnie wyższy (formalnie) niż przed wojną poziom wykształcenia społeczeństwa.

To prawda, że młode pokolenia PRL nie wiedzą, co to analfabetyzm, ale jednocześnie twierdzi się, że ogólna wiedza i umiejętność myślenia ówczesnego absolwenta szkoły powszechnej (7-klasowej) jakby górowały nad tym, co ma do zaprezentowania dzisiejszy absolwent szkoły podstawowej (8-klasowej). Ta zresztą obecna „podstawowa" jest dopiero „powszechna".

Czy ta opinia oznacza, że gorszy, mniej wymagający jest dzisiejszy program nauczania, albo, że młodzież stała się mniej zdolna? Nic podobnego, oczywiście. Wydaje mi się, że w tamtych czasach materiał szkolny trzeba było mieć dobrze opanowany, jeśli się chciało dostać świadectwo ukończenia szkoły i mieć lepszą pracę lub uczyć się dalej. Dziś natomiast można kończąc „podstawówkę" prawie niczego nie umieć. Można przy tym odnieść wrażenie, że nie zależy na tym znacznej części uczniów i rodziców, kierownictwom szkół i władzom oświatowym.

Jeśli nawet stwierdzilibyśmy, że ten, komu się dziś „na siłę" wciska do ręki świadectwo ukończenia „podstawówki", wie i umie więcej niż jego przedwojenny rówieśnik, należałoby wtedy zapytać, czy jest tak wyłącznie dzięki szkole, czy też mają w tym swoją zasługę inne placówki i instytucje, z telewizją na czele, jak również m.in. względna dostępność podróżowania po kraju i nawet wyjazdu za granicę, gdy z dawniejszych opłotków wychylać głowy nie było po co i za co.

Otóż sądzę, że wolno obwiniać odpowiedzialnością za ten stan rzeczy system szkolny, jak długo w praktyce (nie zaś w samej teorii) nie położy się skutecznej tamy nieustannej rywalizacji nauczycieli o to, by przed obliczem dyrektora szkoły wykazać się jak najmniejszą liczbą postawionych „dwój" czy też nie promowanych uczniów, a z kolei nie zahamuje się rywalizacji dyrektorów, która szkoła stawia stopnie lepsze (tak jakby egzaminy do szkół stopnia wyższego nie były najpewniejszym sprawdzianem pracy szkół stopnia niższego).

A rzeczywistość nadal jest taka, że w niejednej szkole podstawowej uczniowie mogą sobie pozwalać na nieodrabianie lekcji, nieprzynoszenie czy w ogóle nieposiadanie książek i zeszytów, na lekceważące i obraźliwe zachowanie wobec nauczycieli, co tak długo będzie uprawiane bezkarnie, jak długo uczniowie będą pewni, że przynajmniej co dwa lata uzyskają promocję, aż wreszcie wręczy im się świadectwo ukończenia szkoły.

I nadal nauczyciel jeśli postawi za dużo (?) ocen niedostatecznych może się spotkać z zarzutem (niekoniecznie umotywowanym), że nie zrobił wszystkiego, żeby ucznia nauczyć (być może program nauczania jest przeładowany, ale to inna sprawa). Zapewne, zdarzają się nauczyciele, którym się nie chce lub nie potrafią nauczyć, i dla świętego spokoju stawiają automatycznie oceny pozytywne, o co nikt nie ma do nich pretensji.

Jak do tego mogło dojść, że kierownictwu szkół i władzom oświatowym więcej zależy na pozytywnych ocenach niż na tym, żeby uczniowie umieli? Przecież to bije w nas wszystkich. Otóż świadomie upraszczając, przedstawiłbym to następująco.

Przedwojenne państwo polskie starało się kształcić niewiele więcej uczniów niż było potrzeba pojętnych robotników. Dlatego nie miano za złe nauczycielowi, że robi wszystko (łącznie ze stawianiem „dwój"), żeby ten cel był osiągnięty. Zresztą byli to pedagodzy i wychowawcy po znakomitych seminariach nauczycielskich, do których trafiali głównie dlatego, że nie było ich stać materialnie na studia wyższe. Sami lubili się uczyć i innych chcieli wyuczyć, surowo, ale i sprawiedliwie wychowywali młodzież, ale o stopnie — dobre czy złe — musieli martwić się uczniowie i rodzice.

Po czym poznamy, że reforma naszego życia społeczno-gospodarczego objęła również szkołę? Kiedy uczeń i jego rodzice będą wiedzieli, iż bez ukończenia szkoły podstawowej (lub odpowiedniej zawodowej) jest się skazanym na wykonywanie prac najmniej atrakcyjnych i najgorzej płatnych i kiedy nauczycielom (należycie uposażonym) zezwoli się na stawianie uczniom wymagań oraz ich egzekwowanie. Musi do tego dojść!

A tymczasem, z okazji zakończenia roku życzę dobrego wakacyjnego wypoczynku tym uczniom, którzy mają po czym wypoczywać...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Kolejny fragment bardzo ciekawych wspomnień ADAMA OCHOCKIEGO z jego pobytu w Związku Radzieckim podczas II wojny światowej. Autor po licznych tarapatach dotarł aż nad granicę z Afganistanem, gdzie próbował szczęścia w różnych zawodach. Polował na żółwie, był poganiaczem wielbłądów...**

— **W najstarszym zawodzie świata nie ma kryzysu — pisze ZOFIA KĘDZIORA. Prostytutkom najtrudniej jednak w czas się wycofać. Najlepiej wyjść za mąż za obcokrajowca. Dewizowe panie nikomu nie ustąpią miejsca. Trwa bezpardonowa walka z rosnącą konkurencją.**

— **Jest takie miasto w Finlandii, którego mieszkańcy co drugi rok przedłużają swoje tradycyjne Święto Wiosny na ulicach Łodzi. Z sympatycznymi Finami, którzy zawitali też do Łasku, rozmawiał RYSZARD BINKOWSKI i opisał, co z tego wynikło.**

— **Jakie powinności ma literatura wobec rzeczywistości? Dlaczego pisarze posługują się „tematami zastępczymi" — próbuje wyjaśnić KAROL JÓZEF STRYJSKI.**

— **Następny odcinek rewelacyjnej powieści ANATOLIJA RYBAKOWA pt. „Dzieci Arbatu". Jedną z głównych postaci jest Józef Stalin, którego autor starał się ukazać w sposób obiektywny, bez osobistych antypatii czy uprzedzeń.**

— **Czterdzieści lat temu powstał w Łodzi zespół jazzowy z prawdziwego zdarzenia. Krótką historię zespołu „Melomani" zanotował ANDRZEJ KAROLCZAK.**

Wszyscy zgadzają się, że reforma gospodarcza jest koniecznością, ale różnie widzą sposoby jej przeprowadzenia. Zdania są podzielone, co do roli i przyszłości „centrum", co do samodzielności przedsiębiorstw i roli rynku. Warto poznać różne punkty widzenia.

„By równowaga była czymś normalnym"

Rozmowa z doc. dr hab. CEZARYM JÓZEFIAKIEM — kierownikiem Zakładu Teorii Wzrostu Gospodarczego w Instytucie Ekonomii Politycznej UŁ, członkiem Komisji ds. Reformy Gospodarczej

Czy jest pan, jako zwolennik rynkowego wariantu reformy, zadowolony z propozycji zawartych w „Tezach"?

— Nie. Ponieważ „Tezy" nie proponują radykalnego zastąpienia stosunków biurokratycznych w gospodarce przez stosunki rynkowe. Wiele mówi się w tym dokumencie o równowadze rynkowej, o przymusie ekonomicznym, a nawet o samoregulacji procesów gospodarczych. Jednak proponowane rozwiązania nie mogą doprowadzić do urzeczywistnienia tych haseł. Sytuację rynkową kształtują: skala i struktura podaży tj. produkcji i importu, poziom i relacje cen oraz poziom i proporcje dochodów, czyli zarobków pracowniczych i zysków przedsiębiorstw. Otóż wielkości te, w zdecydowanej większości przypadków, mają być nadal wyznaczane przez urzędników państwowych, a nie przez przedsiębiorstwa i rynek. System decyzyjny w gospodarce zachowa więc swój administracyjny charakter. To, że decyzje urzędnicze będą występowały w formach finansowych, a nie — jak dawniej — w postaci pewnych nakazów i przydziałów, stanowi powierzchowną zmianę w funkcjonowaniu gospodarki. Tymczasem potrzebna jest zmiana głęboka, przesunięcie decyzji wpływających na podaż, ceny i dochody ze sfery administracji państwowej i jej stosunków z przedsiębiorstwami, do sfery stosunków między przedsiębiorstwami i wewnątrz nich.

— Jak określiłby pan „masę krytyczną" rozwiązań gwarantujących przełom w reformowaniu gospodarki?

— „Masą krytyczną" miały być samodzielność, samorządność i samofinansowanie przedsiębiorstw. Formalnie wprowadzono te zasady, a jednak typowe zachowania ludzi w przedsiębiorstwach i administracji państwowej są takie same, jak przed rozpoczęciem reformy. Reforma systemowa miała wymusić zmianę tych zachowań na takie, które prowadziłyby gospodarkę do równowagi, do wyższej efektywności, do szybszego postępu technicznego. Nie stało się tak, gdyż nie stworzono warunków systemowych, w których samodzielność, samorządność i samofinansowanie występowałyby nie tylko formalnie, ale również faktycznie. Warunki takie nie powstały nie dlatego, że nie wymyślono i nie wprowadzono jakichś dodatkowych, nowych rozwiązań, ale dlatego, że nie usunięto z systemu pewnych starych rozwiązań, które decydują o tym, że mimo wielu „nowinek", gospodarka funkcjonuje według dawnych zasad. W moim przekonaniu, inercyjnie działają na gospodarkę zwłaszcza dwa elementy starego systemu: tradycyjny mechanizm alokacji (rozdziału) czynników produkcji między różne gałęzie, branże, a nawet przedsiębiorstwa oraz tradycyjny mechanizm selekcji kadr kierowniczych w gospodarce, od dyrektorów do brygadzistów włącznie.

Tradycyjny mechanizm rozdziału czynników produkcji (surowców, materiałów, środków inwestycyjnych, dewiz na import) polega na tym, że są one rozdzielone stosownie do centralnie ustalanej struktury produkcji i inwestycji, czyli do tzw. centralnych programów rzeczowych. Z pewnych powodów, które tu pominę, programy te nie mogą być sprawdzone pod względem efektywności, zanim zaczną być realizowane. W toku ich realizacji zwykle okazuje się ponadto, że nie są wewnętrznie zharmonizowane. Ich niespójność jest rezultatem „konkurencji" między różnymi centralnymi ośrodkami decyzyjnymi o udział w ogólnych zarobkach czynników produkcji. Korygowanie centralnych programów rzeczowych w trakcie ich realizacji nie poprawia dostatecznie proporcji gospodarczych, gdyż „walka o priorytety" trwa cały czas.

Zmiany wprowadzone do tego mechanizmu są, jak wspomniałem, powierzchowne. Nie ma już, z pewnymi wyjątkami, obligatoryjnych zadań, limitów zatrudnienia i płac itd. Przedsiębiorstwa są teraz „nakierowane" na działania zgodne z centralnym programem rzeczowym, za pomocą tzw. narzędzi ekonomicznych. Mieszczą się tu takie narzędzia, jak zamówienia rządowe, z którymi związane jest zasilanie materiałowe i finansowe oraz takie, jak specjalne podatki, np. ostatnio wprowadzony specjalny podatek od przekraczania granicy 12-proc. wzrostu funduszu wynagrodzeń w przedsiębiorstwie. Jest wiele takich narzędzi. Narzędzia alokacji są nowe, ale reguły alokacji czynników — stare. Wyniki gospodarcze nie zależą jednak od rodzaju narzędzi sterowania przedsiębiorstwami, lecz od tego, do realizacji jakich zadań służą te narzędzia. A zadania te wynikają, tak jak i przed reformą, z centralnego programu rzeczowego, a nie ze stosunków między dostawcami a nabywcami. W rezultacie mamy przedsiębiorstwa deficytowe, którym jednak powodzi się zupełnie dobrze, bo są „potrzebne" dla realizacji zadań centralnych. I mamy przedsiębiorstwa doprowadzane podatkami do skraju bankructwa, bo są mniej „potrzebne". Wszystko to urąga zasadzie samofinansowania.

Drugim balastem jest tradycyjny system selekcji kadr w gospodarce. Jeśliby sytuacja finansowa przedsiębiorstwa miała zależeć od jego sukcesów i niepowodzeń na rynku, a decydować — m.in. o wielkości możliwego zatrudnienia i o poziomie wynagrodzeń, wówczas dobór kadr kierowniczych powinien być dokonywany wyłącznie według kryterium wpływu na wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa. Stosowanie dodatkowo kryteriów pozaekonomicznych musi szkodzić interesom ekonomicznym przedsiębiorstwa. Kryteria te stępiają przedsiębiorczość ludzi w działalności gospodarczej, gaszą ich inicjatywność i skłonność do ryzyka, a pobudzają skłonność do pytania o zezwolenie i do czekania na instrukcje.

Krótko mówiąc, za „masę krytyczną" uważam balast starych rozwiązań, ciągle obecnych w systemie ekonomicznym.

— Czy głębokie „urynkowienie" gospodarki nie osłabiłoby nadmiernie ekonomicznych i społecznych funkcji państwa?

— Wręcz przeciwnie. Jeśli państwo nie wikła się w sprawy, które lepiej rozwiązuje rynek, wówczas może z większym powodzeniem zajmować się sprawami, których rynek nie jest w stanie zadowalająco rozwiązać. Jest takich spraw dużo. Ale dotychczas właśnie one należą do bardziej zaniedbanych niż sama gospodarka. Wystarczy tu wymienić stan środowiska naturalnego, stan służby zdrowia oraz sytuację mieszkaniową. Jeśli państwo rozdziela środki na budowę hut, kopalń i mieszalni pasz, to zawsze okazuje się, że brakuje tych środków na nowe oczyszczalnie ścieków, na szpitale, szkoły i budynki mieszkalne. Jeśli państwo wiąże swój autorytet z konkretną hutą lub cementownią, to na cóż się zda nakładanie na te przedsiębiorstwa kar za niszczenie środowiska?

— Czy pana zdaniem z dotychczasowego przebiegu reformy wynikają jakieś wnioski na temat szans dokonania przełomowych zmian w systemie ekonomicznym w ramach II etapu reformy?

— „Tezy" prześlizgują się nad oceną przemian systemowych w ostatnich latach. Mówią, że został już stworzony system funkcjonowania gospodarki całkowicie odmienny od poprzedniego. Trzeba go tylko tu i ówdzie poprawić. Trudno się z tym zgodzić. Nowości jest dużo, ale nie dotknęły one głębszych warstw systemu, wobec czego drobne uzupełnienia i poprawki nie mogą spowodować przełomu w charakterze systemu ekonomicznego. W „Tezach" jest kilka zapowiedzi, które mogłyby budzić nadzieje. Np., że nastąpi radykalne ograniczenie reglamentacji i w ogóle ingerencji administracyjnych w decyzje przedsiębiorstw, że zwalczane będą monopole, że szerzej otwarty zostanie dostęp do rynku dla nowych przedsiębiorstw, a równocześnie rynek będzie eliminował przedsiębiorstwa nieefektywne, że spółdzielczość będzie „odpaństwowiona", a sektor prywatny nie będzie traktowany jako gorsza część gospodarki i otrzyma pełniejsze możliwości rozwoju. Jednak są to zapowiedzi bardzo ogólnikowo formułowane, a co ważniejsze, toną wśród sprzecznych z nimi zamiarów. Z niekoherentnego programu nie może wyniknąć spójny i sprawny system funkcjonowania gospodarki.

— Często w swych wystąpieniach na forum Komisji Reformy Gospodarczej i w publicystyce ekonomicznej akcentuje pan silnie potrzebę zmian w centralnym układzie instytucjonalnym. W „Tezach" również się o tym mówi. Czy zapowiadane zmiany w tej dziedzinie uważa pan za dostateczne?

— Uważam je za stanowczo niewystarczające. Z „Kierunków reformy gospodarczej" ogłoszonych w 1981 r. wynikały wprost lub jako oczywiste implikacje dwa postulaty dotyczące struktury władzy. Jeden domagał się zwiększenia reprezentatywności ciał przedstawicielskich i zapewnienia ich faktycznej nadrzędności nad organami wykonawczymi. Są to warunki wyboru właściwych celów społeczno-ekonomicznych, a zarazem gwarancja, że rząd i cała administracja państwowa będą się kierowały tymi celami w swej działalności. Drugi postulat, to wyraźne określenie granic kompetencji gospodarczych rządu oraz dostosowanie jego struktury do nowych zasad działania przedsiębiorstw. Dostosowanie to miało polegać między innymi na zredukowaniu ministerstw przemysłowych do jednego lub dwóch oraz na pozbawieniu ich prawa ingerowania w wewnętrzne i wzajemne stosunki przedsiębiorstw.

Nie można powiedzieć, że niczego nie zrobiono w związku z pierwszym i z drugim postulatem. Podzielam jednak niemal powszechną opinię, że reorganizacje przeprowadzone w układzie instytucji centralnych nie zasługują dotychczas na miano poważnej reformy. Mnożenie ciał konsultacyjnych i akcji konsultacyjnych, ani nie zapewnia wyboru właściwych celów społeczno-ekonomicznych, ani nie gwarantuje, że rząd będzie honorował te cele w swych działaniach. Zapisana w „Kierunkach..." idea reformy Sejmu przez powołanie drugiej izby do spraw społeczno-gospodarczych, w której zasiadaliby przedstawiciele samorządów i innych niezależnych organizacji zawodowych i społecznych, nie doczekała się realizacji. „Tezy" pozostawiają całą sprawę przekształceń w systemie instytucjonalnym władzy do przyszłych rozstrzygnięć przez Komisję Partyjno-Rządową.

„Tezy" omijają też problem granic kompetencji gospodarczych rządu. Natomiast w sprawie ministerstw przemysłowych zawierają niepokojące stwierdzenia. Mianowicie przyznają tym ministerstwom funkcję ustalania i kontrolowania norm zużycia materiałów i energii w przedsiębiorstwach oraz prawo wydawania świadectw dopuszczających do pełnienia określonych funkcji i wykonywania zawodu. Zajmowanie się ministerstw normami zużycia, to element starego systemu nakazowo-rozdzielczego. Wydawanie uprawnień do wykonywania funkcji i zawodów, to nowy pomysł. Ale z jednego i z drugiego uprawnienia wynika, że jedno lub dwa ministerstwa przemysłowe nie poradziłyby sobie z takimi obowiązkami; musi być ich więcej. Ministerstwa przemysłowe nadal więc będą istnieć i nieuchronnie odradzać hierarchiczne struktury zarządzania gospodarką.

Tak więc „Tezy" nie zapowiadają oczekiwanych powszechnie, istotnych zmian w „centrum".

Rozmawiali:
WITOLD KASPERKIEWICZ
RYSZARD J. ZIELIŃSKI

Przełamywanie barier

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Często odnoszę wrażenie, że czekamy nieustannie na cud. Jest nawet na ten temat dowcip. Polska znajduje się w kryzysie i coś trzeba zrobić, aby z niego wyszła. Otóż są na to dwa sposoby. Pierwszy — do Polski spłyną z nieba zastępy Aniołów i wezmą się do pracy. Drugi — Polacy sami wezmą się do pracy i wyprowadzą swój kraj z kryzysu. Ale to byłby już cud.

Odniosłem też takie wrażenie, że wielu rodaków oczekiwało, że cud stanie się podczas wizyty Jana Pawła II w Polsce. Wiadomo papież jest Polakiem, stąd u Pana Boga ma specjalne względy i wyprosi, wymodli u niego też specjalne względy dla swoich rodaków i swojego kraju. Ale ludzie tak myślący jakby zapomnieli, że poprzednio wielu papieży wywodziło się z Włoch i jakoś nie wpłynęło to na przebieg dziejów tego kraju. Włochy nie znalazły się wśród najszczęśliwszych krajów świata. Nie ma takich powodów, aby ten irracjonalny pomysł sprawdził się w przypadku Polski. Jan Paweł II szczęśliwie powrócił do Rzymu, a my pozostaliśmy nad Wisłą ze swoimi kłopotami i problemami. I sami musimy je rozwiązywać. Przez długi czas jeszcze. A i potem też, bo różnych rzeczy może nam brakować, ale nie kłopotów.

Wyrazem irracjonalizmu oczekiwań były nie tylko nieustanne okrzyki: — **„Niech żyje papież!"**, na które Jan Paweł II zwracał uwagę, że jest tylko sługą Boga, ale też pewna dekoracja okna, którą dało mi się widzieć w czasie wizyty papieskiej w Łodzi. Otóż na środku stał duży portret Jana Pawła II, a obok dwa malutkie: Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej. Boję się, że w tym wypadku nastąpiło wyraźne zachwianie hierarchii. Ale czy tylko w tym wypadku?

Skąd u nas tyle irracjonalizmu?

Niektórzy twierdzą, że wszystkiemu winien jest romantyzm. Powiadają, że Polacy są z natury romantykami, taką już mają duszę. I nic się na to nie poradzi. Inni jeszcze skłonni są oskarżać współczesność, która próbowała czynić ludzi tylko wykonawcami idei, odbierając im tym samym możliwość działania, wykazywania inicjatywy. Stąd taka a nie inna reakcja.

Aleksander Bocheński w ciekawej książce pt. „Rzecz o psychice narodu polskiego" twierdzi, że w okresie napoleońskim. W czasach saskich Polacy byli złymi żołnierzami. Nikt się z takimi żołnierzami nie liczył i nikomu nie byli potrzebni. Dlatego można było dokonać rozbiorów Polski. Ale później Polacy zrozumieli swój błąd i szukali sposobu odrodzenia swojej ojczyzny. Powstały Legiony, a w wyniku walki zbrojnej u boku Napoleona — Księstwo Warszawskie. Polacy pokazali, że są dzielnymi żołnierzami, ale okazało się przy tym, że nikt nie potrafi racjonalnie przewidzieć skutku powstania i walki Legionów polskich. To był początek irracjonalizmu w naszym myśleniu. Okazało się bowiem, że Polska może walczyć o niepodległość, ale zrobi to najlepiej w sojuszu nie z żadnym z sąsiadów, ale z mocarstwem daleko położonym. Ten pogląd pokutował przez lata w polskiej myśli politycznej, przynosząc nam więcej nieszczęścia niż pożytku. I dziś gdzieś kołacze się po zakamarkach, strasząc swym skrajnym irracjonalizmem.

Tak więc irracjonalizm w naszym myśleniu ma dalekie źródła i wcale nieromantyczne. Przezwyciężaniu go nie sprzyjały dalsze dzieje Polski. Naród polski walcząc wytrwale o niepodległość coraz bardziej przekonywał się, że sam jej nie będzie w stanie zdobyć i musi mieć sojuszników. Splot różnych wydarzeń historycznych spowodował, że polski czyn zbrojny zaowocował niepodległością. Ale też w późniejszej interpretacji tych wydarzeń albo zbyt mocno akcentowano czynniki wewnętrzne, albo zewnętrzne, w wyniku czego przez zachwianie proporcji fałszowano rzeczywisty obraz wydarzeń. Wbrew wszelkim intencjom przyczyniało się do utrwalania irracjonalizmu. No bo skoro my sami nic nie potrafimy, tylko zawsze ktoś nam musi pomagać, to czekajmy nadal na dobrych wujaszków zza morza, miedzy, bądź na Aniołów z nieba, czy rodaka z Rzymu. Ktoś musi za nas to zrobić, czego sami nie potrafimy. A potrafić musimy.

Przełamanie irracjonalizmu w myśleniu, to przełamanie przemożnie panującej nam niemocy.

W listopadzie 1926 roku w „Ruchu Ludowym" znany ówczesny działacz ludowy, Stanisław Thugutt — urodzony zresztą w 1873 roku w Łęczycy — tak pisał:

„Zdarza się często spotkać na głuchej, zapadłej wsi człowieka najlepszych chęci i pełnego sił, który się szarpie i dręczy, nie mogąc znaleźć swej drogi. Widzi zło, ale nie może na nie znaleźć lekarstwa. Chciałby coś zrobić, ale cokolwiek rozpocznie, leci mu z rąk, niszczeje. Dokoła tłum — ciemnych. Tłum, który nie chce myśleć, nie chce organizować się, nie czuje swojej siły, nie widzi swojego obowiązku. Wszelkie namowy i prośby odtrąca ze wzgardą, z szyderstwem, z nieczułą na własne dobro obojętnością. Aż w końcu opadają najwytrwalsze ręce, aż zamykają się oczy, nie chcąc patrzeć na zło, aż w serce wpełza trwoga i zniechęcenie.

Co robić?"

Stanisław Thugutt radzi pokazywać, co już w tak krótkim czasie od odzyskania niepodległości zrobiono. Gdy to czytam, staje mi przed oczyma współczesność i choć dziś nie użyłbym słów, którymi posłużył się Stanisław Thugutt w 1926 roku, to przecież nie mogę zaprzeczyć, że istota zjawiska jest podobna. Obojętność ludzi nie rozumiejących nie tylko swego położenia, ale i tendencji rozwojowych ujemnych zjawisk. A one przecież narastają. Przy kulcie przeciętności, niewychylania się, nieryzykowania, niewykazywania inicjatywy. Kto dba o spokój, ten ma dobrze. A mieć dobrze, to móc używać życia. **„Wszędzie tam** — pisze Aleksander Bocheński — **gdzie zamknięty postęp, choćby w perspektywie rodziny, powstaje kult życia".**

W naszej propagandzie też posługiwaliśmy się pokazywaniem drogi, jaką przebyliśmy w Polsce Ludowej, co przez ten czas osiągnęliśmy. Dziś to już na nikogo nie działa. Przeszłości trzeba uczyć, ale chyba inaczej. Trzeba uczyć rozumienia procesów, jakie zaszły i pokazywać, jakie przyniosły skutki. Trzeba — i to szybko — zacząć pokazywać dystans, jaki nas dzieli od najbogatszych, od najlepiej rozwijających się. Nie ma się czego wstydzić. Tę ogromną barierę, która dzieli nas od czołówki świata trzeba pokonać i to jest możliwe, ale przy innym sposobie myślenia i postępowania.

Skończmy z mitem **której tam potęgi na świecie, pokażmy prawdziwe nasze miejsce** w ogonie Europy i dystans do pokonania. Niech to stanie się czynnikiem mobilizującym! Niech to zburzy spokój Polaków, którzy chcieliby mieć u siebie Amerykę — pod względem poziomu życia — bez tego wkładu pracy, jaki wnieśli i wnoszą Amerykanie. Czy ktokolwiek inny. Przenoszenie zachodnich wzorców życia bez tamtejszych warunków jest szkodliwe i staje się czynnikiem hamującym nasz rozwój. To jest też bariera do przełamania w naszej świadomości.

Ileż to młodych Polaków marzy o wyjeździe do Australii, aby szybko się dorobić, nie zdając sobie sprawy, że nikt tam na nich nie czeka i nikt tam nie da im luksusu bez ciężkiej pracy. A i to gwarancji nie ma, że się rzeczywiście dorobią. Zetknięcie się tych wyidealizowanych, a przez to irracjonalnych marzeń z rzeczywistością było już powodem niejednego rozczarowania i załamania psychicznego także. I to wcale nie jest gołosłowne stwierdzenie.

Chodzić twardo po ziemi — to również uczyć się od sąsiadów. To też bariera do przełamania. Nasza wiedza o sąsiadach oparta jest często na mitach i uprzedzeniach. Myślę, że uważne śledzenie „pierestrojki" w ZSRR mogłoby nas wiele nauczyć. Zacytuję jako przykład fragment wypowiedzi filozofa Anatolija Butienki z wywiadu udzielonego **„Trybunie Ludu":**

„... nie zauważono, że w trakcie minionego okresu uformował się mechanizm hamujący. Korzenie jego sięgają poważnych niedociągnięć w funkcjonowaniu instytucji demokracji socjalistycznej, tkwią w przestarzałych, a czasem i nie odpowiadających realiom, politycznych i teoretycznych wytycznych, w konserwatywnym mechanizmie zarządzania. Wszystko to sprzyja narastaniu negatywnych zjawisk kryzysowych".

W ZSRR uważa się dziś, że właśnie te konserwatywne mechanizmy hamujące były przyczyną tego, że nie zrealizowano do końca postanowień XX Zjazdu KPZR z 1956 roku. A czy u nas nie rozpoczynaliśmy już kilka razy odnowy i wycofywaliśmy się z niej? Czyż dziś nie ma u nas też mechanizmów hamujących? Czy reforma gospodarcza rozwija się zgodnie z założeniami i oczekiwaniami? Czyż ironiści głoszący, że „nowe wraca" zawsze nie mają racji i tylko żartują sobie? Czy rzeczywiście tak dobrze znamy owe hamujące mechanizmy, że ich się już nie boimy? Czy nie powinniśmy zacząć przełamywać bariery konserwatyzmu?

Profesor Leszek Gilejko powiedział w wywiadzie dla „Trybuny Ludu":

„... jest wiele przesłanek świadczących o tym, że inicjatywę społeczną, pracowniczą tak niezbędną dla przezwyciężenia kryzysu mogą pobudzić formy partnerskiego współuczestnictwa pracowników w zarządzaniu",

Im więcej ludzi będzie brało udział w zarządzaniu i rządzeniu na różnych szczeblach, a przede wszystkim na najniższych, im więcej będzie się liczył ich głos, im sprawniej będą kontrolowali poczynania różnych instytucji i władz, tym szybciej będziemy przełamywali barierę niemocy i przeciętności.

Ale trzeba też przełamać barierę strachu przed ludźmi. Przyszłość jest nasza wspólna i tylko od nas zależna.

Otrzymują setki skarg. Reagują na wszystkie sygnały. W ciągu 2 lat przeprowadzili ponad 800 kontroli.

Nie lubimy anonimów, ale je sprawdzamy

Rozmowa z kierownikiem łódzkiej IRCH — HENRYKIEM ŁABĘCKIM i doradcą ekonomicznym — ZBIGNIEWEM SOBCZAKIEM.

— Czy dużo dostajecie anonimów?

HENRYK ŁABĘCKI: — Anonimów jest dużo, około dwudziestu procent. Nie lubimy ich, ale czasami sprawdzamy. Przed chwilą wyjechała ekipa do Andrespola, do przedsiębiorstwa ceramicznego. Anonim miał wszelkie cechy prawdopodobieństwa, ponieważ zawierał dużo faktów. Jeżeli ktoś pisze, że jego szef ma kochankę albo się upił z teściem tydzień temu, to nie traktujemy takiego donosu poważnie.

— To znaczy, że wolno mieć kochankę?

HENRYK ŁABĘCKI: — Nie zajmujemy się rozstrzyganiem tego typu spraw.

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Jeżeli jednak anonim podaje, że kupiono maszynę do rozkruszania gliny, i że ta maszyna w ogóle nie używana zardzewiała ze starości — to są fakty, które musimy zbadać.

— A czy nie brakuje wam czasu na sprawdzanie wszystkich napływających do IRCH-y informacji?

HENRYK ŁABĘCKI: — Oczywiście brakuje. Nie możemy odrywać kontrolerów działających społecznie od pracy nieskończoną ilość razy. Przepis mówi o 14 dniach roboczych w roku. Są natomiast osoby, zajmujące bardzo odpowiedzialne stanowiska, które możemy wykorzystać tylko 2 lub 3 razy. Mimo to udało się, w ciągu niecałych dwóch lat istnienia IRCH-y, przeprowadzić ponad 800 kontroli i dopilnować, aby postawione wnioski były zrealizowane.

— Czy wasze wnioski mogą mieć głębsze znaczenie dla sprawy, skoro kontrolerami są oderwani od maszyn robotnicy, posiadający najczęściej zawodowe wykształcenie, nie przygotowani do grzebania się w papierach?

HENRYK ŁABĘCKI: — Nie jesteśmy bezradni. Każdy z członków IRCH-y, ma jakiś zawód, który wykonuje od wielu lat. Jeżeli kontrolujemy pracę sklepów, to staramy się, aby jakiś pracownik handlu znalazł się w grupie. Jeżeli zakład włókienniczy, to włókiennik. Poza tym korzystamy z pomocy kontrolerów zawodowych.

Przykład z ostatnich dni. Otrzymaliśmy rozpaczliwy list od Komitetu Domowego, opisujący to, co się dzieje na podwórku przylegającym do Hali Targowej na placu Norberta Barlickiego. Prowadzona jest tam wolnorynkowa sprzedaż mięsa. I bardzo dobrze. Ale na podwórko wcześnie rano przyjeżdżają furgonetki. Kierowcy otwierają klapy, przestawiają pojemniki. Po prostu hałasują. Wieczorem zaś po kątach upychane są śmieci. O pomoc w tej kontroli poprosiliśmy Państwową Inspekcję Sanitarną.

— Ale czy nie jest to wyręczanie PIH-u, PIS-u, NIK-u, i innych instytucji? Czy oni sami nie poradziliby sobie z kontrolą bez udziału czynnika społecznego?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Dostajemy więcej listów, telefonów, więcej ludzi do nas przychodzi, a więc i więcej wiemy o życiowych bolączkach mieszkańców miasta.

Kontrole IRCH-y nie są planowane z góry. Pewnie, że są centralne tematy. Zajmowaliśmy się prawidłowością przydziałów mieszkań. Teraz mamy na tapecie ochronę środowiska, ale takich przydzielonych z centrali zagadnień mamy niewiele, w tym roku trzy. Reszta, kilkadziesiąt innych wypływa prosto z życia. My nie siedzimy i nie wymyślamy, co by tu skontrolować.

— A czy nie boicie się, że w końcu przejmiecie funkcję worka, do którego wszyscy będą wrzucać nie załatwione sprawy?

HENRYK ŁABĘDZKI: — Tak, tylko my z tego worka wyjmujemy sprawy najistotniejsze. Nie mamy obowiązku brania wszystkiego na swoje barki. A bywa, że instytucje kontrolujące zapraszają do współpracy społeczników.

— Instytucje kontrolujące?

HENRYK ŁABĘCKI: — Tak. Podam przykład. Razem z NIK sprawdzaliśmy wykorzystanie odzieży roboczej. Zawodowi kontrolerzy, jak zwykle, sięgnęli do dokumentów, faktur, rachunków, zapotrzebowań itp. Nasi natomiast poszli do ludzi. Cały czas spędzali na rozmowach, na co często kontrolera zawodowego nie stać. On musi przebadać górę papierów.

— Wiemy przecież, że często w papierach wszystko się zgadza, a w życiu nie.

HENRYK ŁABĘCKI: — Tak, tak. Dokument nie powie tego, co może powiedzieć człowiek. Ponadto nasi ludzie chodząc po zakładzie zwrócili uwagę nie tylko na wykorzystanie odzieży roboczej, ale i na sprzęt przeciwpożarowy, na bele bawełny leżące bez przykrycia pod gołym niebem, na zastawione przejścia, czyli na to wszystko czego kontroler zawodowy nie mógłby zauważyć, gdyż zabrakłoby mu czasu.

— Czy kontrole IRCH-y są bardziej spontaniczne?

HENRYK ŁABĘCKI: — To jest kontrola żywa. Ludzie ogromnie się przejmują, bo reagują na sygnały kolegów, którzy mają kłopoty.

— Ale ta spontaniczność może się zatracić w nawale spraw?

HENRYK ŁABĘCKI: — Żeby tak się nie stało powiązano IRCH-ę z NIK-iem, który zajmie się ewidencjonowaniem spraw, korespondencją. Pilnuje realizacji wniosków. Załatwia wiele z niezbędnej jednak dokumentacji.

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Pilnujemy na przykład tego, aby wszystkie nasze odpowiedzi na skargi miały indywidualny charakter. Nie wprowadziliśmy dotychczas żadnego druku z kropkami na nazwę zakładu, nazwiska i daty.

— Jak sądzicie, cieszycie się zaufaniem społecznym?

HENRYK ŁABĘCKI: — Niech pan popatrzy na te segregatory pełne listów. To jest przerażające, że instytucja, która nie ma jeszcze dwóch lat pęka w szwach od pisanych do nas skarg.

— Na początku pewnie każdy przeciekający dach, każda dziurawa rynna była dla was sprawą. Jeżeli jednak takich sygnałów nadchodzi kilkanaście dziennie, to czy nie zniechęcają one do pracy?

HENRYK ŁABĘCKI: — Nas każda rynna interesuje. Niemniej zdajemy sobie sprawę z sytuacji. W śródmieściu 80 proc. budynków wymaga remontu. PGM nad nie ma materiałów, pieniędzy i ludzi. Możemy więc walczyć tylko ze zniecierpliwieniem urzędników. Wychwytujemy sprawy, które można załatwić od ręki, a których nie załatwia się, bo administrator nie ma ochoty ruszyć głową. Z takimi ludźmi staramy się rozliczać w sposób kategoryczny.

Przykład. Pewien obywatel napisał do nas, że administracja nie chce zwrócić kosztów wymiany wykładziny podłogowej. Stara nie nadawała się już do niczego, a PGM nie miał nowej. Brakowało także fachowców do wykonania roboty. Lokator załatwił wszystko we własnym zakresie i teraz ma kłopoty z PGM-em. Po naszej interwencji dostaliśmy odpowiedź od dyrektora, który twierdzi, że nie zostały w odpowiednim czasie załatwione sprawy formalne. W takich wypadkach zastanawiamy się, o co tu chodzi, bo na pewno nie o pomoc obywatelowi.

— Czy zdarzało się panom czasami kontrolować kontrole?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — O, ostatnia nasza kontrola była bardzo ambitna. Sprawdzaliśmy działanie kontroli wewnętrznej w wybranych przedsiębiorstwach.

— Jakie rezultaty?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Przy mnogości kontroli zawodowych, społecznicy prawie w każdym przypadku wykryją jeszcze dodatkowe nieprawidłowości. Oczywiście nie ma takiej siły, która mogłaby wejść w każdą dziurę w zakładzie, ale naszym zdaniem sieć ma jeszcze za duże oka.

— Kontrola wewnętrzna powinna najlepiej znać bolączki własnego przedsiębiorstwa?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — I to też jest ciekawe. W Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego nr 2 opracowano piękne regulaminy kontroli wewnątrzzakładowej, natomiast pracownik tam zatrudniony niewiele dokonał, bo nie miał wyznaczonego zakresu obowiązków, bo pracował od przypadku do przypadku.

— To nie jest problem nowy.

HENRYK ŁABĘCKI: — W pogoni za produkcją, za zyskiem, przedsiębiorstwa zapominają często o przestrzeganiu elementarnych przepisów, na przykład bezpieczeństwa i higieny pracy. Samodzielność przekształca się wtedy w samowolę.

— Pamiętajcie o koleżeństwie. Rzadko kto donosi na swojego znajomego.

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Ale jest to źle rozumiane koleżeństwo. Wytknięcie błędu dziś może uchronić przedsiębiorstwo przed milionowymi stratami w przyszłości, na których ucierpią wszyscy pracownicy.

— Czyżby objawiał się tutaj brak instynktu samozachowawczego?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Podam panu niepokojący przykład. Kontrolowaliśmy w 1986 roku przygotowanie do rolniczej wiosny między innymi w SKR Rzgów. Ma on chyba pięć oddziałów, dokładnie nie pamiętam. Do jednego, ze względu na zimowe warunki, był luty, nie udało się dojechać. Po miesiącu przeprowadziliśmy kontrolę sprawdzającą. I okazuje się, że we wszystkich filiach, w których kontrolerzy byli w pierwszym etapie zastano porządek. Natomiast w tej piątej było po prostu tragicznie. Na sprzęcie widać było ubiegłoroczne żniwa. Taki to jest sposób myślenia? Czy nad każdym trzeba bez przerwy stać z batem?

— Bardzo ciekawy obszarek socjologiczny.

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Tak. I my też nie bardzo wiemy, czy ci ludzie pracują dla efektów, dlatego żeby było się lepiej. Czy pracują dla kontroli, żeby dobrze wypaść.

— Czy możecie w takich drastycznych przypadkach karać?

ZBIGNIEW SOBCZAK: — Nie, ale często bierzemy ze sobą inspektorów pracy PIS-u czy jakichś innych, którzy mają takie prawo. My możemy tylko wnioskować o ukaranie winnych.

Zdarzają się jednak sytuacje niecodzienne. Na przykład kontrola wewnętrzna występuje z wnioskiem o sankcję. Dyrektor po „wnikliwym" rozpatrzeniu postanawia udzielić upomnienia. Wydaje decyzję, ale ta po drodze ulega dalszej ewolucji. Zmienia się w potrącenie premii miesięcznej. Z tego robi się dziesięć procent potrącenia, co po przeliczeniu na pieniądze daje 300 złotych. Czy to jest kara? To jest parodia kary.

— I jeszcze jedno pytanie. Czy nadal urzędnicy boją się was?

HENRYK ŁABĘCKI: — Nie wiem, czy nas się boją czy nie. Chcemy, aby nas szanowali.

Rozmawiał: MAREK MAMOS

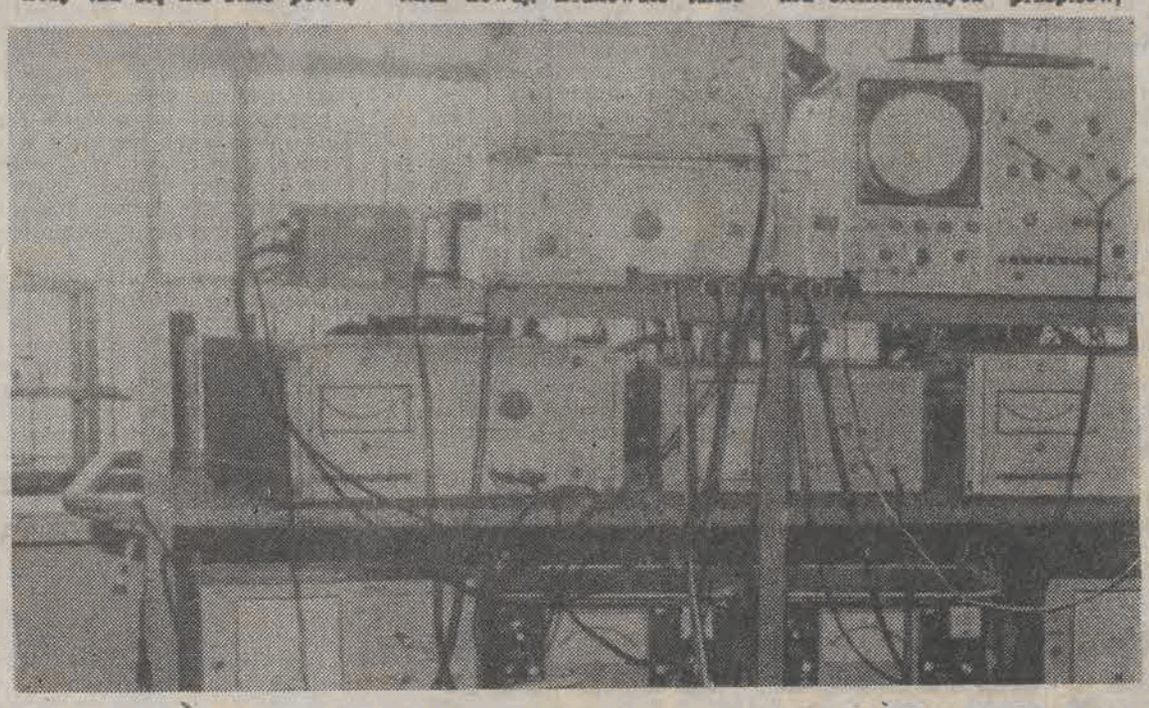

Fot. Grzegorz Gałasiński

Święto we wsi, którą włączono do miasta.

Wesele

RYSZARD BINKOWSKI

Autobus linii 71 zjeżdża w dół z wysokiego, jeszcze nie wykończonego wiaduktu, skręca w Tomaszowską i masz przed oczyma Łódź sielską, cichą, nurzającą się w blasku niedzielnego popołudnia. Pomiędzy nowoczesnymi willami trafiają się chaty i stodółki jak z obrazka, niczym żywe skanseny z kogutami na płotach.

Potem jest jeszcze niski, wąziutki wiadukt kolejowy, przez który ledwie się przeciska autobus. Stała tu kiedyś stara drewniana remiza, ale ją rozebrano i wywieziono.

Dalej, blisko przystanku w Jędrzejowie, stoi murowana, piętrowa remiza OSP, pięknie odmalowana, umajona, a przed nią ludzi i samochodów jak na weselu. I dudni weselna muzyka. Bo w Jędrzejowie Święto Ludowe!

Przy wejściu dwaj chłopcy wpinają znaczki i zbierają do puszek datki na budowę Mauzoleum Martyrologii Wsi w Michniowie. Sala w girlandach, w brzezinie i bzach. Stoły ustawione weselnie, w kanciastą podkowę, a na stołach wszystko to, co się urodziło dzięki trudowi rolnika — czym chata bogata!

Wiesława Zgierska, najładniejsza z szefowych Kół Gospodyń Wiejskich, a już na pewno w najpiękniejszej sukni z falbanami, potrafi także śpiewać, trudno jej natomiast wyjaśnić, jakim cudem KGW z Jędrzejowa zdobyło się na tak bogate przyjęcie. Ale wiadomo, że kobiety są skromne, oszczędne i jak one zorganizują jakąś zabawę dochodową, to zawsze zbiorą więcej pieniędzy niż mężczyźni.

Na scenie bawi publiczność kapela „Łodzianka", której występ zorganizowała Bogda Witkowska z Łódzkiego Domu Kultury. Muzycy wywodzą się z byłego zespołu „Widzewiaków", są w strojach łączących tradycję z nowoczesnością, jeden pan ma nawet taką samą czapeczkę jak Ptaszyn-Wróblewski. Grają i śpiewają głośno, bo przywykli do występów w plenerach, ale trudno ich porównywać z wyciem kapel rockowych z Jarocina. „Łodzianka" jest lepsza i z wdziękiem lansuje autentyczny łódzki folklor.

Na scenie pojawia się człowiek w jasnym garniturze i z mikrofonem w ręku, ale nie jest to członek kapeli, tylko Zbigniew Zgierski, prezes koła ZSL w Jędrzejowie. Wita zaproszonych gości, przedstawicieli władz polityczno-administracyjnych dzielnicy Łódź-Górna i WK ZSL i są przemówienia. Główny ideolog, Marian Łabędzki, nie przemawiał, zakazał mi tytułować siebie magistrem, więc przestałem, on zaś zajął się dogłębnie sprawami kultury. Mnie także się podobała kultura, lecz tego weselnego popołudnia co innego pochłaniało, moją uwagę. Zdopingowało mnie do tego wystąpienie Krzysztofa Czajkowskiego, sekretarza WK ZSL, który stwierdził, że rolnicy przez okrągły rok pracują ciężko, przeto w dniu Święta Ludowego należy im się chwila wytchnienia. Musi być trochę czasu na to, abyśmy się lepiej poznali, i rozweselili.

No, tośmy się poznawali i weselili. Ja na przykład poznawałem osobiście dziewczynę, którą znam od dwudziestu pięciu lat, z tym że ta moja sympatia jest ode mnie akurat o tyle lat młodsza. A w tzw. międzyczasie poznawałem problemy Jędrzejowa. Sołtys Władysław Bukarewicz, który ponad trzydzieści lat pracował w łódzkiej fabryce, prowadząc jednocześnie 3,5 ha gospodarstwo i hodując bydło, twierdzi, że chociaż Jędrzejów w 1948 roku został przyłączony do Łodzi po likwidacji gminy Wiskitno, to nie stracił do dziś wiejskiego charakteru. Ale tak duże sołectwo, rozrzucone w rejonie kilku ulic, m. in. Tomaszewska, Śląska, Dąbrowskiego, Olechowska, Kolumny, musi mieć problemy. Dzieci wprawdzie dojeżdżają wygodnie do szkoły na Kossaka autobusem, ale za to do sklepu na Kossaka jest 4 km, a do sklepu w Wiskitnie 2 km. Większość rolników dorabia w przemyśle, ludzie budują domy, a stare chaty zostały tam, gdzie ludzie starzy, bez następców. Ogółem jest 264 gospodarstw od 0,5 ha do 12 ha, w których hoduje się dużo świń, opasów i produkuje dużo dobrego mleka. Przodują tacy rolnicy jak Stańczak, Gradowski, Trojanowski, Kamiński...

Przerwała mi kapela i zbiorowy śpiew: „Sto lat" na cześć solenizantki, Teodozji Boruckiej. Śpiewałem. Dziewczyna, którą wciąż poznawałem, była miła, troskliwa, uczynna i próbowała mnie solidnie nakarmić, lecz we mnie odzywały się najgorsze skłonności i moja łapa sięgała zdradziecko ku zastawie o bardziej miniaturowych kształtach. Współczułem Zbigniewowi Zgierskiemu, prezesowi koła ZSL, który pełni tyle funkcji społecznych, że trzeba by sporządzić specjalną listę. A tu czekają Jędrzejów rozpoczęte już i niezbędne wielomilionowe inwestycje, przy czym 30 proc. kosztów musi pokryć społeczeństwo. No i społeczne komitety budowy muszą być organizatorem, inwestorem, wykonawcą itp. Trudno zbudować 8 km gazociągu za 40 mln zł, ponieważ kompetentne urzędy zwlekają z załatwieniem sprawy. Z budowy zaś wodociągu za 18 mln. wykonano już społecznie 2 km i 1800 m na placach w Wiskitnie, a do wykonania pozostał jeszcze kilometr. Jak Zgierskiego wypędzą drzwiami, to wlezie przez okno, byłby więcej załatwił na telefon, ale nie może się go doczekać.

Potem, jak to na weselu, zaczęły się tańce, do czego nie wyrażałem specjalnych skłonności, ale spróbowałem. No bo Józef Modranka, prezes OSP, która liczy sobie 61 lat, zapewniał, że ze zbudowanej w 1949 roku remizy powinni korzystać wszyscy. W Jędrzejowie jest dziś 18 strażaków, w tym kilku młodych, ale remizę wznosiła gromada, toteż gromada ma prawo korzystać.

Korzystaliśmy więc na całego! W trakcie ogarnęła mnie nostalgia za latami młodości i w drodze do niej przybrałem barwy ludowe, zielone jak łąka, przed kwitnieniem. Zważywszy jednak na zzieleniałą część garderoby nie mogła to być pomalowana odświętnie trawa. Większe kłopoty ma Jędrzejów ze swoim sklepem, który zlikwidowano tam zaraz po wyborach, chociaż mógł jeszcze egzystować. Nowy kosztuje 14 mln zł. Jest społeczny komitet budowy, łódzka GS daje 5 mln. Urząd Miasta 2 mln, jest 1,3 mln z funduszu rozwoju rolnictwa, a sklepu nie ma...

Ale co tam smutki! Solista z „Łodzianki" odstawia bęben, bierze mikrofon i śpiewa „Kuplety na kobiety" No i to się podoba nie tylko kobietom. Wszystkim to się podoba. Ale kapeli wyczerpał się już kontrakt, trzeba więc zebrać weselnym zwyczajem jakieś czepkowe. Zaczęło się więc prawdziwe wesele, na którym ja i towarzysząca mi pani mogliśmy uchodzić za parę młodych. Do oczepin jednak nie doszło, ponieważ nie było czepców, a mnie to nie można nawet oskalpować, bo nie ma specjalnie za co chwycić. Nie było również nocy poślubnej, gdyż nie pozwalały na to warunki ekologiczne, bo jak się człowiek nawdycha wiejskiego powietrza ze wsi włączonej do Łodzi, to zawsze jest tam sporo smogu, co bardzo źle wpływa na przemianę materii.

Usłyszałem za to, jak to jest z tym nieszczęsnym sklepem w Jędrzejowie. Otóż sprawa wygląda tak, że aby zbudować w czynie społecznym sklep, trzeba uzyskać około dziesięciu opinii i zezwoleń z różnych urzędów i instytucji, m. in. opinię architekta, Sanepidu, rady nadzorczej, GS itp. No i niemal na wprost remizy jest działka 1000 m kw. pod sklep, ale trzeba przekwalifikować grunt na V klasę, wyłączyć go spod produkcji rolniczej, uzyskać zgodę na wykup po cenach umownych, a ceny rosną. Wskutek zbiurokratyzowania naszego życia, sprawy ciągną się miesiącami i gaśnie zapał społeczny.

W Jędrzejowie są ludzie społecznie zaangażowani, serdeczni i gościnni, ale rolnik nawet w Święto Ludowe musi ponarzekać, bo nie ma łatwego życia.

Co było potem, nie wspomnę, bo i tak nikt nie uwierzy w cuda. W każdym bądź razie, jako tradycyjny weselnik wróciłem do pracy o poranku, gdy słońce stało już na chłopa, jakby napisał pan Reymont. A w drodze pomyślałem o panu wiceprezydencie Lechu Krowirandzie, któremu najbardziej leżą na sercu problemy łódzkiego rolnictwa. Chodzi o to, że w centrum miasta lub w nowych osiedlach na peryferiach mieszkańcy mają wszystko gotowe: domy, ulice, sklepy, wodę i gaz. Natomiast w leżącym w granicach miasta Jędrzejowie ludzie pragną zapewnić sobie to sami, czemu należy nie tylko przyklasnąć, ale przede wszystkim pomóc, a nie utrudniać. Tym bardziej, że Jędrzejów to największe obok Złotna sołectwo na terenie Łodzi, gdzie produkuje się świeżą żywność dla miasta. I jest nadzieja, że nadal będzie się tam rodzić zboże, ziemniaki, będzie mięso, drób i świeże mleko, bo Jędrzejowowi nie grozi na razie los Retkini, którą na zawsze zalał beton.

ze str. 1

trwał okres wypowiedzenia itd. Natomiast czy pracownik w nowym miejscu pracy uzyska od razu czy po jakimś czasie uprawnienia urlopowe, całość lub część „trzynastki", „czternastki" itp. itd. wyniknie to z tekstu nowej, zawartej z nowym pracodawcą umowy o pracę. Z tego też, choć nie tylko z tego powodu, uważam, że zawarcie umowy o pracę może, a nawet powinno (w interesie obydwu stron) następować dużo wcześniej niż faktyczne przystąpienie do pracy. Tekst tej umowy „zawierający elementy wyżej wymienione tj. zakres pracowniczych uprawnień i przywilejów oraz możliwie precyzyjny zakres obowiązków, może być również wyposażany w różne klauzule, dotychczas w takich umowach nie istniejące. Spodziewać się bowiem należy, że zreformowane, samodzielne przedsiębiorstwo może mieć w stosunku do pracownika jakieś szczególne wymagania i gotowe będzie — za spełnianie tych wymagań — oferować bardzo specyficzne gratyfikacje.

PORZUCENIE PRACY

jest... specyficzną formą rozwiązywania stosunku pracy bez wypowiedzenia i ze skutkiem natychmiastowym... ze strony pracownika! Już widzę, jak się poniektóry Czytelnik tych słów puka w czoło i mruczy: co też on wygaduje! Życia nie zna? Przecież wiadomo, że rocznie około 300 tysięcy osób porzuca pracę i są to notoryczne obiboki i pasożyty, pijaczki, których rano głowa boli i nie chce się im iść do roboty. Owszem, tak — odpowiem — przeszło 90 proc. z tej niesłychanej liczby porzucających, to pijacy, nieroby i złodzieje, którzy podjęli zatrudnienie (bo nie pracę...) tylko po to, żeby wyfasować odzież roboczą i opędzlować ją na rynku. Ale jest przecież choć parę procent uczciwych, skrzywdzonych, sfrustrowanych warunkami pracy lub atmosferą, którzy w wyniku stresu i napięcia nerwowego rzucają pracę.

Nie twierdzę — broń Boże! — żeby jakaś ochroną prawną obejmować wszystkich porzucających. Przeciwnie, bardzo mnie przekonuje pomysł, aby ludzie ci byli po prostu karani, choć jestem zdania, że wyłącznie finansowo.

Przeciwny jestem natomiast metodzie do dziś stosowanej, a polegającej na „karnym" ograniczaniu możliwości zarobkowych delikwenta. Prowadzi to do sytuacji nie do pogodzenia z duchem reformy, takich jak zatrudnianie wybitnego nawet fachowca na niskiej stawce Porzucający pracę ma zobowiązania w stosunku do byłego pracodawcy i trzeba te zobowiązania z całą surowością wyegzekwować. W nowym miejscu niechże ma kartę czystą i szanse na nowy rozdział zawodowego życia. Myślę także, że można by zróżnicować zwykłe, „bumelanckie" porzucenie pracy i takie właśnie, wspomniane już „dyscyplinarne rozwiązanie stosunku pracy przez pracownika" byle było ono rzeczywiście dokonane, tj. miało formę pisma, złożonego w określonym, krótkim terminie. Dolegliwość prawna byłaby jakoś tam mniejsza niż przy zwykłym porzuceniu. A służbom socjalnym i związkom zawodowym takie „dyscyplinarki" udzielone zakładowi dostarczyłyby ciekawego materiału na temat warunków pracy w „ukaranych" zakładach...

Bardzo ważna jest możliwość zwalniania pracowników, dla których nie ma pracy. Jest to myśl bardzo słuszna, choć nie dokończona. Jestem otóż zdania, że w zakładzie nie powinno być miejsca na

FIKCYJNE ZATRUDNIANIE

kogokolwiek. Nawet pracowników w wieku przedemerytalnym i karmiących matek. Zasadą powinno być, że pracownik ma w zakładzie pracować. Ta banalna myśl gdyby ją poważnie potraktować, zmuszałaby właśnie do zwalniania karmiących matek i niepotrzebnych, choć długoletnich i zasłużonych pracowników. Co z nimi robić, to już zupełnie inna kwestia. Należałoby pomyśleć o systemie zasiłków, rekompensat czy czego tam jeszcze. Pracownicy „przedemerytalni" mogliby być dodatkowo zabezpieczeni przepisem, nakazującym takie wyliczanie emerytury, kiedy osiągną już odpowiedni wiek, które byłoby możliwie najbliższe temu wyliczeniu w warunkach, gdyby ów pracownik dotrwał do określonego wieku przy warsztacie pracy.

Socjalistyczne państwo nikomu nie da zmarnieć w nędzy ani umrzeć z głodu. Państwo jako całość, ale nie każdy zakład pracy! Płacenie „za nic" karmiącym matkom i „weteranom pracy" zamiast takiego samego płacenie im za pracę fikcyjną, za samą obecność w pracy per saldo się opłaci!

Pozostaje jeszcze zwalnianie pracowników, dla których — czasowo — zakład nie ma roboty. Bez trudu można sobie wyobrazić, że tej roboty brak akurat dla dobrego fachowca, który jest nieprzydatny na razie, ale w przyszłości może być zakładowi potrzebny. Co się wówczas stanie? Ano, złamie się zasadę i będzie go się fikcyjnie zatrudniać. A przecież w wielu branżach i zawodach znana jest instytucja płacenia „postojowego", płacenia za samą gotowość do pracy. Pracownikowi „czasowo zbędnemu" można płacić jakąś część zarobku zupełnie legalnie, nie wymagając nawet codziennego zgłaszania się do zakładu. Byleby był gotów — na każde żądanie pracodawcy — zgłosić się. Może sobie nawet gdzie indziej pracować.

Ogólnie biorąc, przedstawione wyżej propozycje zmierzają do takiego sformułowania prawa pracy, które będzie ułatwiać mobilność pracowników. W wyniku stałego ruchu pracowników można będzie dojść do jednego z założeń reformy: przed dobrym, dobrze płacącym zakładem uformuje się kolejka chętnych i ten pracodawca będzie w fachowcach przebierał jak w ulęgałkach. Tymczasem kiepski, nie nadążający zakład będzie skazany na zatrudnianie „odpadów" z tego pierwszego. Może nawet zbankrutuje z powodu braku pracowników?

Taka właśnie otwartość rynku pracy, mobilność siły roboczej i zdrowy, naturalny ruch kadrowy będzie czynnikiem dynamizującym gospodarkę. Żeby jednak mógł mieć miejsce, prawo pracy musi nadążać za rzeczywistością. Zmiana miejsca pracy nie jest, nie musi być wszak zmianą pracodawcy. Jeśli rzecz cała ma miejsce w państwowych zakładach, to pracownik wciąż pozostaje związany z jednym pracodawcą — Polską Rzeczpospolitą Ludową. Warto o tym pamiętać, formułując zmiany w kodeksie...

OTWARTY RYNEK PRACY

zmusi w konsekwencji do innego traktowania pośrednictwa pracy. Wydziały zatrudnienia urzędów administracji państwowej przestaną działać w trybie nakazowym, ograniczać, limitować itd. W tej sytuacji może rozwinie się pośrednictwo o charakterze bardziej społecznym, prowadzone np. przez organizacje zawodowo-społeczne (NOT, PTE i inne), przez związki zawodowe, może także przez organizacje młodzieżowe?

Otwarty rynek pracy miałby określone konsekwencje także wewnątrz zakładów pracy.

Obowiązuje do dziś dziwaczny przepis, który nakazuje pracownikowi uzyskać zgodę na dodatkowe zatrudnienie. Zakład pracy, pracodawca jest zatem uprawniony do kontrolowania tego, co pracownik robi poza godzinami, w których jest zatrudniony! Pracodawca nie może pracownikowi zabronić maltretowania żony i dzieci, nie może mu zabronić kartografstwa i wódochlejstwa, a może mu zabronić pracować! Ten przepis, zupełnie irracjonalny, niezrozumiały i — nie waham się tego powiedzieć — ograniczający prawa obywatelskie winien natychmiast z kodeksu zniknąć. To nie wszystko — to sam pracodawca powinien mieć prawo zatrudnić swego pracownika dodatkowo, na dłuższy czy krótszy okres! Argumenty są tu oczywiste: powszechnie znane są praktyki, polegające na tym, że zakład zleca jakieś prace innemu zakładowi, np. spółdzielni pracy, która z kolei zatrudnia pracowników tego pierwszego zakładu, aby wykonać zlecenie! Bierze — oczywiście! — grubą marżę za swoje usługi, ale prawo pozostaje nienaruszone. Co najwyżej kasa i zdrowy rozsądek...

Myślę, że i

GODZINY PRACY

można potraktować bardziej elastycznie niż dotychczas. Wiadomo, że im bardziej skomplikowana intelektualnie praca, tym bardziej bezsensowne jest jej normowanie i ocenianie według czasu, w jakim się ją wykonuje. Nikogo nie dziwi, że nauczyciel ma w etacie 18 godzin, że adwokatowi czy dziennikarzowi, albo artyście nikt godzin nie wyznacza i nie wylicza. Coraz śmielej i coraz szerzej należy stosować ruchomy czas pracy i to nie tylko w stosunku do pracowników tzw. umysłowych. Prawo pracy powinno tę elastyczność uwzględniać, bo uwzględnia ją życie. Rzecz jasna nie nawołuję do pełnego woluntaryzmu w dziedzinie godzin otwierania sklepów czy okienek na poczcie i w banku, do pełnej dowolności w kursowaniu pociągów i tramwajów. Tu akturat punktualność jest cnotą najwyższą i niezbędną. Teoretycznie, jak dotąd...

Jest natomiast absurdem „polski szabas" tj. wolna sobota w handlu, usługach, komunikacji i innych służbach. Prawo pracy wyraźnie określa tygodniowe pensum godzin pracy, nie określa wcale, że wolne dni mają wypadać akurat w sobotę. Kto się decyduje na pracę w sklepie, w kinie, w hucie itd. itd. musi zakładać z góry, że niedziela wypadnie mu czasem w czwartek, a wolna sobota we wtorek. Płacenie w tej sytuacji podwójnych stawek za pracę w te dni jest absurdem.

Ta ostatnia dygresja akurat nie ma nic wspólnego ze społeczną dyskusją nad kodeksem pracy, ale sprawa dawno leży mi na wątrobie i wreszcie miałem okazję ją wyartykułować.

OSTATECZNA KONKLUZJA

wynikająca z lektury tego artykułu może być i taka: propozycje autora, słuszne czy niesłuszne, mają jedną wadę: idą na dużą wolność pracowników i pracodawców. Jak się ustrzec zatem woluntaryzmu w zwalnianiu pracowników uznanych za zbędnych? Jak ściągnąć grzywny czy, jak tam nazwać, kary pieniężne od porzucających pracę? Jak się ustrzec nadużyć i zwyczajnego kumoterstwa w zatrudnianiu na drugi etat w tym samym zakładzie? A proponowana otwartość umowy o pracę, umowność w dziedzinie określania obowiązków pracownika i przysługujących mu uprawnień i gratyfikacji?

Ano, nie ukrywam, że również podzielam te obawy. Widzę konieczność dokonania odpowiednich zmian w sądach pracy, widzę pole szczególnej aktywności i kontroli społecznej ze strony samorządów pracowniczych i instancji związkowych. Widzę trudne bariery w myśleniu, których przełamywanie potrwa. Jestem jednak optymistą: wolność pracy tylko wówczas będzie miała społeczny sens i przyniesie pożytki, jeśli będzie wprowadzana równolegle z reformą gospodarki, z restrukturyzacją przemysłu, dalszym, poważnym usamodzielnieniem zakładów i zwolnieniem hamulców, które dziś jeszcze nie pozwalają zdynamizować i rozkręcić się mechanizmom rynkowym.

ANDRZEJ KAROLCZAK

Granice tragedii: Oni dwaj, ona, dwie butelki wina marki „Regle" produkcji Podhalańskich Zakładów Owocowo-Warzywnych „Tymbark", stracone marzenia i kawałek drutu od telewizyjnej anteny.

Przykładnie potępieni

ROMAN KUBIAK

Zofia D. i Zbigniew Z. popełnili wykroczenie. On był klientem sklepu spożywczego, ona ekspedientką, która sprzedała wino przed godziną trzynastą. Dwie butelki wina były warte czterysta siedemdziesiąt złotych. Następnego dnia oboje mieli stanąć przed sądem. On wrócił do domu i poszedł spać. Ona wróciła na wieś i pożegnała się z życiem.

ON

W czwartek 12 marca 1987 r. Zbigniew pracował w terenie. Jako najemny monter łódzkiej firmy telekomunikacyjnej często dostawał polecenie wyjazdu w delegację. Od kilku tygodni codziennie meldował się na budowie szpitala wojewódzkiego w S.. Zatłoczonym rannym tramwajem dobrnął do dworca kolejowego. Na Kaliskim odnalazł w tłumie swojego brygadzistę Waleriana S., również montera w delegacji. Walerian jest jedenaście lat starszy i dociąga pięćdziesiątki. Nie posiada jak Zbigniew wykształcenia technicznego, ale ma większe doświadczenie fachowe, dlatego nadzoruje pracę młodszego kolegi. Poza pracą łączą ich godziny spędzone w pociągach i rozmowy przy kieliszku. Właściwie nawet nie przy kieliszku, tylko przy gołej butelce, gdyż na kolei trzeba pić ukradkiem.

Pociąg jechał wolno zatrzymując się na wszystkich podmiejskich stacyjkach. Drzemali jak większość pasażerów w przedziale, gdzie było czuć wczorajszą źle przetrawioną wódką. Wysiedli na stacji S., gdyż mieli stąd bliżej do placu budowy. Droga do szpitala prowadzi stromą uliczką między jednorodzinnymi domami, których właściciele nie muszą wcześnie wstawać do najemnej roboty. Zbigniew zawsze marzył o takim domku i o tym, żeby nie śpieszyć się ze wstawaniem. Zarabiał całkiem nieźle, ale życie w delegacjach płynęło prawie tak szybko jak pieniądze na alkoholowe podróże. Z pracy wracał zwykle lekko wstawiony, jadł coś, wypijał jeszcze jedno piwo i szedł spać. Rankiem znowu musiał jechać gdzieś w teren, wracał, pił piwo i spał. Nie lubi swojej roboty, lecz co za różnica skąd brać pieniądze. Kiedyś miał ambicje, czytał książki, ale z kolegami rozmawia się o tym, co widzieli wczoraj w telewizji albo na stadionie. Woli, żeby nie nazywać go robotnikiem. W szkole zawodowej inaczej wyobrażał sobie dorosłe życie i pracę. Jego starszemu koledze od dawna jest wszystko jedno. Przy butelce rozumieją się lepiej.

Przed siódmą otworzyli drzwi służbowej pakamery. W środku jest kulawy stół, dwa uparprane krzesła i blaszane szafki ubraniowe wyklejone fotosami nagich rozpromienionych szczęściem dziewcząt. Przez zakratowane okna widać szare błocko dziedzińca i rozgrzebaną budowę. Zanim włożyli robocze ciuchy, opróżnili po butelce piwa. Piwo należy do ścisłego inwentarza pakamery. Tego dnia obaj monterzy zakładali instalacje na oddziale ginekologicznym. Pracowali krócej niż zwykle. Parę minut po dziesiątej Walerian polecił zakończyć robotę, gdyż chciał wcześniej wrócić do Łodzi. Jego chora żona leżała w klinice, toteż zamierzał ją odwiedzić. Przebrali się i poszli w kierunku stacji. Wiatr niósł ostry zapach drożdży do centrum S., gdzie przy głównej trasie jest wytwórnia podłego wina. Zbigniew nie miał chorej żony, więc nie wiedział co zrobić z resztą czasu.

Po drodze do przystanku kolejowego na zbiegu peryferyjnych uliczek jest mały sklep spożywczy, a raczej zielony barak z ladą chłodniczą i niskimi półkami. Na tych półkach mieszczą się tylko artykuły pierwszej potrzeby oraz piwo i wino. Zatrzymali się i poczekali aż wyjdzie ostatni klient. W sklepiku pracuje jedna ekspedientka. Zbigniew wszedł do środka i zażądał dwóch butelek wina marki „Regle". Była za kwadrans jedenasta, czyli z mocy ustawy obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu. Młoda sprzedawczyni zawahała się, ale opieszale sięgnęła po butelki. Za szybą stał drugi mężczyzna, bez wątpienia kolega tego zza lady, który bacznie obserwował, co dzieje się w sklepie i przed nim. Zbigniew kupił jeszcze cztery piwa i dwa pudełka ptasiego mleczka dla chorej małżonki brygadzisty. Ujęły go cierpienia nieznajomej kobiety.

Spieszyli się na pociąg. Nie wiedzieli, że od kilku minut obserwują ich bystre oczy dwóch milicjantów. Kaprali bardzo interesowała zawartość torby Zbigniewa. Całą czwórkę oraz dwie butelki wina „Regle" zabrał wezwany radiowóz. Byli zbyt gadatliwi. Na przesłuchaniu głupio wypaplali o tym piwie w czasie i miejscu pracy, chociaż pili bez świadków. Obaj nigdy nie stawali przed sądem. Zbigniew po męsku przyznał się do połowy winy, to znaczy do nabycia alkoholu przed trzynastą. Drugą połowę winy zostawił po drugiej stronie lady. Dziewczyna ze sklepu sprzedała mu alkohol bez przymusu. Powinna wiedzieć co czyni. Następnego dnia rano czekał ich Sąd Rejonowy w S. z rozprawą w trybie doraźnym z dwóch paragrafów. Wracali do domów główkując, skąd wykombinować forsę na grzywny. Dzień 12 marca Zbigniew Z. i Walerian S. zaliczają do takich sobie wesołowych, no może zbyt kosztownych przygód.

ONA

12 marca 1987 r. Zofia także wstała bardzo wcześnie. W parterowym murowanym domu z piwnicą i nie wykończonym strychem zawsze wstawało się bardzo wcześnie, jak to na wsi. Idąc drogą przez wieś B. w kierunku stolicy województwa, gospodarstwo rodziców Zofii zobaczymy po lewej stronie. O piątej rano, jeśli nie zawieje szosy, jedzie pekaes do S. W czwartek nie zawiało drogi i pół godziny później Zofia była w mieście. Otworzyła sklep przy zbiegu peryferyjnych uliczek, wniosła skrzynki z mlekiem i czekała na samochód z piekarni. Zofia bardzo szanowała swoją pracę za piętnaście tysięcy miesięcznie. Ciągnęło ją do miasta, bywało że piechotą przez pola, gdy uciekł ostatni autobus. Gospodarkę po starych rodzicach przejmie brat, a dom jest nieduży, tylko cztery ciasne izby „wchodzone" od sieni. Za mało tu miejsca na układanie dorosłego życia. Matka Zofii nie wie, w którym sklepie pracuje córka, ale z dumą opowiada, że Zofia jest sklepową w mieście. Matka lęka się dużego miasta i jego ludzi, gdyż nie ma szkoły. Starszą córkę wydała za mąż, młodszej dała szkołę handlową. Niczego więcej dać nie mogła, bo razem z mężem Józefem gospodarzą na postnych hektarach.

Do sklepu pierwsi zaglądają emeryci. Za nimi wbiegają spóźnieni do pracy urzędnicy, za urzędnikami schodzą się okoliczni budowlańcy. Od świtu Zofia podawała mleko i bułki, później piwo i papierosy. Piwa sprzedaje się więcej niż mleka. Do trzynastej prawo zakazuje handlu winem. Samotna kobieta za ladą peryferyjnego sklepiku miała strzec tego prawa. Strzegła jak potrafiła. W pijackich kręgach krążyła rada, że jeśli sklepową postraszyć słowem albo przyłożoną do zębów pięścią, wtedy grzecznie poda flaszkę wina. Na przesłuchaniu Zofia powiedziała, że to nieprawda.

Cały świat Zofii miał rozmiary sklepu spożywczego numer czterdzieści pięć. Po pracy wracała na wieś, wieczorami pomagała matce, urlop brała tylko w czasie żniw. Rzadko chodziła na potańcówki, chociaż dla dwudziestoczteroletniej panny ostatnia to pewnie okazja, by złapać kawalera. Cicha, spokojna, dobrze się prowadzi, nie pije — wyznają sąsiedzi. Skryta. Ani słowem nie zdradza swych dziewczęcych marzeń. Milczała o tym, że pragnie założyć własną rodzinę w mieście.

Przed jedenastą pod sklepem stanęli ci dwaj: młodszy z torbą i starszy z rękami w kieszeniach. Zofia widywała ich prawie codziennie w drodze na stację, czasem kupowali u niej piwo. Ci dwaj czekali, aż ze sklepu wyjdzie ostatni klient. Potem młodszy starannie zamknął za sobą drzwi i spytał, czy mu sprzeda dwa wina. Starszy stał za szybą i patrzył, co z tego będzie. Ich było dwóch, ona jedna. Dwóch do jednej jest zapowiedzią powodzenia na tanecznej zabawie, ale fatalnie rokuje samotnej obrończyni prawa. Zofia wolała sprzedać wino.

Dwie godziny później siedziała w pokoju przesłuchań. Wprowadzili ją milicjanci. Każdy, kogo pierwszy raz w życiu prowadzą milicjanci ma tak samo miękkie nogi i ściśnięte gardło. Na biurku śledczego stały dowody przestępstwa marki „Regle". Za ich sprawą runął świat Zofii D. Wiedziała, że nie wróci do sklepu. W najlepszym razie dostanie wyrok w zawieszeniu, zakaz pracy w handlu i kilkadziesiąt, może nawet kilkaset tysięcy złotych kary. Ona i ci dwaj schwytani na gorącym uczynku, którym alkohol napędza rece i nogi, będą przykładnie potępieni. Staną obok siebie w sądowej ławie, bo dla prawa są z jednej ulepieni gliny, chociaż w różnych wypaleni piecach. Usłyszą wyrok ciężki i przykładny, gdyż wyroki ciężkie i przykładne zapadają po to, by wzniecać strach. Więc zostaną złożeni na ołtarzu przestrogi. Potem każde z nich pójdzie w swoją stronę: oni do swojego życia, którego wódka jest częścią niezniszczalną, ona także do swego życia. Zofia nie miała dokąd wracać.

Wysiadła na przystanku w rodzinnej wsi. Nazajutrz rano z tego przystanku znów miała jechać do miasta, ale nie jako sklepowa, lecz jako oskarżona. Wyroki o złamanie ustawy antyalkoholowej zapadają w trybie doraźnym. Na tablicy w sądowej poczekalni wywieszą odpis jej ciężkiego wyroku. Opiszą ją w gazecie z imienia i nazwiska, wymienią też imię ojca Zofii który siedemdziesiąt lat przeżył bez skazy. Wszystko to znowu ku przestrodze, a może z innych ważnych powodów, chociaż za rozdawaniem cierpienia nigdy nie stoją wystarczająco jasne racje.

Szła drogą przez wieś ucząc się trudnego słowa sąd. Kiedyś gospodarze K. byli wzywani do sądu na świadków i też lękali się jechać. Bo sąd, to sąd, czyli hańba. W domu przywitała się z matką, lecz nie umiała wypowiedzieć tego słowa. Na podłodze rozpostarła dywany, jakby w oczekiwaniu gości, potem drewnianymi schodami weszła na strych. Z dachu zwisał przewód telewizyjnej anteny. Ucięła kawałek tego przewodu, resztą opasała drewnianą krokiew. Stanęła na zniszczonym krześle i włożyła głowę w drucianą pętlę. Był mróz, ciało Zofii stygło bardzo szybko.

EPILOG

Dwie butelki wina marki „Regle" produkcji Podhalańskich Zakładów Owocowo-Warzywnych Tymbark w cenie 235 złotych każda zostały przekazane Skarbowi Państwa.

Jak dzieli się pieniądze z Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego? Co otrzymało województwo łódzkie i na co wydało? Jałowy bieg biurokracji. Czy walka z alkoholizmem idzie właściwym torem? Kilka propozycji do rozważenia.

Przelewania ciąg dalszy

JOLANTA WROŃSKA

Centralny Fundusz Przeciwalkoholowy oraz fundusze wojewódzkie zgodnie z Ustawą o Wychowaniu w Trzeźwości i Przeciwdziałaniu Alkoholizmowi powstają jako dotacja z budżetu państwa, określana corocznie przez Radę Ministrów na wniosek Krajowej Komisji Przeciwalkoholowej przy premierze. W wysokości do 3 procent wartości sprzedanego w skali roku alkoholu.

Fundusze wojewódzkie tworzone są z Funduszu Centralnego. Ten zaś — prócz dotacji budżetowej może być również powiększany o dobrowolne wpłaty zakładów pracy, spółdzielni produkcyjnych (z funduszu socjalnego zakładu), środki uzyskane z organizacji imprez itp. Co roku Rada Ministrów ustala wysokość stawki procentowej oraz wskaźnik wydatków. Dysponentem Centralnego Funduszu jest minister zdrowia i opieki społecznej. On też decyduje ostatecznie o wysokości wojewódzkich funduszy przeciwalkoholowych.

Fundusz dzieli się na trzy jakby zasadnicze części. I — 25 procent ogólnej wysokości Centralnego Funduszu stanowi „dotacja centralna", czyli kwoty przeznaczone na wydatki centralne. Pozostałe 75 procent ogólnej wysokości Funduszu dzieli się między wszystkie województwa. W kwocie jaką otrzymuje do dyspozycji województwo znajduje się tzw. niepodzielna dotacja przeznaczona wyłącznie na cele inwestycyjne — nie można jej przenosić na inne cele mieszczące się w sumie działań przeciwalkoholowych. I to jest II część Funduszu. Resztę przyznanych województwu pieniędzy, czyli część III przeznacza się na inne, przewidziane w planie działania.

Minister finansów wspólnie z ministrem zdrowia, na podstawie sprawozdań z wydatkowania funduszy centralnego i wojewódzkich w roku poprzednim, ustalają wysokość środków na rok bieżący. Minister zdrowia decyduje także o planie wydatkowania całości Funduszu Centralnego i ustala zasady planowania i sposoby wykorzystania funduszy wojewódzkich. W województwie funduszem przeciwalkoholowym dysponuje wojewoda. Na wniosek powołanej przy nim Wojewódzkiej Komisji Przeciwalkoholowej zatwierdza preliminarz wydatkowania funduszu.

Zgodnie z Ustawą o Wychowaniu w Trzeźwości i Przeciwdziałaniu Alkoholizmowi Centralny Fundusz Przeciwalkoholowy przeznacza się na budowę, remonty i wyposażanie placówek lecznictwa odwykowego, izb wytrzeźwień, domów pomocy społecznej, zakładów pracy chronionej i rehabilitacji dla osób uzależnionych. Na pomoc dla uzależnionych i ich rodzin w formie świadczeń pieniężnych i rzeczowych. Na budowę i wyposażanie placówek opiekuńczo-wychowawczych. Na badania naukowe nad alkoholizmem, kształcenie i zatrudnienie osób w niepełnym wymiarze czasu pracy w organizacjach społecznych krzewiących trzeźwość. Na wydatki rzeczowe działania terenowych komisji przeciwalkoholowych rejestrujących i kwalifikujących osoby uzależnione do leczenia odwykowego (głównie na potrzeby wymiaru sprawiedliwości) Wreszcie na oświatę, informację i propagandę antyalkoholową.

ROK 1986

W roku 1986 prezes Rady Ministrów, zgodnie z trybem ustawowym określił odpis na Centralny Fundusz Przeciwalkoholowy w wysokości 1,5 procent od sumy zysków ze sprzedaży alkoholu w kraju w roku 1985. Była to kwota 6 miliardów 334 milionów złotych.

Zgodnie z ustawą, z sumy 6.334 mln złotych, 25 procent powinno być odpisane na dotację na cele finansowane centralnie. 25 procent oznacza sumę 1 miliarda 583 milionów 500 tysięcy złotych. Tymczasem z dotacji centralnej Fundusz Rozwoju Kultury Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymał 1 350 mln; Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej (GKKFiT) — 900 milionów; Ministerstwo Obrony Narodowej na cele oświatowo-propagandowe otrzymało 3 miliony zł; Ministerstwo Oświaty i Wychowania otrzymało 4 miliony; Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej — 200 milionów 100 tysięcy złotych. Tu uwaga — była to dodatkowa kwota dla resortu zdrowia, dysponenta Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego, nie licząc sum wydzielanych na potrzeby tego resortu z funduszy wojewódzkich. Istotna jest też proporcja w dotacjach dla poszczególnych resortów.

Ponadto z dotacji centralnej otrzymały pieniądze: Zarząd Główny Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego — 15 mln; ZG Towarzystwa Trzeźwości Transportowców — 8 mln; ZG Ligi Kobiet Polskich — 10 mln; ZG Towarzystwa Przyjaciół Dzieci — 15 mln; Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego — 900 tysięcy złotych (specjaliści lecznictwa odwykowego i rehabilitacji alkoholików to głównie psychiatrzy i psychologowie).

Zaczem — dotacja centralna z Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego (25 proc.) wyniosła łącznie nie 1 miliard 583 miliony 500 tysięcy złotych, lecz 2 miliardy 590 milionów 900 tysięcy. O te też różnicę mniejsza była suma do podziału między województwa, czyli nie 4 miliardy 750 milionów 500 tysięcy, lecz tylko 3 miliardy 743 miliony 100 tysięcy złotych. Nie jest to bez znaczenia, gdyż oznacza zamiar zachowania przez „centralę" kontroli nad większością pieniędzy i jest dowodem nieufności wobec decyzji zapadających na szczeblu lokalnym.

Jak wspominałam, Centralny Fundusz Przeciwalkoholowy zawiera w sobie nierozdzielną kwotę dotacji na cele inwestycyjne. W roku 1986 była to suma 5 miliardów 134 milionów zł, dzielona między województwa. Wysokość Wojewódzkiego Funduszu Przeciwalkoholowego nie ma żadnego związku z wysokością zysków ze sprzedaży alkoholu w danym województwie za poprzedni rok. Przykładowo: województwo łódzkie otrzymało w 1986 roku na fundusz przeciwalkoholowy kwotę 171 milionów 380 tys zł, sprzedano zaś w województwie w roku 1985 różnych alkoholi za blisko 20 miliardów złotych. Półtora procent od tej sumy wyniosłoby około 304 miliony złotych. Czyli fundusz wojewódzki stanowił zaledwie 0,7 procenta zysków ze sprzedaży alkoholu.

Dla orientacji przytoczmy sumy wojewódzkich funduszy przeciwalkoholowych w kilku województwach, w nawiasach jest podana wysokość nierozdzielnej dotacji na cele inwestycyjne. Województwo stołeczne warszawskie — 148 mln (68 mln); nowosądeckie — 272 mln (246 mln); bydgoskie — 209 mln (174 mln); katowickie — 322 mln (210 mln); szczecińskie — 253 mln (223 mln).

Jeśli Czytelnik nie dostał zamętu w głowie od liczb i procentów, niech zechce jeszcze prześledzić na co wydano Wojewódzki Fundusz Przeciwalkoholowy w roku 1986

W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM

Wszystkie dane przytaczam za sprawozdaniem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UMŁ, przygotowanym dla departamentu ekonomicznego Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

Sumę 171 milionów 380 tysięcy zł przyznanego funduszu na rok 1986 powiększyła pozostałość z roku 1985 w wysokości 2 milionów 304 tys. złotych. Tak więc w dyspozycji było łącznie 173 miliony 598 tysięcy złotych.

Nierozdzielna dotacja inwestycyjna wyniosła 126 milionów, z czego: remont pawilonów II i III lecznictwa odwykowego w Specjalistycznym Psychiatrycznym ZOZ — 7 mln. Na budowę i wyposażenie domu pomocy społecznej Wojewódzkiego Zespołu Pomocy i Geriatrii przy ul. Przybyszewskiego — 115 mln. Kuratorium Oświaty i Wychowania otrzymało 4 miliony na budowę i modernizację Domu Dziecka w Łodzi przy ul. Aleksandrowskiej.

Działania oświatowo-propagandowe wyposażono w kwotę 10 mln 772 tys. złotych. W tym: prelekcje, wykłady, odczyty — 1 mln 201 tys. Zakup wydawnictw, czasopism, filmów, taśm i inne formy propagandy przeciwalkoholowej (kalendarze, plakaty, broszury, koszty wyświetlania filmów w szkołach i poradniach odwykowych) — ogółem 5 mln 856 tys. złotych plus 30 tysięcy na zakup plansz wystawowych. Na konkursy i imprezy o tematyce przeciwalkoholowej — 863 tys. (np. dwa konkursy zorganizowane wśród aptek łódzkich w Specjalistycznym ZOZ Gruźlicy i Chorób Płuc — bez komentarza). Z sumy tej sfinansowano też łódzkie eliminacje Ogólnopolskiego Konkursu „Młodość — Trzeźwość".

Towarzystwo Trzeźwości Transportowców otrzymało na zadania zlecone 1 mln 400 tys. zł — na zakup materiałów propagandowych w Zarządzie Głównym TTT (przypomnijmy — finansowanym z dotacji centralnej w wysokości 8 mln), zakup breloczków, map samochodowych, kalkomanii, proporców. Wszystko dla przypominania kierowcom o obowiązku zachowania trzeźwości za kierownicą, jakby tego nie wymagał jasno Kodeks Drogowy. Zarząd Wojewódzki TTT organizuje też rozliczne konkursy ze znajomości ustawy antyalkoholowej i przepisów ruchu drogowego — choć warunkiem otrzymania prawa jazdy jest egzamin z tychże przepisów, a ich nieznajomość ściga milicja i kodeks karny.

Inne organizacje społeczne otrzymały z wojewódzkiego funduszu kwotę 1 mln 155 tys. złotych na koszty zleceń. Z czego lwi kęs odgryzła „Estrada Łódzka" (1 mln zł) za monodram „Poker z Hamletem" przygotowany przez Jerzego Korsztyna na podstawie reportażu Andrzeja Karolczaka. Nadto pokazy organizowania bankietów bezalkoholowych w ZW Ligi Kobiet Polskich otrzymały dotację 155 tys. zł. W rachunkach znajduje się też pozycja: nagrody dla działaczy Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego w województwie łódzkim — 266 tys. zł oraz jedna delegacja przedstawiciela SKP do zgierskiego ZOZ za 1 tysiąc złotych.

Na pomoc dla rodzin osób uzależnionych od alkoholu przeznaczono ogółem 26 mln 987 tys., w tym na świadczenia pieniężne, w naturze i usługach — 5 mln 115 tys. Kuratorium Oświaty i Wychowania na pomoc materialną dla dzieci i młodzieży z rodzin alkoholików przeznaczyło 2 mln. Polski Komitet Pomocy Społecznej otrzymał 1 mln, łódzka służba zdrowia na remonty itp. — 1 mln 115 tys. złotych.

Akcja letnia dla dzieci i młodzieży — łącznie 4 mln 639 tys. W tym dla Specjalistycznego Psychiatrycznego ZOZ na obozy terapeutyczne dla osób uzależnionych i ich rodzin — 1 mln 539 tys. złotych.

Dożywianie w szkołach i internatach — ogółem 17 mln 233 tys., w tym: Kuratorium — 15 mln 506 tys. zł dla 3.671 dzieci i młodzieży z rodzin alkoholików objętych pomocą. Zaś Psychiatryczny ZOZ otrzymał 1 mln 727 tys. na organizację Dnia Kobiet, Dnia Dziecka, wieczorki taneczne dla pacjentów „odwykowych" i ich rodzin (skorzystało 776 osób, w tym 200 dzieci).

Na rozwój pomocy opiekuńczo-wychowawczej w szkole i poza szkołą przeznaczono 4 mln zł. Adresatem dotacji był Wydział Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki UMŁ, „na rzecz ograniczania zjawiska nadużywania alkoholu, poprzez organizację czasu wolnego młodzieży i dorosłych w ciągu całego roku" — jak to jest uzasadnione w sprawozdaniu.

Zatrudnienie osób w niepełnym wymiarze czasu pracy w komórkach i kołach wojewódzkiej organizacji SKP — 1 mln 409 tys. zł. Działalność Terenowych Komisji Przeciwalkoholowych — 1 mln 669 tys. zł, w tym honoraria biegłych zatrudnionych przy kwalifikowaniu osób uzależnionych do leczenia odwykowego — 987 tys. zł.

Pozycja „inne wydatki" dotyczy sumy 1 mln 801 tys. i oznacza koszty malowania, zakupu mebli i dekoracji wnętrz w poradniach odwykowych Specjalistycznego Psychiatrycznego ZOZ.

W tym miejscu trzeba wspomnieć, iż informacje uzyskane w Wojewódzkim Zarządzie Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego (dane o wysokości dotacji dla poszczególnych pionów) różnią się nieco od oficjalnego sprawozdania Wydziału Zdrowia. To ostatnie zresztą nie zawiera informacji o dotacji, jaką otrzymał ZW SKP w Łodzi z wojewódzkiego funduszu przeciwalkoholowego. Otóż ZW SKP operował w roku 1986 sumą (łącznie z pozostałością z roku 1985 — 134 tys. złotych) — 8 mln 531 tys. SKP zatrudnia w województwie w niepełnym wymiarze czasu pracy (godziny zlecone, półetaty itp.) 50 osób. Z owego budżetu na płace przeznaczono 703 tys., na honoraria za zlecone prelekcje — 125 tys., na nagrody z zakładowego funduszu — 20 tys., na nagrody dla działaczy, w tym emerytowanych SKP — 1 mln 12 tys., zakup materiałów i przedmiotów nietrwałych — prasa, druki itd. — wydano 5 mln 292 tys., za usługi materialne — poczta, telefon — 54 tys., za wynajem filmów propagandowych i oświatowych o tematyce antyalkoholowej — 1 mln 18 tys., na składki ZUS — 145 tys. złotych.

Nie bez powodu przytaczam tak szczegółowe dane. Ufając, iż Szanowny Czytelnik wytrzymał tę ilość informacji o mrowiu pieniędzy przeznaczanych na wytrzeźwienie narodu i nie poszedł zniechęcony już dawno na wódkę, ośmielam się przedstawić kilka wniosków końcowych. Dałoby się je streścić w jednym określeniu:

ZADZIWIAJĄCO ROZCIĄGLIWY SZYLD

stanowi fundusz przeciwalkoholowy. Tak rozciągliwy, że musi powstać pytanie — po co to wszystko? Jakie są rezultaty tego stanu rzeczy?

Dla nikogo w Polsce nie jest żadną tajemnicą, że **skuteczność**, a więc jedyne kryterium oceny funkcjonowania i jedyny probierz uzasadniający sens istnienia tej struktury, jest żałośnie nikła. Dlaczego?

Twierdzę, że założony cel — zwalczanie i ograniczanie zasięgu społecznego zjawiska alkoholizmu nigdy nie zostanie osiągnięty drogą mnożenia i rozbudowywania kolejnych struktur biurokratycznych. Bowiem struktura biurokratyczna, zgodnie z prawem Parkinsona ma to do siebie, że pączkując nieustannie, zaczyna żyć własnym, wewnętrznym życiem. Potrzebuje coraz znaczniejszych środków na podtrzymanie w ruchu swego organizmu, coraz dłuższego czasu uruchamiającego poszczególne komórki, a wreszcie wszystko to tak dalece wyczerpuje energię instytucji, że traci ona z pola widzenia cel, dla którego powstała. Co więcej, cechą rozrastającej się biurokracji jest też intensywne udowadnianie własnej niezbędności dla normalnego funkcjonowania dziedziny, w której porusza się instytucja. Efektem zawsze i wszędzie jest tylko jedno. Rozproszenie środków, rozmycie kompetencji i zakresu odpowiedzialności oraz nieskuteczność w rozwiązywaniu zadań.

Jest oczywiste, że całkowita wielkość budżetu państwa nie zmienia się, czy fundusz alkoholowy jest, czy go nie ma. Inaczej mówiąc resort zdrowia, kultury, oświaty itp. i tak są finansowane z budżetu państwa i nie ma absolutnie żadnego znaczenia dla ich funkcjonowania fakt, że część dotacji budżetowej otrzymają pod szyldem „fundusz na działania autyalkoholowe". Tym samym obecny kształt i sposób adresowania Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego nie powiększa budżetów poszczególnych resortów (byłyby identyczne, w całości z kasy ogólnej państwa, a tak część jest „zwyczajna", a część „specjalna", antyalkoholowa, ale jest fikcją doskonale uspokajającą sumienia. Łożymy przecież znaczne środki na zwalczanie alkoholizmu. Więc jest w porządku?

Nie ma też chyba większego sensu utrzymywanie tak bardzo scentralizowanego systemu planowania form działania i centralnego szczegółowego określania sposobu wydatkowania Funduszu w terenie. Ostatecznie władze lokalne lepiej znają potrzeby swego terytorium i ich polityka w tym względzie jest realniejsza. Nadto dotychczasowe doświadczenie poucza, że pragnienie „centrali" ścisłego kontrolowania poczynań lokalnych często powoduje mylną ocenę potrzeb w terenie. Zaś podwładni żądają więcej, niżby wskazywały ich rzeczywiste potrzeby, by jak najwięcej uratować po nieuniknionych „cięciach" centrali. Prowadzi to do fałszowania obrazu i manipulacji sprawozdawczych.

Sądzę, że tu właśnie leży przyczyna nader licznych, a bzdurnych „pozycji rachunkowych" i poważnego trwonienia środków na pozory kosztem rzeczywistych i sensownych posunięć. Na przykład duże sumy łożone na liczne pogadanki i uczone wykłady o strasznych skutkach alkoholizmu. Lub wcale częste sympozja, konferencje pseudonaukowe oraz kursa dla — damy na to — behapowców ze wszystkich fabryk województwa, na temat potwornych skutków picia wódki w trakcie pracy przy frezerce numerycznej. Jakby sam kodeks pracy nie nakładał na kierownictwa zakładów pracy, biur itd. bezwzględnego obowiązku tępienia obecności alkoholu w firmie i oczywistego przestrzegania trzeźwości pracowników w czasie pracy.

Osobną sprawą jest obecny model propagandy i informacji antyalkoholowej. Jest to znakomite pole do uprawiania tłustych chałtur dla plastyków projektujących rzewne plakaty w stylu „Tatusiu nie pij" — co jak wiadomo oddziaływuje wstrząsowo na pijaczków spod budki z piwem — infantylnych, treściowo prymitywnych broszur i ulotek kleconych przez rozmaitych wyrobników pióra za wcale duże honoraria. Jednocześnie nakład fachowego pisma „Problemy Alkoholizmu" jest zupełnie śmieszny, co znakomicie ogranicza oddziaływanie i dostęp do rzetelnej informacji. Od lat nie można się doczekać na milionowe nakłady mądrze opracowanych broszur propagujących idee ruchu „Anonimowych Alkoholików" czy „klubów abstynenta", z podaniem wszystkich adresów, dróg kontaktu, itp.

Drobiazgowe określenie na co można wydawać pieniądze z funduszu przeciwalkoholowego pomija całkowicie — i jest to wymowny brak — finansowanie kształcenia i dokształcania profesjonalistów (lekarzy, psychologów) i nieprofesjonalnych terapeutów pracujących z osobami uzależnionymi. Słowem nie wspomina się o dodatkach do urągająco niskich zarobków dla tych ludzi, których praca z pewnością nie zamyka się w urzędowych ośmiu godzinach. Toteż mamy krytyczną sytuację w psychiatrii i lecznictwie odwykowym, bo ludzie uciekają od trudnej pracy za małe pieniądze, młodzi nie chcą podejmować tych specjalizacji, a warunki techniczne, w jakich pracuje większość placówek psychiatrycznych graniczą z prymitywem. Nie wspominając o stałej potrzebie uzupełniania wiedzy wśród lekarzy, sprowadzaniu światowej literatury, kontaktach z zagranicznymi ośrodkami itp.

Dlaczego też całkowicie pomija się fakt, iż nie tylko złotówki wydajemy na alkohol, lecz także dolary (113,7 mln w roku 1986). Gdzież się podziewają te zyski? Czy nie byłoby sensowne, by — nawet pozostając przy skali 1,5 procent od zysków ze sprzedaży alkoholu za dewizy — kwota dewizowa była ustawowo przeznaczana na zakup leków koniecznych w procesie lecznictwa odwykowego. Znane są fakty długotrwałego braku w placówkach służby zdrowia „Anticolu" czy „Esperalu" — co w ogóle stawia na głowie całą walkę z alkoholizmem. Czy nie można by zagwarantować, by zyski dewizowe ze sprzedaży alkoholu w skali roku w całości były przeznaczane wyłącznie na zakupy importowanych leków, których u nas się nie produkuje oraz dewizowych komponentów do naszych leków?

Uważam też, że należy w końcu powiedzieć głośno, to, co i tak jest wiadome od dawna. Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy jest ciałem martwym, pozorującym niesłychaną aktywność (w sprawozdaniach aż roi się od pogadanek, prelekcji, konkursów) przy całkowitej nieskuteczności oddziaływania tak na świadomość, jak na postawy społeczne. Tego rodzaju formy przeżyły się już zdecydowanie i nie ma potrzeby roztaczania ochronnego parasola z racji „zasług ofiarnych działaczy".

Myślę, że czas najwyższy przewartościować formułę działań antyalkoholowych. Prawo i jego bezwzględne egzekwowanie musi się stać podstawowym probierzem. Tymczasem mimo ustawy, nie można jakoś zaradzić wysokoprocentowej strukturze produkowanych alkoholi (przeważają wódki, ogranicza się produkcję i sprzedaż piwa, dokładnie na odwrót niż żąda ustawa). Nadal nie ma mniejszych opakowań dla napojów alkoholowych, nadal nie ma zakazu produkcji trucizn marki „Wino", nadal struktura cen skłania do picia alkoholi wysokoprocentowych.

Gdy zaś idzie o fundusz przeciwalkoholowy, w moim rozumieniu należy się zastanowić, czy z większym pożytkiem dla sprawy nie można by wprowadzić modelu dotacji konkretnej. To znaczy jeśli i tak pieniądze idą na zdrowie, oświatę i sto innych dziedzin i po trochu wszystkim, to wszyscy dostają niewiele. Może warto co rok określać: tegoroczny fundusz przeznaczamy na całkowite uregulowanie systemu płac dla kadr pracujących w lecznictwie odwykowym i na zbudowanie jednego, ale szybko i do końca ośrodka, czy oddziału odwykowego według najnowocześniejszej wiedzy w tej dziedzinie. Albo — całość funduszu przeznaczamy przez kilka lat na dokończenie paru rozgrzebanych inwestycji (Centrum Kliniczne AM w Łodzi, Biblioteka Narodowa, Centrum Onkologii itp.) Skończmy lepiej jedno miast łatać bez sensu i końca po kawałku sto spraw naraz.

Pomysłów może być w tej sprawie tysiąc, co poddaję czytelnikom jako temat do dyskusji.

Na koniec ostatnia sprawa. Dziwnie się składa, że głównym dysponentem Funduszu Przeciwalkoholowego i planistą działań w tej materii jest Ministerstwo Zdrowia. Ten akurat resort, który może się „poszczycić" najmniejszą skutecznością w leczeniu alkoholików. Tymczasem cicho, oddolnie, bez wielkiej reklamy rozrasta się w Polsce wspaniały ruch samopomocy wśród alkoholików. Ruch AA, kluby abstynenta wypracowały sobie takie formy, które biją na głowę skutecznością wszystko, co jest w stanie wymyślić hieratyczna biurokracja. Może czas byłby odwrócić piramidę i właśnie w ten najskuteczniejszy nurt skierować główny ciężar wysiłku państwa.

■

TERESA JERZYKOWSKA

Powiało wielkim światem

Na targi do Poznania — krajowe, międzynarodowe i specjalistyczne — jeżdżę od lat wielu i — po prostu z przyzwyczajenia — nie bardzo wyobrażałam sobie, że dużą, handlową imprezę, zwłaszcza o charakterze międzynarodowym zorganizować można równie dobrze w innym mieście, a jeśli już — to może w Warszawie, Katowicach czy Krakowie, ale nie w Łodzi, no bo gdzie? Mamy co prawda halę sportową, ale co innego kiermasz Gwiazdka Łódzka czy nawet wystawa EXPO — na których to imprezach jesteśmy ostatecznie sami swoi i różne niedociągnięcia możemy potraktować łagodniej, a co innego — międzynarodowe targi.

Występując z propozycją zorganizowania w naszym mieście, pod egidą Międzynarodowych Targów Poznańskich, specjalistycznych Międzynarodowych Targów Odzieży, Tkanin, Dziewiarstwa i Wyrobów Skórzanych Interfashion '87 władze łódzkie wykazały sporo odwagi i optymizmu. Ostateczna decyzja ministra handlu zagranicznego zapadła po długich, burzliwych nieraz dyskusjach. Nie obyło się bez rozmaitych trudności — które nie pora już teraz przypominać. Ostatecznie jednak targi odbyły się — i wypadły nadspodziewanie dobrze, zarówno od strony merytorycznej, jak i organizacyjnej.

Najbardziej charakterystyczne dane liczbowe to: 8,3 tys. m kwadratowych powierzchni ekspozycyjnej, z czego 1,7 tys. m kw zajmowali zagraniczni wystawcy, 75 wystawców w tym 42 krajowych i 33 zagranicznych z 11 państw, ponad 100 akredytowanych dziennikarzy (nie licząc ekip technicznych telewizji i radia), około 40 tys. zwiedzających. Cyfry są o wiele niższe niż na Międzynarodowych Targach w Poznaniu — jednak porównywalne z innymi międzynarodowymi imprezami targowymi, o charakterze specjalistycznym.

Niespotykana dotąd nowość wystawiennicza — to dodatkowe ekspozycje, urządzone bezpośrednio w zakładach produkujących na eksport i w sposób poszerzony prezentujące eksportowe możliwości polskiego przemysłu lekkiego..

A więc...

CO BYŁO DO OBEJRZENIA

Najpierw — bardzo estetycznie przygotowane tereny, na których odbywało się Interfashion. Zlokalizowanie ich w dwóch, blisko siebie położonych obiektach — starej hali sportowej, mianowanej na ten czas halą A i nowej, której zakończenie przyspieszono o 1,5 roku specjalnie z okazji targów — okazało się dobre zarówno pod względem funkcjonalności, jak i estetyki. Wygodne było również połączenie — poprzez kładkę przerzuconą nad alejami Politechniki — z hotelem, barami i miejscem niektórych pokazów mody, ulokowanych w domach studenckich.

Wokół hal stanęły kioski handlowe (pozostaną tu i służyć będą mieszkańcom Łodzi w czasie rozmaitych imprez) oraz gastronomiczne.

Kioski — zarówno te z jedzeniem jak i z towarami, zaopatrzone były bardzo dobrze. Bez konieczności długiego oczekiwania w kolejce można było zjeść coś słodkiego, czy małe ciepłe danie, dużego samozaparcia natomiast wymagały zakupy.

Pojawiły się w sprzedaży — niemal ciągłej — takie rarytasy, jak młynki elektryczne, roboty kuchenne, termosy, fińskie dresy, węgierskie kosmetyki, kakao itp.

W halach także panował spory ruch, zwłaszcza w przypadający w czwartek dzień świąteczny i w niedzielę. Zainteresowanie budziły zwłaszcza stoiska, na których prezentowały swoją ofertę cztery największe w branży przemysłu lekkiego spółki handlu zagranicznego: Textilimpex, Tricot, Skórimpex i Confexim.

Wśród tysięcy eksponatów trudno byłoby wybrać „coś najładniejszego" niewątpliwie jednak na szczególną uwagę zasługiwała odzież skórzana. Odwiedzając sklepy, handlujące tym asortymentem, występującym od jakiegoś czasu w pełnej podaży, nabrało się przekonania, że ze skóry można szyć niemal wyłącznie marynarki w kolorach czarnym i brązowym. Na targach, za pośrednictwem Skórimpexu, można było stwierdzić, że skóra może być także w kolorze butelkowej zieleni, w różnych odcieniach jesiennych liści, szarości, czerwieni i turkusu, a nawet w lamparcie łatki, a uszyć z niej można wszystko — od ocieplanych grubych kurtek dla motocyklistów poprzez różnego rodzaju wdzianka, garsonki aż po kloszowe, wirujące, bardzo miękkie spódnice i spodnie o najmodniejszych fasonach.

Westchnienia zwiedzających słychać było obok stoisk z towarem, o jaki w naszych sklepach ostatnio znowu szczególnie trudno — mianowicie z butami. Te same firmy, które próbują ustroić nas w nijakie, grożące deformacją stóp „trupięgi" — pokazały mięciutkie zawsze modne i potrzebne mokasyny, galanterki w kolorach tęczy, kozaczki i botki, w których ładnie i wygodnie byłoby zarówno pracującej kobiecie obwieszonej siatkami jak i rewiowej tancerce.

Wszystkim zwiedzającym podobała się również ekspozycja Tricotu. Oglądając swetry, suknie, garsonki (zwłaszcza zaś niezwykle udaną, czarno białą kolekcję) miało się wrażenie pobytu nie na targach, lecz w jednym z salonów Mody Polskiej, handlującej od kilku miesięcy bardzo atrakcyjnym dziewiarstwem włoskim. Osobom znającym warunki techniczno-technologiczne i możliwości zaopatrzeniowe naszych zakładów dziewiarskich trudno wprost uwierzyć, że potrafią one wyprodukować jeszcze tak ładne rzeczy — czyste kolory, skomplikowane żakardowe wzory, lekkość i miękki chwyt wyrobów nie tylko welnianych, lecz także wykonanych z włókien chemicznych, fasony może nie awangardowe, lecz stanowiące na pewno dobry standard europejskiej klasy. A na dodatek ceny, dla nas, przeliczających każdego dolara po 1100 zł być może wygórowane, jednak atrakcyjne dla liczących inaczej handlowców zagranicznych.

Mniejszą zazdrość budziło to, co polskie spółki handlu zagranicznego oferują cudzoziemcom w dziedzinie odzieży i tkanin. Różnice między eksportową ofertą a poziomem zaopatrzenia naszych sklepów są w odniesieniu do tego asortymentu mniejsze niż w przypadku obuwia czy dziewiarstwa. Na pewno podobać się mogły kupony milanowskiego jedwabiu, (wśród nich nowość — jedwab nabłyszczany), lniane obrusy, tkaniny wełniane garniturowe, płaszczowe i sukienkowe (wśród nich kraty w bardzo modnej, czarno-koniakowej gamie kolorów), angielskie hafty, firanki — ale takie same lub podobne możemy czasem znaleźć, a nawet po prostu kupić. W kolekcji były zresztą także towary, których byśmy nie chcieli — np. wyprodukowane przez jedną z fabryk firanek tzw. lambrekiny, które zainteresowały odbiorcę amerykańskiego.

Z mieszanymi uczuciami oglądali zwiedzający także kolekcję bielizny — znakomite, nie ustępujące jakością i wzornictwem firmie Triumph wyroby gorseciarskie na naszym rynku ciągle nie cieszą się powodzeniem sporej grupy klientek, przyzwyczajonej do wypchanych gąbką, ciasno opinających figurę „półpancerzy", bielizna typu „body", popularna w Europie Zachodniej i USA wywołuje pogardliwe uśmiechy u większości kobiet powyżej 20 lat, a bogato zdobione peniuary i nocne koszule w kolorach czarnym czy fioletowym, jakie podobają się kobietom arabskim każdy polski sklep doprowadziłyby do bankructwa. W tej dziedzinie musimy jednak zaufać naszym specjalistom od handlu zagranicznego i producentom-eksporterom: takie właśnie rzeczy można sprzedać w świecie i takie trzeba oferować na targach, gdzie nikt nie zainteresowałby się poszukiwanymi u nas reformami.

Jednak bez względu na to, czy akceptujemy proponowane wzory bielizny czy też nie — jej pokaz wzbudził ogromne zainteresowanie nie tylko pań (te oceniały raczej merytorycznie) lecz i panów, podziwiających skąpo odziane modelki.

Pod względem ilości pokazów — zawsze towarzyszących targom — Interfashion przewyższały wszystkie chyba dotychczas organizowane w Polsce imprezy handlowe. Odbywały się one na dwóch estradach przez cały czas. Prezentowano wszystko — od wspomnianej już bielizny, poprzez obuwie, stroje sportowe, odzież letnią i zimową na różne okazje aż po futra. Cieszyły się dużym powodzeniem zwiedzających i stanowiły jedną z atrakcji targowych. Ale przecież ich celem było nie tylko podniesienie widowiskowo-rozrywkowego poziomu Interfashion i i sprawienie radości publiczności.

Przede wszystkim powinny one służyć jak najlepszemu zaprezentowaniu towarów potencjalnym nabywcom — wiadomo przecież, że ocena, zwłaszcza wstępna, zależy nie tylko od faktycznych właściwości towaru, ale i w dużej mierze od tego, w jaki sposób został pokazany. I — to chyba nie do końca się udało

NIE WSZYSTKO NA MEDAL

Do pokazów zaangażowano dużą grupę modelek i modeli, odbyło się wiele prób, a mimo to wiele poruszało się po estradzie niezbyt składnie, prezentując raczej własne wystudiowane uśmiechy, niż odzież. Ocena ta nie dotyczy znakomitych profesjonalistek — modelek Telimeny, potrafiących we właściwy sposób wyeksponować wszystkie zalety kreacji, lecz odnosi się do sporej części panów i pań z eliminacji konkursów na miss.

Tym sposobem od tego, co podobało się wszystkim przechodzimy do rzeczy, które w przyszłości trzeba będzie raz jeszcze przemyśleć i być może zorganizować nieco inaczej.

O ile bowiem targi Interfashion Łódź '87 oceniane całościowo nawet bardzo krytycznie nastawione osoby uznają za udane — nie udało się uniknąć pewnych drobnych niedociągnięć i minusów — wynikających czasem z braku doświadczenia, czasem z nadmiaru dobrych chęci i „przeorganizowania", a niekiedy po prostu z faktu, że tego rodzaju specjalistyczna impreza odbywa się po raz pierwszy i jedynie jej powtarzalność może niektóre zjawiska zmienić.

Zacznijmy od spraw merytorycznych. Najważniejsza z nich — to niewielki udział firm zagranicznych w ekspozycji, przy czym niektóre państwa, także socjalistyczne, zaznaczyły swą obecność nie konkretną ofertą, lecz jedynie grzecznościowo. To właśnie jedna z rzeczy, na którą pomóc może tylko czas — na razie nie wszyscy potencjalni chętni do uczestnictwa dowiedzieli się o takiej możliwości, niektórzy zapewne woleli odczekać, aż zapadnie decyzja czy jest to impreza o charakterze stałym, czy też odbyła się jednorazowo. Niezbyt korzystny okazał się również termin, pokrywający się z Międzynarodowymi Targami Poznańskimi. Wielu wystawców, zwłaszcza prezentujących się w ramach stoisk narodowych, nie ma po prostu możliwości rozdzielenia ekspozycji, wyłączenia z niej grupy towarowej, odpowiadającej charakterowi łódzkiej imprezy i — rzecz oczywista — wybrała w tych warunkach Poznań, jako tradycyjne, pozytywnie sprawdzone miejsce międzynarodowych kontaktów. Sprawa ta została ponownie rozważona przez dyrekcję MTP i MHZ.

Drugi, istotny problem dotyczący strony merytorycznej to ocena atrakcyjności poszczególnych ekspozycji polskich pod względem atrakcyjności oferty i formy prezentacji. Poproszono o nią zarówno polskich jak i zagranicznych wystawców i handlowców. I tu ujawniły się spore rozbieżności — podczas gdy przedstawiciele obcych krajów uważali, że to, co oferuje strona polska mogłoby być bardziej atrakcyjne i lepiej pokazane, strona polska była ze swych dokonań w większości zadowolona.

To, co podoba się lub nie zwiedzającej targi publiczności powinno być brane pod uwagę przy kształtowaniu oferty na rynek wewnętrzny, jednak w przypadku targów międzynarodowych takie różnice zdań niepokoją i należy dążyć do ich usunięcia dla dobra polskiego eksportu i podnoszenia prestiżu organizowanych w naszym kraju międzynarodowych imprez handlowych.

Uwagi dotyczące zagadnień merytorycznych nie odnoszą się do łódzkiego zespołu organizatorów targów. Natomiast do drobiazgów, o których należałoby pomyśleć w roku przyszłym w Łodzi należy, jak sądzę, nieco inne zorganizowanie tego, co dzieje się wokół hal targowych. Zaopatrzenie kiosków handlowych było znakomite — kolejki przy nich jednak nie robią najlepszego wrażenia. Może więc pomyśleć o jakimś zamknięciu terenów wokół hali podobnie jak ma to miejsce w Poznaniu?

Gdyby na cały teren wokół mieli wstęp ludzie dopiero po wykupieniu biletów, z pewnością okazałoby się, że liczba zwiedzających (liczona i w Łodzi i w Poznaniu na podstawie ilości sprzedanych biletów) byłaby co najmniej dwukrotnie większa.

Z nadmiaru troski o gości wyniknął zapewne fakt zamknięcia ruchu na ulicach otaczających tereny targowe — na co narzekali niektórzy mieszkańcy tego rejonu miasta, a zwłaszcza taksówkarze, i co faktycznie spowodować mogło pewne kłopoty komunikacyjne. Dodatnią stroną takiej decyzji był jednak fakt, że wszyscy uczestniczący w targach mieli zapewnione wygodne miejsce do parkowania.

I kolejna sprawa — znów łącząca się z merytoryczną stroną targów — to 27 ekspozycji zakładowych. Pomysł świetny, chętni do zwiedzania wystawcy, handlowcy i dziennikarze mieli zapewniony transport i fachową opiekę, wydaje się jednak, że lepszym rozwiązaniem byłoby zmniejszenie liczby dodatkowych ekspozycji, natomiast zwiększenie w miarę możliwości ich powierzchni. Zwiedzenie wszystkich — a wszędzie znalazło się coś ciekawego do pokazania — było jednak zbyt czasochłonne.

Uwag krytycznych pod adresem organizatorów targów nie ma wiele — i właściwie żadna z nich nie dotyczy spraw istotnych. Wynikające z braku doświadczenia uchybienia w pracy niektórych osób, zajmujących się targowymi gośćmi rekompensowane były życzliwością i widoczną wszędzie troską o to, żeby wszystko udało się jak najlepiej.

Jakie będą dalsze losy targów w Łodzi — zadecyduje powołana specjalna komisja, po dokładnej ocenie efektów Interfashion '87. Miejmy nadzieję, że decyzja ta zapadnie wkrótce, tak, aby wszyscy zaangażowani w organizację targów w Łodzi mieli odpowiedni czas na przygotowanie się do Interfashion Łódź '88 i dopracowanie tych drobiazgów, które jeszcze w tym roku nie wypaliły, aby wypadły jeszcze lepiej niż tegoroczna impreza.

Mówi: Roman Komassa

— Podobno jest pan najlepszym tancerzem Teatru Wielkiego w Łodzi. To duże obciążenie, gdy wchodzi się na scenę?

— Na razie nie mam obciążeń, niech mają je ci, którzy kreują role po mnie.

— Taki pan pewny siebie? Przecież w 1980 roku zwolniono pana z pracy w tym teatrze?

— Wpłynęły na to dwie sytuacje: niepowodzenia osobiste i poważne konflikty z ówczesnym kierownictwem. Obie nie związane bezpośrednio z tańcem.

— I wrócił pan do rodzinnego Gdańska jako syn marnotrawny?

— Byłem nim dwa lata, ale w skrytości wierzyłem, że ambicje i aspiracje podbudowywane osobowością Marka Stasiewicza i Mirosława Żukowskiego zostaną spełnione. Bardzo ważny jest udział w bieżącym repertuarze teatru, bezpośredni kontakt z atmosferą prawdziwego teatru i porozumienie z otaczającymi go ludźmi.

— Po 3 latach wrócił pan jednak do Łodzi?

— Powrót do Łodzi był dogłębnie przemyślany i uzasadniony obecnością operatywnego dyrektora, zmianą kierownika baletu, słabą obsadą solistów i chęcią rehabilitacji 8 nie spełnionych miesięcy.

— Wędrówki wyszły panu na dobre czy złe?

— Na dobre. Pokazałem się w nowym świetle, w nowym repertuarze, który daje możliwość rozwinięcia osobowości artysty i człowieka.

— Jaki znak Zodiaku panu patronuje?

— Baran.

— O, to uparty i często agresywny typ człowieka!

— Owszem, bywam agresywny, ale potrafię się kontrolować. Upór też mi towarzyszy, ale raczej w pracy, prywatnie jestem tolerancyjny i ugodowy. Kiedy pokłócę się z żoną, to jako pierwszy rozładowuję konflikt.

— W której z ról jest najwięcej z pana osobowości?

— Na pewno w roli Judasza w „Próbie".

— Koledzy opowiadają o pana tytanicznej pracy na sali baletowej. Kto nauczył pana reżimu zawodowego i na czym on właściwie polega?

— Głównym budulcem mojego reżimu był sport. Każdy tancerz myślący poważnie o sobie w zawodzie, powinien każdego dnia nakładać sobie reżim nieustannej walki z własnymi słabościami. Później przychodzi taki próg, którego nie można już pokonać. Trzeba mieć tego świadomość i utrzymywać stałą formę.

— Mówi się też w środowisku baletowym o pewnych niedociągnięciach i błędach pierwszego tancerza, których nie może pan jakoś przezwyciężyć.

— Znam swoje wady i niedociągnięcia. Sądzę, że to wynika ze zbyt spóźnionej świadomości i przekonania do zawodu tancerza, co powinno być umiejętnie narzucone przez pierwszych pedagogów.

— Uprawiał pan kajakarstwo wyczynowe, sięgając po tytuł mistrza Polski?

— Była to piękna pasja. Kajakarstwo jest sportem mało widowiskowym w odróżnieniu od tańca. Wszystkie sukcesy w torze kajakowym są mało efektowne, ale zostają głęboko w pamięci, mimo tysięcy kilometrów przebytych na wodnych szlakach.

— Dlaczego wybrał pan zawód tancerza?

— Był to wybór nieświadomy, ale faktem jest, że zawsze lubiłem tańczyć. Zaczynałem jako dziecko, z mamą na wczasowym parkiecie. Było to małą sensacją.

— Czy z tańca można wyżyć i utrzymać rodzinę?

— Generalnie sytuacja materialna tancerzy jest trudna, zarobki są niskie i tylko dodatkowe zajęcia lub wyjazdy zagraniczne mogą zapewnić byt.

— Wielu z pana kolegów tańczy za marki i franki. Nie zazdrości im pan?

— Nie, jeśli zdecydowałbym się pracować na Zachodzie, to w dobrym teatrze, z szansą na rozwój i tańczenie w pełnospektaklowych baletach. Koledzy pracujący za marki i franki nie zawsze są usatysfakcjonowani, częściej sfrustrowani.

— Niedawno tańczył pan w Korei i na Kubie?

— W Korei tańczyłem na 6 scenach, w gronie artystów z całego świata. Mój występ z partnerką był swego rodzaju szokiem dla Koreańczyków, którzy nie mają baletu, kobiety tańczą same, mężczyźni tylko się przyglądają. Na Kubie występowałem na Festiwalu Baletowym, stwierdzając, że panuje tu ogromny fanatyzm i kult dla tancerzy, którzy stanowią elitę w społeczeństwie.

— Podobno w Polsce będzie organizowany wybór Mister Polonus, czy będzie pan startował?

— Czas, który musiałbym poświęcić na naukę chodzenia po wybiegu, w smokingu, fraku i slipach, wolałbym wykorzystać na pisanie wierszy.

— Wierszy?

— Moja poezja jest smutna, filozoficzna, przytłaczająca czytelnika swoją tematyką.

— Jakie miejsce wyznaczył pan żonie i synowi?

— Rodzina jest moją ostoją i azylem.

— Żona nie tańczy?

— Nie, gra na wiolonczeli.

— Myśli pan o przyszłości syna Tomasza?

— Kiedy się urodził, położna powiedziała, że to urodzony dyrygent. Tomek cały czas układał rączki do dyrygowania. Obecnie ma trzy lata, wśród jego pasji wyraźnie dominuje muzyka.

— Jego ojciec sięgnął najwyższego pułapu swych możliwości. Co dalej?

— Sądzę, że dopiero wkraczam w pełny zakres sztuki baletowej, która ma niewyczerpane możliwości i inspiracje.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Adrian Markowski

Soren Aabye

pod rumowiskiem północnego nieba
w ciasnych wąwozach
pomiędzy rzędami kamienic
pochylonych nad wilgotnym brukiem
zmęczone kroki stawiam jak pytania.

a miasto martwe
niby teatralna malowana na płótnie
płaska dekoracja
każdy mój ruch szacuje
z głębi mrocznych okien
kołysze się
i pierścień swój zaciska bardziej

nie mam żadnej ucieczki
mogę tylko drogę wybierać
raz wybrawszy ucieczkę donikąd
więc na morze ciemności wchodzę
drżąc i wierząc
i lodowate fale chcę uciszyć dłonią.

więc wypatruję śladów które czas zatopił
dalej idąc i głębiej tę powierzchnię słoną
grzechy moje i ojca miłość miasto rozpacz
jak górę Moria dźwigam na ramionach.

Dwa obrazy o ciemnej nocy

pośród smukłych kamieni
tańczy grając na flecie
człowiek w skórze koźlęcia
— prosi kamienie by mógł dotknąć ich piersi —
kobiety wiatr chcą ugasić
i miaskają cicho
obracając modlitwę jak pieczeń nad ogniem.
falujący rytm bębnów
przyzywa oprawcę

na rozżarzone pada węgle
wątroba ryby i jej serce
wieczór ku nocy biegnąc
zasypie popiołem to miejsce
gdzie dwie odcięte
płoną dłonie

Sekwencje

nie ma ucieczki
kiedyś dościgną cię wszystkie pytania
których sobie nie postawiłeś

nie ma ucieczki
dościgną cię wszystkie pytania
dla których nie szukałeś odpowiedzi

a wtedy

będziesz musiał odpowiedzieć także
na pytanie: dlaczego tak się stało

• •

bezbrzeżna otchłań
między twoim domem
a tym
co jeszcze nie mogło się zdarzyć
nie większa przecież jest
od ziarnka piasku
które wiatr toczy przez ucho igielne

jednak gdy noc zalewa wątłe blaski
wśród kolumnady wyrzuconej
w wieczność
ponad głowami tych
którzy odeszli
płyniemy aż do początku
lecz nigdy
na drugą stronę

A.M. 18.10.86

• •

nim aureola wzejdzie za twą głową,
zanim rozpali włosy do białości,
nim z twoich zmarszczek uprzędzie dróg całun,
do martwych studni uwiedzionych wiatrem,
nie zdążysz spełnić kielicha i znajdziesz
słów spopielonych smak w korzennym winie.

Szarganie świętości

Mocnym uderzeniem oznajmił swój powrót Andrzej Brycht — jego najnowsza książka „Opowieści z tranzytu" stała się głośna jeszcze zanim jej pierwsze egzemplarze dotarły do księgarń. Rozgłos ten „Opowieści z tranzytu" zawdzięczają Jerzemu Lisowskiemu i „Twórczości", w której kilkanaście miesięcy temu ukazało się zdecydowanie najbardziej kontrowersyjne (i najlepsze) opowiadanie z prezentowanego zbiorku, opowiadanie noszące metaforyczny, „fotograficzny" tytuł „Zmienna ogniskowa". Wprawdzie autor zastrzega, iż „podobieństwo charakterów występujących w książce do osób żywych lub zmarłych jest niezamierzone", to jednak postać księdza, który podczas wojny w obozie koncentracyjnym dobrowolnie oddaje życie za innego człowieka, jest tak silnie zakorzeniona w świadomości przeciętnego Polaka, iż nie sposób ustrzec się licznych odniesień, nieuchronnych analogii do rzeczywistości i niekiedy zbyt pochopnych, wyciąganych na gorąco wniosków. Należy w tym miejscu wyraźnie zaznaczyć, że Brycht celowo prowokuje czytelnika i czyni to, trzeba przyznać, umiejętnie, metodycznie i boleśnie: wygarnia z grubej rury w najczulsze miejsca, kwestionuje obiegowe sądy, z iście oświeceniową pasją i zajadłością, atakuje klerykalizm, religię, Kościół, strywializowaną moralność współczesnego świata, wadzi się z Bogiem i ludźmi, naruszając społeczne tabu, rozwiewając mit. Jest to bez wątpienia akt odwagi cywilnej — szarganie świętości w nietolerancyjnym i konserwatywnym społeczeństwie polskim nigdy nie należało do rzeczy bezpiecznych, szczególnie wtedy, kiedy chodziło o symbole narodowe, i nawet za obgryzione paznokcie Mickiewicza swego czasu nie zostawiono na Boyu suchej nitki. Już samo postawienie problemu jest ogromnym atutem „Zmiennej ogniskowej", nadaje opowiadaniu poważny ciężar gatunkowy, zmusza do gwałtownych reakcji myślowych, podważa sam rdzeń konwencji moralnej, dowodzi intelektualnej niezależności i nieskrępowania poznawczego. W książce Brychta mamy jednak do czynienia nie z faktami, jak u Boya, lecz z poglądami i hipotezami, a te są tak dalece dyskusyjne (i niepopularne), że nieomal niemożliwe do obrony. Z niektórymi sformułowaniami trudno zgodzić się w pełni nawet umiarkowanemu anarchiście „duchowemu", lecz i w tym przypadku tezy autora wciąż pozostają tezami, podlegają rzeczowej ocenie i wnikliwemu dyskursowi. Tymczasem jestem przekonany, iż „Zmienna ogniskowa" ściągnie na głowę pisarza gromy oburzenia i głosy potępienia nie wynikające bynajmniej z szerokiej refleksji etycznej, a będące prostą konsekwencją niechęci wobec „odszczepieńca", umysłowego lenistwa i ślepego przywiązania do pomników. Zresztą Andrzej Brycht doskonale zdaje sobie z tego sprawę — przewrotny finał opowieści przedstawia podwójną porażkę młodego bohatera, który nie tylko pozwala się zuniformizować i wyfraczyć wbrew swoim ideałom, ale ponosi także dosłowną klęskę w dosłownym zderzeniu z jak najbardziej materialnym pomnikiem powieściowego księdza Gerbera. Ogromna szkoda, że bardziej wyrobionego czytelnika, któremu nie wystarczą świętokradcze hasła i smakowite kąski obyczajowe, spotyka poważne rozczarowanie w centralnym punkcie opowiadania — oto najistotniejszy problem, problem absolutnego poświęcenia, potraktowany zostaje ledwie zdawkowo, na kilku stronach w sposób zaskakująco uproszczony filozoficznie, ograniczający się do kilku ryzykownych, powierzchownych i słabo uzasadnionych wniosków. Utracona została szansa na, być może, doniosłe wydarzenie literackie. Bo sławę, tak czy owak, „Zmienna ogniskowa" zyska sobie z pewnością: jako opowieść bulwersująca, bluźniercza i wyklęta. A taka sława bywa zwykle ulotna — przemija szybko i bez śladu.

Dwa pozostałe opowiadania składające się na „Opowieści z tranzytu", „Sprawy rodzinne" i „Hubris", nie wzbudzają już tak gorących emocji. „Sprawy rodzinne", podobnie jak „Zmienna ogniskowa", noszą na sobie wyraźne piętno reporterskiej przeszłości Brychta, szczególnie w warstwie stylistycznej, wywodzącej się w prostej linii z tradycji hemingwayowskiej, obecnie niemodnej i niesłusznie chyba niedocenianej, przytłoczonej przez amerykański post-modernizm. Akcja toczy się niezwykle wartko, pełno w niej zaskakujących zwrotów, niespodziewanych rozwiązań, błyskotliwy dialog skrzy się dowcipem i brzmi nad wyraz naturalnie, co w ostatnich czasach stanowi prawdziwą rzadkość. Czyta się „Opowieści z tranzytu" znakomicie, bowiem od strony konstrukcyjnej nie można niczego zarzucić także i fabule, sprawnie zbudowanej i rozwiniętej, zawierającej chwytliwe i dodające całości szczypty pikanterii elementy sensacyjne, nie pozwalające czytelnikowi na chwilę wytchnienia i prowokujące go do dalszej lektury. Jednak zwrot w stronę naturalizmu i komiksowej sensacji, choć prawdopodobnie całkowicie szczery i przemyślany, ujmuje nieco głębi tej prozie, nadmiernie symplifikuje zasygnalizowane problemy, warte dodatkowego naświetlenia i większej precyzji przedstawienia. Dotyczy to szczególnie „Spraw rodzinnych", jako że „Hubris" charakteryzuje się znacznie wyższym stopniem komplikacji formalnych, pozbawiony jest akcentów publicystycznych i naiwnej niekiedy łatwości przekazu, a zmierza raczej ku psychologii istnienia i filozofii moralnej, koncentruje się na przebogatym i tajemniczym, nieodgadnionym wnętrzu człowieka, stanowiącym niewyczerpany materiał pisarski dla każdego gatunku literatury, wart eksploatacji nawet kosztem reporterskiej barwności. „Hubris" dowodzi jasno, że Brycht nie jest ani pisarzem monotematycznym, ani jednostronnym czy ograniczonym w zakresie strukturalnym.

Oscar Wilde powiedział niegdyś: „Kiedy wszyscy zgadzają się ze mną, zaczynam nabierać pewności, że nie mam racji". Jak w każdym aforyźmie i w tym powiedzeniu tkwi tylko pół prawdy, lecz i półprawda godna jest zbadania, jeśli pragniemy dotrzeć do prawdy całej. Ustosunkować się do książki Brychta można dopiero po wnikliwej, starannej lekturze, odrzuciwszy emocje i uprzedzenia zniekształcające literacką wizję autora. Nie jest to bynajmniej zadanie trywialne — za „Opowieści z tranzytu" wielu podróżnym przyjdzie zapłacić niezwykle wysokie cło...

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Andrzej Brycht — „Opowieści z tranzytu", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, wyd. I, nakład 30 000 egz.

Ocalić od zapomnienia

Od dawna należało spodziewać się książkowego wydania wspomnień Jana Koprowskiego. Publikowane we fragmentach na łamach prasy oraz przy innych okazjach — zapowiadały pojawienie się czegoś na kształt pamiętników jednego z najbardziej wszędobylskich naszych współczesnych pisarzy.

Spośród licznych sentencji, które poprzedziły tom „Przeszłość nie umiera" najbardziej trafne wydało mi się powiedzenie Maxa Frischa: „Można wszystko opowiedzieć, tylko nie można opowiedzieć własnego życia". W przypadku Jana Koprowskiego, znanego przecież z gawędziarskich umiejętności, nie jest tak źle — może nie o wszystkim udaje się mu opowiedzieć, ale o własnym życiu mówi dużo i w zróżnicowanej tonacji: od precyzyjnego — niemal reporterskiego — sprawozdania po filozoficzną „prydumkę", jak rzecz nazywa.

Nie szukałem w tej książce sensacji ni plotek, a jednak przyznać muszę, że więcej sobie obiecywałem po lekturze wspomnień Jana Koprowskiego. Dlaczego powściągał pióro, zazwyczaj tak skore do odnotowywania w felietonach i reportażach najrozmaitszych ciekawostek, pikantnych szczegółów z życia literackiego polskiego i obcego? Wiele widział i przeżył, jako członek najwyższych władz Związku Literatów Polskich tkwił od dobrych dwóch dziesiątków lat w samym sednie mechanizmów współdecydujących o polskim życiu literackim i kulturalnym. Pisze o tym wprawdzie niemało, ale raczej bez wnikania w meritum przeobrażeń, fluktuacji i sporów (zwłaszcza lat ostatnich), stara się być wytworny i szarmancki wobec tych wszystkich, których nazwiska pojawiają się w książce. Toż to niemal Wersal. Ja jednak wolałbym znaleźć w Twojej książce, Drogi Autorze, istny Hyde Park! Poczekam.

Wzruszają fragmenty liryczne, w których mamy okazję przyjrzeć się Koprowskiemu — człowiekowi prywatnemu, przeżywającemu swój ludzki los. Koprowski to człowiek rodzinny. Radości i smutki rodzinne zajmują więc sporo miejsca. Przejmujący ból ojca po stracie syna tłumi radość życia...

Czytelników „Odgłosów" zainteresować mogą wspominki z okresu łódzkiego. W końcu Jan Koprowski spędził bez mała ćwierć wieku w tym zadziwiającym mieście, o którym niejednokrotnie powiada się z przekąsem: złe miasto czy ziemia obiecana? Rzecz ciekawa — dla Koprowskiego Łódź nie była ani jednym, ani drugim. Była przede wszystkim terenem działania, przedmiotem aktywności twórczej, redaktorskiej, organizacyjnej. Zresztą posłuchajmy. „W Łodzi zawarł się kawał mojego życia. Jedenaście lat pracy w teatrze, redagowanie trzech czasopism, działalność w Związku Literatów, pięć lat publikowania felietonów tygodniowych w „Dzienniku", napisane książki, których z roku na rok przybywało. W Łodzi leżą również pogrzebane i nie zrealizowane plany i nadzieje. Bo i one nie mogą wypaść z rachunku. W Łodzi pozostali moi czytelnicy, przyjaciele i wrogowie. Powiedział ktoś, że przyjaciół należy się bać, wrogów wystrzegać, a czytelnikom nie ufać. Ale to był wyjątkowy pesymista. Co do mnie, sądzę, że czytelników należy cenić, przyjaciół mieć na pocieszenie, a wrogów dopingować własną pracą. Bo to najbardziej będzie ich bolało. A ból, jak wiadomo, uszlachetnia".

Zawarte w tomie „Przeszłość nie umiera" wspomnienia potwierdzają wiele zalet pióra Jana Koprowskiego: potoczystość słowa, rzeczowość przekazu, dowcipne i zaskakujące nieraz pointy, umiejętność zawarcia w kilku zdaniach celnej charakterystyki ludzi, z którymi obcował, trafianie — jak się to potocznie mówi — w dziesiątkę przy podejmowaniu czy tylko odnotowywaniu spraw istotnych dla ogółu Polaków, a nie tylko wąskiego grona znawców czy sympatyków literatury. Choć przecież i ci ostatni znajdą wiele ciekawostek, między innymi refleksje o niegdysiejszej sztuce redagowania czasopism, która niepostrzeżenie a skutecznie przeszła w wypełnianie łamów pisma niemal wyłącznie przez samych redaktorów...

Z książki Jana Koprowskiego wynika nade wszystko ta prawda, z której brutalizmem mamy do czynienia codziennie: czas już nie biegnie, ale wręcz galopuje. I zapewne dlatego — jak pisał Józef Roth, twórca, któremu Koprowski poświęcił monografię — „cechą naszego świata jest szybkie i gruntowne zapominanie o ludziach i ich dokonaniach". A przecież większość z nich zasługuje na ocalenie od zapomnienia. Namawiam autora tomu „Przeszłość nie umiera" do napisania dalszych kart.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Jan Koprowski: „Przeszłość nie umiera", Czytelnik, Warszawa 1987, s. 174, cena zł 280.

Bigos hultajski

NAPIS NA POMNIKU

Cesarz Mikołaj kazał w Warszawie wznieść pomnik dla tych, którzy w czasie powstania dnia 29 listopada 1830 r. polegli, a Najjaśniejszy Pan ich za wiernych sobie uważał. Stoi ten pomnik na jednym z placów warszawskich. Po odsłonięciu takowego ktoś niewiadomy (bo byłby to Syberią przypłacił) taki na nim napis położył:

Zaświadczy pomnik światu, czego Polak zyczył
Car zliczył swoich wiernych — i siedmiu naliczył.

Historyjka ta, wydobyta ze „Wspomnień" Ambrożego Grabowskiego (Kraków 1909), wymaga pewnych wyjaśnień. W wyniku zaburzeń rewolucyjnych pierwszej nocy listopadowego powstania padli od kul (niektórzy przez pomyłkę np. gen. Nowicki, inni przez żołnierską subordynację) generałowie: Maurycy Hauke, Stanisław Potocki, Józef Nowicki, Ignacy Blumer, Tomasz Siemiątkowski, Stanisław Trębicki oraz pułkownik Filip Meciszewski. Na rozkaz cara Mikołaja I, wydany w 1835 r., wzniesiono na placu Saskim monumentalny pomnik według projektu Antoniego Corazziego. Sam car zredagował napis, figurujący na piedestale od strony ogrodu Saskiego: *„Polakom w dniu 17/29 listopada 1830 roku poległym za wierność swojemu MONARSZE"*. Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się w jedenastą rocznicę powstania listopadowego 29 listopada 1841 r., przy małej frekwencji ludności Warszawy, która wzgardliwie przyjęła carską wspaniałomyślność. Pomnik przetrwał na placu Saskim do 1894 r., ustępując miejsca soborowi prawosławnemu. Przeniesiony na plac Zielony (obecnie plac Dąbrowskiego) stał tam do roku 1917, kiedy to za zezwoleniem okupacyjnych władz niemieckich został rozebrany, by widokiem swoim nie raził godności narodowej mieszkańców Warszawy.

ZAGADKA O ŁODZI

Jedną pływają rybacy po wodzie,
A drugą leży w łęczyckim obwodzie;
Te, gdy wymówisz razem, powiesz...

Zagadka prosta, bo też przeznaczona była dla najmłodszych, a zawarta jest w bardzo rzadkim dziś dziełku „Zagadki tudzież przypowiastki, powieści i porównania napisane przez L. K.", w Warszawie 1842. Pod kryptonimem tym ukrywał się Ludwik Koncewicz, warszawski filolog i nauczyciel szkół średnich. Autorstwo Koncewicza stoi pod znakiem zapytania mimo wiarygodnego świadectwa F. M. Sobieszczańskiego w „Encyklopedii Orgelbranda", bo sprawozdawca „Kuriera Warszawskiego" już rok wcześniej (1841 nr 154) zachwycał się litograficznym zeszytem pt. „Zagadki dla dzieci różnego wieku", wydanym w litografii Józefa Kośmińskiego i jego nakładem. Łącznie ów litograficzny zeszyt zawierał 226 zagadek i być może stanowił zapowiedź kolejnej edycji, bo ostatnie wyrazy zbiorku brzmiały: koniec zeszytu 1-go.

MATKA

Pytasz mnie, skąd pochodzi u nas imię matki?
Stąd, powiadam, że co ma, tka wszystko w swe dziatki.

„Kurier Warszawski" 1847

WSZYSTKO JEDNO

W podróży swojej Henryk Wieniawski, słynny skrzypek, przybył do małego miasteczka w południowej Rosji i na prośbę oficerów tamtejszego garnizonu postanowił wystąpić z koncertem.

— *Jednakże prosimy pana* — odezwał się pewien młody porucznik — *abyś nam pan zagrał na basach.*

— Żałuję bardzo — odparł Wieniawski — ale na basach grać nie potrafię, tylko na skrzypcach.

— *Ależ głupstwo* — rzecze ten sam porucznik — *czy pan jeździsz smyczkiem pod brodą, czy pod brzuchem, to powinno panu być wszystko jedno.*

„Ilustrowana Biblioteka Rozmaitości" 1891

USZY

Pewien głupiec z mądrego naśmiewał się człeka, iż miał wielkie uszy. Któremu na to odpowiedział mądry: *„Prawda jest, że ja jak na człeka wielkie mam uszy, ale ty jak na osła bardzo masz małe"*.

Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1790.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Czy warto umyć słonia?

Czy istnieje miłość wielka, czysta i prawdziwa?

Jeżeli chcesz mieć coś wielkiego, czystego i prawdziwego, to kup słonia i umyj go w wannie — tak w epoce cynicznych ikonoklastów odpowiadano na to pytanie ze sceny studenckiego kabaretu. Trzydzieści lat temu ową młodzieńczą bufonadę odebrano jak sygnał przyzwolenia na ostateczne skompromitowanie miłości wielkiej, czystej i prawdziwej, jako tworzywa artystycznego. Do literatury szerokim frontem, z trąbami i rozwiniętymi sztandarami wkroczyło kurewstwo, pedalstwo, rozmaitej maści dewiacje i obrzydliwości, onanizm, nimfomania, setki odmian kultu fallicznego i wreszcie tortury totalnego zwisu, czyli impotencja. O miłości wielkiej, czystej i prawdziwej, a zwłaszcza tej z happy-endem, nie chciał pisać już nikt...

Czytająca publiczność, jak to zwykle ona, potraktowała tę manifestację dwojako. Z jednej strony aż drżąc z ciekawości, co też kryć się może w zakamarkach ciała i duszy ludzkiej. Z drugiej — nie tając swych tęsknot ku emocjom uwznioślającym, ku potrzebie harmonii uczuć i marzeń. Toteż jednako zachłannie czytywano szokujące nowinki europejsko-oborowych salonów i wyszmelcowane od wieloletniego użytkowania przedwojenne zeszyty groszowych biblioteczek z romansidłami. Rodziewiczównymi, Mniszkównymi, Marczyńskimi, Żańskimi.

I nie oszukujmy się — podział na „lepszą" i „gorszą" połowę czytającej publiczności nie przebiegał równolegle do podziału literatury na wzniosłą i brukową. Okołolitieraturnyje żeńszczyny, wampirzyce egzystencjalizmu, gdy w domowych pieleszach stawały się tym, czym były naprawdę — drobnomieszczańskimi kurami — w równie imponującym tempie pożerały trędowate i ciastka z kremem. A jednocześnie twardzi chłopcy z przedmieść, wychowani na lekturach „żółtego tygrysa", kompetentnie dyskutowali o domniemanych walorach homoseksualnego eposu Andrzejewskiego, że o transcendentalnej symbolice koloru majtek Molly Bloom nie wspomnę...

Na całe dziesięciolecia utarło się, że twórcza literatura, by takową być, musi miłość wielką, czystą i prawdziwą wyrzucić za burtę. Odtąd tytułem do sławy miała być albo historyczno-patriotyczno-partyzancka gędźba dokładnie wytrzebiona z wszelkich cech płciowych, albo — płciowe jak najbardziej — ponure patroszenie bebechów w nihilistycznym sosie. O miłości odważały się bąknąć tylko wąsko wyspecjalizowane literatki od romansów dla podlotków.

Aż ci zjawił się mąż sprawiedliwy i odważny, który zapowiedział, że napisze powieść o miłości wielkiej, czystej i prawdziwej, co prostuje ludzkie charaktery, leczy psychiczne kalectwo i na dodatek „kończy się długo i szczęśliwie" oraz jest namacalnie cielesna przy okazji.

A imię jego — Zbigniew Nienacki.

I napisał!

Byłem jednym z pierwszych czytelników „Wielkiego lasu". Autor — po niewątpliwym przyczynieniu się do czytelniczego sukcesu „Odgłosów" przed czterema laty dzięki sadze o Skiroławkach — obiecał nam pierwszeństwo druku swej nowej powieści. Gdy przywiózł do redakcji maszynopis, wziąłem tę grubą teczkę do domu z zamiarem przysposobienia tekstu do druku. Gdy doczytałem do zdania: „Ta chwilą zdawała się przedłużać w wieczność, gdyż ogarnęła ich miłość wielka, czysta i prawdziwa", była piąta nad ranem, wystygła zapomniana herbata, zimna była porzucona fajka...

No cóż, nie wstydzę się przyznać, że mnie „Wielki las" wciągnął w całonocną lekturę, choć zapisany był wtedy w formie niezbyt wygodnej do czytania — na luźnych kartkach trzeciej czy czwartej kopii. Jest to bowiem powieść spełniająca — w stopniu niemal doskonałym — kryteria klasyfikacyjne dobrego „czytadła". Wartka akcja przenosi się błyskawicznie z miejsc swojskich w egzotyczne i na odwrót, główni bohaterowie mają wyraziście narysowane charaktery i niebanalne biografie, są ostre „momenty" na zmianę z pensjonarską liryką.

Jednym słowem: prawdziwy romans. Romans botaniczno-erotyczno-szpiegowski. Spreparowany z dużym znawstwem technologii mieszania rozmaitych składników. Po to — jak sądzę — iżby zadośćuczynić nieodmiennie towarzyszącej Nienackiemu w jego „dorosłej" twórczości ochocie drażnienia, ekscytowania publiczności. A przy okazji by sprawdzić, czy taki towar dobrze się sprzedaje...

Oba te motywy rozumiem, szanuję i w pełni podzielam. Co więcej — cieszę się, że oto pisarz nie wywala przede mną swych wnętrzności na ladę księgarską, nie skamrze o swym nieszczęsnym życiorysie — sponiewieranym przez stalinizm, niedopieszczonym przez gomułkowszczyznę, zagłaskanym aż do odruchów wymiotnych przez gierkowstwo.

Po lekturze „Wielkiego lasu" lepiej pojmuję tęsknoty tych, którzy od literatury oczekują rozrywki, zaspokojenia marzenia o happy-endzie, o „supermeństwie".

Istota problemu literatury rozrywkowej tkwi w tym, że ulokowane w niej oczekiwania i społeczne potrzeby spełnia tylko towar dobrej jakości.

Nie jestem zawodowym krytykiem literackim, jak pisujący na tych łamach Tadek Błażejewski, ani nie zamierzam się w tej profesji wydoskonalić, jak liczne grono młodych adeptów polonistyki, również trafiające do „Odgłosów". Brak mi przeto owej aparatury krytycznej, pozwalającej pomierzyć i stosownie zaklasyfikować czy choćby gustownie ponazywać elementy oraz cechy pisarstwa Nienackiego. Zresztą bardziej mnie ono interesuje jako zjawisko socjologiczne niż czysto artystyczne. (Ale to temat na zupełnie inne opowiadanie).

Wydaje mi się jednak, że sprawą elementarną jest udzielenie samemu sobie odpowiedzi na kwestię — czy „Wielki las" jest powieścią dobrą, czy złą? Otóż uważam, że w swoim gatunku jest to powieść doskonała. Ale to jeszcze nie jest odpowiedź... Doskonałość bowiem można zmierzyć stopniem zgodności z jakąś normą, wyimaginowanym i pożądanym wzorcem. To miara profesjonalnej sprawności, rzemiosła — nie artyzmu. Ten zaś można sprawdzić w sposób wielce subiektywny, prawie nieuchwytny, niepodległy filologicznym miarom. Osobiście, a nawet rzekłbym — intymnie...

Po prostu — chodzi o to coś, co sprawia, że odczuwasz przyjemność czytania, że to cię wciąga — że nie ziewasz, nie opuszczasz całych zdań (a nawet stron), że nie narzucasz sobie obowiązku lektury. I szlus! Nie da się tego racjonalnie wytłumaczyć...

Być może pogląd ten jest herezją dla zawodowego krytyka, ale za to jest powszechnie stosowaną regułą oceny przez dominującą większość czytelników. Kto pamięta perypetie gombrowiczowskiego prof. Pimki z przekonaniem klasy do obowiązku kochania Słowackiego, ten wie, jak to jest.

Powieść Nienackiego nie należy oczywiście do obowiązkowego kanonu literatury dla kulturalnego obywatela, przeto jej ocena może być swobodniejsza. A nadto tej twórczości towarzyszy specyficzna aura obyczajowego skandalu, sprokurowana przez hałaśliwą grupę stołecznych arbitrów elegancji (któremu to wyzwaniu autor sprostał równie spektakularnie...). Toteż czytelnicze zainteresowanie może być mierzone chęcią uczestnictwa w modnych wydarzeniach naszego życia publicznego. Ale przecież istnieje możliwość odseparowania tych okoliczności towarzyszących tak, by na ocenę nie wpływały.

„Wielki las" oceniany na surowym korzeniu", zaleca się czytelnikowi prostotą języka, agresywnością akcji i sytuacji, egzotyczną, zaspokajającą potrzebą inności i niesamowitości, fabułą (nawet jeśli jest ona nieprawdopodobna i skłamana od początku do końca). Mamy tu bowiem do czynienia z niezwykle rzadko uprawianym w naszej literaturze sensacyjno-rozrywkowej zabiegiem demistyfikacji stereotypów. Za jednym zamachem Nienacki kompromituje trzy niepodważalne dotąd kanony: ulubioną przez autorów powieści „szpiegowskich" postać „naszego człowieka" — twardego, ideowego moralisty, równie sprawnego fizycznie, co psychicznie i dominującego inteligencją nad przeciwnikami; kanon wyższości życia w środowisku „wielkiej przyrody" nad zgniłym bełtem cywilizacji wielkomiejskiej oraz zasadę wyższości zboczeń nad uczuciami prostymi. Oto bowiem jego bohater — Józwa Maryn alias Christopher Bullow — profesjonalny agent wywiadu, pada ofiarą ludzkich, w tym przede wszystkim własnych ułomności, wielki las okazuje się środowiskiem wykolejającym związanych z nim ludzi równie silnie, jak miejska dżungla, a miłość wielka, czysta i prawdziwa odnosi zasłużony sukces nad erotycznymi kalectwami Józwy i Weroniki.

A przecież, mimo tych demaskacji prawideł własnego gatunku, „Wielki las" na polu literatury rozrywkowej plasuje się w czołówce. Co więcej — nie przegra w konkurencji z większością wysublimowanych płodów artystów pióra, tropiących tajniki ludzkiej egzystencji.

TOMASZ SAS

Zbigniew Nienacki, Wielki las, PIW, Warszawa 1987, s. 416, cena 500 zł.

Myśleć sercem

Młodzieńcza powieść Wandy Karczewskiej „Fuga z tematem miłosnym" w swej warstwie formalnej powstała pod wpływem inspiracji muzycznych, co zresztą zdradza nam już sam tytuł książki. Polifoniczność, narracyjna różnorodność prozy, jak również nagromadzenie sprzecznych ocen, opinii i światopoglądów, stanowiących swoiste „instrumentarium" literatury, to charakterystyczne cechy pisarstwa wielkich klasyków powieści, jak Tołstoj, Dostojewski, Conrad czy Tomasz Mann. Joseph Conrad nieprzypadkowo pojawia się w przywołanym tu tak świetnym towarzystwie — co prawda autorka otwarcie pisze o swej fascynacji niegdysiejszej Conradem, lecz wyznania pisarzy nie zawsze idą w parze z odczuciami czytelników. Jednak w tym przypadku wyrobiony odbiorca bez trudu dostrzeże bliskie związki „Fugi" z utworami Conrada, zarówno jeśli chodzi o etyczno-moralną problematykę powieści, jak i o jej sferę konstrukcyjną. I tak na przykład czas w „Fudze", podobnie jak w „Nostromo" czy „Lordzie Jimie", jest czasem psychologicznym, odrealnionym, akcja nie rozgrywa się w porządku chronologicznym, nieustannie krążąc pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, przeżycia wewnętrzne oraz przemyślenia poszczególnych bohaterów urastają do rangi „wydarzeń", prawomocnie zajmując należne im miejsce w fabularnym ciągu opowieści. Opowieści wyposażonej nie tylko w wątki społeczno-obyczajowe i filozoficzne, lecz również sensacyjne, przygodowe (opis dramatycznego rejsu „Wodnika" do Anglii na krótko przed wybuchem wojny) i wreszcie wątki miłosne, uczuciowe, co stanowić może pewne zaskoczenie dla czytelników znających późniejszą twórczość pisarki. Wprowadzenie fabuły pretekstowej o posmaku kryminalnym uatrakcyjnia bowiem powieść, stwarzając jej poważne szanse na masową recepcję; ponadto, zważywszy okres historyczny, w jakim powstała pierwsza wersja książki (około 1939 roku), zabieg tego typu był chwytem dość niekonwencjonalnym — nawet jeśli weźmiemy pod uwagę wspomniane już wpływy klasyków z Conradem na czele — i zyskał sobie większą popularność dopiero obecnie, zarówno w teorii, jak i praktyce nowej powieści francuskiej, w nieco przetworzonej formie znajdując wyraz także we współczesnej amerykańskiej powieści postmodernistycznej.

Antycypacja pewnych prądów literackich i zapracowanie na miano nowatora ucieszyłyby zapewne niejednego autora, jednak podstawowa wartość „Fugi" tkwi w jej warstwie dyskursywnej, intelektualnej. Miłosny temat przeprowadzany kolejno przez wszystkie głosy „powieściowe" dotyczy niebagatelnych problemów uczuciowego życia człowieka we wszystkich jego przejawach, odsłania motywacje działań bohaterów, pozwala na osądzenie ich postaw moralnych czy też raczej wyboru tych postaw, będącego przecież procesem i dokonującego się stopniowo, z szybkością wprost proporcjonalną do szybkości etycznego dojrzewania już rozbudzonej, acz nieujętej jeszcze w karby rozumowe świadomości. Zdobywanie samoświadomości bywa trudne i bolesne, lecz jest przy tym warunkiem sine qua non człowieczeństwa i jako takie musi zostać uwieńczone sukcesem, w przeciwnym wypadku życie staje się pasmem cierpień i zgryzoty, prowadzących do totalnego załamania systemu wartości, do absurdalnego zwątpienia i nihilistycznej negacji, do chaosu. Uzyskując samowiedzę, uzyskujemy równocześnie prawo do głębokiej samooceny, nabywamy świadomość własnej odrębności, lecz i współzależności, współodpowiedzialności za losy innych, kształtowanych samoistnie i współkształtowanych przez swych pobratymców, przez nas — ludzi. Moralny sens powieści, jej przewodnia idea filozoficzna ukazuje się z całą mocą szczególnie wyraziście w rozmowie Teresy, jednej z głównych postaci książki, z doktorem Paterem, mądrym, doświadczonym i najbardziej chyba dojrzałym charakterem „Fugi". Jest to bez wątpienia scena dla zrozumienia całego utworu najważniejsza.

„Myśleć sercem — ale ...myśleć" — tak można by najkrócej streścić przesłanie „Fugi z tematem miłosnym". Autorka proponuje jednak coś więcej aniżeli tylko uproszczone frazesy. Toteż zaakceptowanie takiego spojrzenia na świat, jakie oferuje Karczewska, może stać się bezcenną nagrodą dla czytelnika za uważną i wnikliwą lekturę. Nie pozbawioną zresztą przyjemności czysto estetycznej.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Wanda Karczewska — „Fuga z tematem miłosnym". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987, wydanie III, nakład 30 000 egz.

Gorycz zmęczenia

Najbardziej przejmującym w nowym tomiku wierszy Grzegorza Musiała jest gorycz. Ból człowieka żyjącego jakby poza społeczeństwem, rzuconego gdzieś w odległe krainy ludzkiej alienacji. Każdy z tych wierszy ma charakter bezpośredniego wyznania, a zarazem wyzwania rzuconego światu w oczy. Jest to więc zarówno poezja konfesyjna, jak i poezja romantyczna. Poeta jakby spowiadał się przed całym światem z tego, jak żyje, jak prowadzi swoją grę. Jakże bolesne i ludzkie poczucie winy i niespełnienia przeplata się tu ze smutkiem, lirycznym zapatrzeniem i zauroczeniem przemijalnością odpływających w dal pejzaży. Musiał świadomie skazuje się na banicję; lokuje się gdzieś w okolicach lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku i tam szuka swoich korzeni. Korzeni, które wyrastają z miejsc, które widziały oczy ciotki Marianny, jak i ojca poety. W tym klimacie — tak dobitnie zaznaczonym już w całej poetyckiej, ale także i prozatorskiej spuściźnie Musiała — poeta czuje się najlepiej. Muzyka tego okresu, rekwizyty rodem z „muzeum początku wieku", stare, pobladłe fotografie, misternie rzeźbione meble i wspomnienia żyjące w opowieściach najbliższych, tworzą swoisty zamknięty świat, gdzie choć przez chwilę można czuć się bezpiecznym, gdzie można wracać z długich, nocnych wędrówek.

Musiał jest poetą niezwykle wrażliwym, częstokroć oddającym w swoich wierszach sytuację człowieka żyjącego jakby na granicy psychicznej wytrzymałości. Często, wyrzucony za burtę swojej arki czuje się jak pozbawiony pancerza skorupiak. Pisze wtedy wstrząsające, prawdziwe wiersze o przemijaniu, o wiecznie czyhających na nas zagrożeniach, o walce, jaką każdy z nas będzie musiał stoczyć. Nie ma przecież ucieczki przed śmiercią i bólem, tak jak nie ma dla niego drogi powrotnej z raz wytyczonej ścieżki. Czasami — świadomie — poeta sam opuszcza swoje bezpieczne schronienie i szuka w świecie niebezpieczeństw potwierdzenia prawdy o ludzkiej naturze. Jedyną jego przewodniczką jest wtedy wiara w siłę i czystość uczucia. Częstokroć jest to uczucie miłości, często jest to kradzione gdzieś przelotnie, eteryczne — tak samo jak i on bezdomne i drżące — ciepło.

Ale jest też w tej książce inny ton. Brunatne, ociężałe, przygniatające powoli człowieka, egzystencjalne zmęczenie. Bezsiła wobec napierającego stale czasu, bezradne rozłożenie rąk w obliczu wszechmocnej bestii. Owo zmęczenie ma w sobie wiele z filozofii Sartre'a i Camusa, przybiera wyraz twarzy św. Geneta. Ale ma też w sobie jakąś przedziwną, ewangeliczną pokorę. Po prostu tak musi być. Zmęczenie jest konsekwencją wzrastania, nieustannego rozwoju i parcia ku ostatecznej chwili. Zmęczenie jest więc także jakby symptomem tego, iż wszystko przebiega normalnie w boskim planie dziejów. Nie należy się zatem buntować. Przykłady Prometeusza, Ikara, znalezionej w hotelowym pokoju martwej kobiety, pewnej berlińskiej aktorki czy Isadory Duncan, świadczą o tym, że bunt zawsze był i pozostanie bezcelowym. Gdzieś ponad tym wszystkim postać Jezusa wolno kroczącego wśród pyłu drogi, gdzieś ponad tym wszystkim spojrzenie stojącego na górze wędrowca, który zdaje się już wiedzieć.

Grzegorz Musiał potrafi wytworzyć w swoich wierszach przedziwną atmosferę zbliżania się wszystkiego ku końcowi. Ale nie jest to anachroniczny dekadentyzm, raczej poczucie nieuchronności zaplanowanych o wiele lat wcześniej, zdarzeń. Nieuchronności upadku, który jest konsekwencją narodzin i wzlotu. Nieuchronności krzewiącej się w ustach goryczy, która zawsze będzie ostatnim akordem każdej rozkoszy. Musiał odnotowuje w swoich wierszach odchodzenie na zawsze przepadłych światów, odchodzenie wraz z „podwórzowym grajkiem" i „chłopcem z tramwaju", odchodzenie wraz z ostatnim zamknięciem powiek ojca i kulawą dziewczynką. Jego poezja szuka w tym nieustannym panta rhei jakiegoś punktu oparcia, choćby odrobiny stałego lądu. I choć nigdy nie znajduje — a poeta ma świadomość, iż nigdy nie znajdzie — zawsze szukać będzie. Nadejdą nowi, młodsi i pewniejsi siebie chłopcy, roześmiane dzieci rozbiegną się po świecie, ale poeta nie znajdzie w tym obrazie pokrzepienia, nie doda mu on otuchy. Przecież czuje on wciąż, ogniskujące się w nim złe siły, kumulującą się w nim negatywną energię — jest wybrańcem, ale zarazem męczennikiem losu. Wie często to, o czym nie wiedzą inni. Patrzy w oczy idącym na śmierć i nawet powieka nie może mu zadrżeć. Przeczuwa też i swój nieuchronny koniec, który — widać to w tych wierszach wyraźnie — przybliżył się ku niemu!

Tak oto poezja, która ma być ostatnim ratunkiem, nagle odsłania prawdy ostateczne, prawdy, których rozumienie stawia nas jakby na wyższym stopniu w hierarchii ludzkiej. Gorycz i smutek, rozmarzenie, zapatrzenie w dal, bolesne świadectwa człowieczych bachanalii, w których sam poeta także musi uczestniczyć, spięte uświęcającą wszystko ramą wiersza. I zmęczenie, ludzkie zmęczenie, które coraz trudniej znieść, ale które utwierdza nas w przekonaniu, iż jesteśmy jedynie „przypadkowymi świadkami zdarzeń". Zdarzeń pierwszych i ostatecznych, jak ostatnie zatrzaśnięcie drzwi i ostatnia wsiąkająca w ziemię krwawa kropla...

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Grzegorz Musiał, Przypadkowi świadkowie zdarzeń, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 70, zł 150.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

(2)

Na wieszaku wisiał brązowy skórzany płaszcz Wujek Mark!

— Włóczysz się?

Sasza pocałował Marka w gładko wygolony policzek Wokół Marka unosił się zapach dobrego tytoniu fajkowego i łagodnej wody kolońskiej, „komfortowy duch kawalerstwa", jak mawiała mama Mark wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat — krągły, wesoły, łysiejący wujaszek I tylko ostre spojrzenie zza żółtawych szkieł okularów zdradzały żelazną wolę tego człowieka, jednego z generałów przemysłu, niemal tak legendarnego jak jego gigantyczna budowa na Wschodzie — nowa metalurgiczna baza Związku Radzieckiego, niedostępna dla nieprzyjacielskiego lotnictwa, strategiczne zaplecze proletariackiego mocarstwa

— Myślałem, że się ciebie nie doczekam, pewnie nocuje gdzie indziej, myślę sobie...

— Sasza zawsze nocuje w domu — powiedziała mama.

Na stole portwein, różowawa kiełbasa delikatesowa, szproty ,chlebki tureckie" — przysmaki, które zawsze przywoził Mark, obok tradycyjny pieróg mamy pieczony w prodiżu Mark zdążył najwidoczniej uprzedzić o swoim przyjeździe

— Na długo przyjechałeś? — spytał Sasza

— Dziś przyjechałem jutro wyjeżdżam.

— Stalin go wezwał — wtrąciła mama.

Była dumna z brata, była dumna z syna — więcej powodów do dumy nie miała, samotna kobieta, porzucona przez męża, mała, tęga, o bladej, niebrzydkiej jeszcze twarzy i siwych, gęstych, wijących się włosach

Mark wskazał ręką na leżący na podłodze pakunek

— Rozwiń.

Zofia Aleksandrowna zaczęła rozplątywać supeł.

— Daj no!

Sasza nożem przeciął szpagat. Dla siostry Mark przywiózł kupon materiału na płaszcz i puszystą chustkę Sasza dostał garnitur z ciemnoniebieskiego bostonu Nieco zmięta marynarka leżała doskonale.

— Jak ulał — pochwaliła Zofia Aleksandrowna — Dziękuję, Mark, on już zupełnie nie ma w czym chodzić.

Sasza z zadowoleniem przeglądał się w lustrze Mark zawsze przywozi w prezencie to co trzeba W dzieciństwie zaprowadził Saszę do szewca i obstalował dla siostrzeńca wysokie chromowe buty, takich butów nie miał nikt, ani na podwórku ani w szkole. Sasza był z tych butów bardzo dumny i do dziś pamiętał ich zapach, pamiętał też ostry zapach skóry i dziegciu w warsztacie szewca.

Tego wieczoru Marka kilka razy wzywano do telefonu Niskim władczym głosem wydawał polecenia odnośnie funduszów limitów, transportu, uprzedził, że będzie nocować na Arbacie, i kazał przysłać samochód na ósmą. Wróciwszy do pokoju rzucił okiem na butelkę.

— Oho!

— *Pij, towarzyszu, dopóki można, zalewaj swój nieszczęsny los,* — zaśpiewał Sasza ulubioną pieśń Marka Właśnie od niego usłyszał ją po raz pierwszy — dawno temu, jeszcze w dzieciństwie

— Tej nocy troski przegnajmy precz — podchwycił Mark. — Tak to idzie?

— Właśnie! — Sasza zaśpiewał znowu:

Może jutro o tej porze
CzeKa załomocze w drzwi,
lub Kołczaka o tej porze
rozstrzelamy w tajdze my.

Głos i słuch odziedziczył po matce, kiedyś proponowano jej występy w radiu, ale ojciec się nie zgodził

Może jutro o tej porze
przyjaciele zechcą wpaść,
a być może o tej porze
rozstrzelają wszystkich nas.

— Dobra piosenka — powiedział Mark.

— Ale źle ją śpiewacie — zauważyła Zofia Aleksandrowna — Jak chór ślepych

— Duet ślepych — roześmiał się Mark.

Posłali mu na tapczanie Sasza położył się na brezentowym łóżku polowym

Mark zdjął marynarkę, szelki, koszulę, i zostawszy w obszytej, wzorzystą niebieską tasiemką podkoszulce poszedł do łazienki

Czekając na niego, Sasza leżał z rękami pod głową...

Po zebraniu, na schodach, Janson poklepał go po ramieniu Ten osamotniony, mający dodać otuchy gest podkreślił tylko pustkę, którą odczuł Sasza Inni udawali, że śpieszą się do domu, do stołówki Po drodze do przystanku na błotnistej jezdni zapuszczonego przedmieścia wyminął go czarny samochód. Glińska siedziała obok kierowcy, odwracając głowę mówiła coś do siedzących z tyłu. To, że rozmawiali i przemknęli obok Saszy nie zauważając go i nie myśląc o nim znów wywołało w nim uczucie pustki, niesprawiedliwego odtrącenia.

Glińską Sasza znał jeszcze ze szkoły, widywał ją na zebraniach komitetu rodzicielskiego, jej syn Jan chodził z nim do jednej klasy — ponury, małomówny chłopak, interesujący się wyłącznie alpinizmem. Glińska była żoną pracownika Kominternu, polski akcent nadawał jej kategorycznym wypowiedziom nieco nienaturalny odcień Mimo wszystko zdawało się, że Glińska zabierze głos na zebraniu egzekutywy, w końcu za akademiki jest odpowiedzialna w takim samym stopniu co i Kriworuczka Ale milczała.

Wrócił Mark, umyty, odświeżony, wyciągnął z sakwojaża wodę kolońską, natarł się, wszedł pod kołdrę, przez chwilę mościł się, szukając najwygodniejszej pozycji do snu, zdjął okulary i gestem krótkowidza wymacał miejsce by je położyć.

Przez jakiś czas milczeli, potem Sasza spytał:

— Po co Stalin cię wezwał?

— Nie wezwał mnie Stalin, wezwali mnie, żeby przekazać jego polecenia

— Mówią, że jest niewysoki.

— Taki jak ty i ja.

— A na trybunie wygląda na wysokiego.

— Tak

— Kiedy było pięćdziesięciolecie jego urodzin — powiedział Sasza — nie podobała mi się jego odpowiedź na życzenia, to coś w rodzaju „urodziła mnie Partia na obraz i podobieństwo swoje".

— To znaczyło, że życzenia odnoszą się do całej Partii, a nie do niego osobiście.

— Czy to prawda, że Lenin pisał, że Stalin jest nieokrzesany i nielojalny?

— Skąd to wiesz?

— Co za różnica... Wiem. Pisał tak?

— Są to cechy wyłącznie osobiste — powiedział Mark — i nie najważniejsze. Najważniejsza jest linia polityczna

— Czy to można rozgraniczyć? — zaoponował Sasza, przypomniawszy sobie Baulina i Łozgaczewa.

— Masz wątpliwości?

— Nie myślałem o tym. Też jestem za Stalinem. Ale za dużo tego wychwalania. Jakoś razi.

— Niezrozumiałe to nie znaczy jeszcze nieprawidłowe — powiedział Mark — Trzeba wierzyć w Partię, w jej mądrość. Idą surowe czasy

Sasza uśmiechnął się.

— Dziś przekonałem się o tym na własnej skórze.

Opowiedział o zebraniu egzekutywy.

— Księgowość? Czy to aż tak zasadnicza kwestia, że...

— No wiesz... Jakieś kwestie muszą być zasadnicze

— Sprzeczać się z wykładowcą przy wszystkich, to nietakt.

— Nie oskarżają mnie o nietakt, tylko o apolityczność

I chcą, żebym się przyznał, rozumiesz?

— Jeżeli popełniłeś błąd, to można się przyznać.

— Nie doczekają się. Do czego mam się przyznawać? Lipa!

— Dyrektorem jest nadal Glińska?

— Tak

— Była na zebraniu?

— Była.

Mark Aleksandrowicz kazał kierowcy jechać przodem, a sam poszedł piechotą

Przejrzysty jesienny poranek, rześki chłodek. Spieszyli do pracy urzędnicy, hałaśliwa kolejka kobiet stała pod piekarnią, milcząca kolejka mężczyzn — pod trafiką.

Spośród wszystkich swoich sióstr Mark zawsze najbardziej kochał Sonię, współczuł jej, tak bezbronnej zwłaszcza teraz, gdy odszedł od niej mąż. Kochał też Saszę Dlaczego przyczepili się do chłopaka? Przecież powiedział prawdę, a za to łamią mu duszę, żądają skruchy za nie popełnione winy On sam też namawiał Saszę do tego.

Mark Aleksandrowicz przeciął Plac Arbacki i poszedł po Wozdwiżence, nieoczekiwanie cichej i pustej po gwarnym Arbacie Tylko duża grupa ludzi czekała na otwarcie sklepu Wojentorgu, a druga, mniejsza, tłoczyła się przy wejściu do biura Kalinina Mark Aleksandrowicz wsiadł do czekającego samochodu, i mijając Mochową, Ochotnyj Riad, przez Plac Teatralny i Łubiański pojechał na Plac Nogina, gdzie w ogromnym czteropiętrowym gmachu, w plątaninie długich korytarzy i niezliczonych sal mieścił się Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego.

Tysiące ludzi przybywały do tego budynku z najdalszych stron kraju, tu decydowano o wszystkim, planowano, zatwierdzano Jak zawsze wizytę w Ludowym Komisariacie Mark Aleksandrowicz rozpoczął nie od naczelników departamentów, lecz od biur i działów. I to, że Riazanow, kierujący największą budową na świecie, ulubieniec Ordżonikidze, odwiedza przede wszystkim zwykłych, szeregowych pracowników, sprawiało tym pracownikom przyjemność: liczy się z nimi, rozumie ich potęgę, potęgę aparatu I chętnie zajmowali się jego sprawami, załatwiali je tak jak wymagał tego interes huty — dumy i chluby Pięciolatki, czyli tak jak chciał Mark Aleksandrowicz.

Obszedłszy działy dotarł na pierwsze piętro, przemierzył kilka korytarzy, znów wszedł na schody, zszedł z innych, i znalazł się w cichym, wyludnionym skrzydle budynku, gdzie mieściły się gabinety ludowego komisarza i jego zastępców. W sekretariacie pełnym dywanów, biurek i telefonów wszyscy znali Riazanowa, toteż bez meldowania wszedł do Budiagina.

Budiagin, członek KC, znajomy Stalina jeszcze ze zsyłki, kilka miesięcy temu został odwołany z placówki dyplomatycznej. Były ambasador w największym mocarstwie Europy otrzymał stanowisko zastępcy ludowego komisarza. Mówiło się, że odwołanie nie było dziełem przypadku, Budiagin znalazł się w niełasce Ale ze szczupłej, ozdobionej czarnym wąsem twarzy Budiagina, z jego szarych, osadzonych pod gęstymi brwiami oczu niczego nie można było wyczytać Ci proletariaccy inteligenci, zmieniający wojskowy szynel komisarza na frak dyplomaty, skórzaną kurtkę czekisty na garnitur dyrektora zjednoczenia, dla Marka Aleksandrowicza zawsze byli uosobieniem groźnego ducha Rewolucji, miażdżącej siły Dyktatury.

Rozmowa dotyczyła czwartego pieca Budowa pieca powinna zostać zakończona przed dniem rozpoczęcia XVII Zjazdu Partii, w ciągu pięciu miesięcy, a nie ośmiu, jak przewidywał plan. To, że względy gospodarcze musiały ustąpić wobec konieczności politycznej, rozumiał i Mark Aleksandrowicz, i Budiagin. Taka była wola Stalina.

Gdy omówili już wszystko, Mark Aleksandrowicz spytał:

— Znacie Saszę Pankratowa, mojego siostrzeńca, chodził do szkoły z waszą córką?

— Znam — twarz Budiagina znów stała się nieprzenikniona

— Głupia historia...

Mark Aleksandrowicz wyłuszczył Budiaginowi sedno sprawy.

— Sasza to uczciwy chłopak — powiedział Budiagin.

— Apolityczność księgowości — wyobraźcie sobie! Dyrektorem jest tam Glińska, nie znam jej, ale wy znacie Porozmawiajcie, o ile nie sprawi to wam kłopotu Szkoda chłopca, zaszczują go. Mógłbym zwrócić się do Czerniaka, ale nie chciałbym, żeby sprawa doszła do komitetu rejonowego.

— Czerniak nie jest już sekretarzem — powiedział Budiagin.

— Jak to?

— Tak to...

— Do czego my dojdziemy?

Budiagin wzruszył ramionami.

— Zjazd w styczniu — i bez żadnej przerwy kontynuował — Saszka to zuch chłopak, bywa u nas. Dziwne, nic nie mówił.

— On nie z tych, co proszą o pomoc.

— Czy Glińska będzie w stanie coś zrobić? — spytał Budiagin z powątpiewaniem.

— Nie wiem. Ale nie pozwolę zniszczyć chłopca. Nie wolno kaleczyć młodych, oni dopiero zaczynają żyć.

— Takie rzeczy dzieją się teraz nie tylko z twoim siostrzeńcem — powiedział Budiagin.

Mark Aleksandrowicz zszedł do fryzjera, ostrzygł się, i choć nigdy tutaj tego nie robił — ogolił. Natychmiast zresztą pożałował swojej decyzji: fryzjer spryskał go wodą kolońską, ostry zapach nie podobał się Markowi. Z nieprzyjemnym poczuciem obcego, natrętnie drogeryjnego zapachu poszedł do stołówki dla wyższych urzędników Ludowego Komisariatu.

Bufetowa zwróciła się ku niemu.

— Towarzyszu Riazanow, jesteście proszeni do towarzysza Siemuszkina.

Wszedł na górę Anatolij Siemuszkin, sekretarz Ordżonikidze, przywitał się z nim oschle, wyrażając niezadowolenie, że w potrzebnej chwili Marka Aleksandrowicza nie było pod ręką. Siemuszkin do wszystkich zwracał się per „ty", nie uznawał nikogo oprócz Sergo, i bano się go nie mniej niż samego Sergo. Podczas wojny domowej był jego adiutantem, a od dwudziestego pierwszego roku — sekretarzem w Zakaukaziu, w CKK-RKI, i tu, w Ludowym Komisariacie

Z mistrzowsko znaczącym i wciąż niezadowolonym wyrazem twarzy Siemuszkin wykręcił numer telefonu...

— Towarzysz Riazanow przy aparacie... — i oddał słuchawkę Markowi Aleksandrowiczowi.

— ... o czwartej oczekiwany jest na Kremlu.

Mark Aleksandrowicz domyślał się, że po to został wezwany do Moskwy, ale bilet powrotny już mu wręczono, i sądził, że spotkanie odwołano. A jednak za czterdzieści minut będzie u Stalina.

Z drugiego aparatu Siemuszkin połączył się z Bobrińskim kombinatem chemicznym, tam mu powiedziano, że Grigorij Konstantynowicz wyjechał w teren. Mimo to Siemuszkin wydzwaniał nadal, zatrzymywał Marka Aleksandrowicza uważając, że lepiej spóźnić się do Stalina niż iść do niego bez wytycznych Ordżonikidze. Mark Aleksandrowicz tak nie uważał. Siemuszkin o b r a c a ł s i ę tylko w najwyższych kręgach, on zaś w tych kręgach d z i a ł a ł. I sekretarska miotanina Siemuszkina nie powinna mu w tym przeszkadzać.

Był absolutnie spokojny i opanowany. Irytował go tylko obcy, fryzjerski zapach. Nie mógł stanąć przed Stalinem taki ś w i e ż u t k i. Ponownie zszedł do fryzjera, kazał umyć sobie twarz i głowę. Fryzjer, zostawiwszy siedzącego w sąsiednim fotelu klienta, zastygł przed nim z ręcznikiem w dłoniach. Tamten dobroduszny Mark Aleksandrowicz, który pół godziny temu żartował z nim na temat łysiejących mężczyzn, już nie istniał. Władcza twarz, szczególnie teraz, gdy zdjął okulary, wydawała się bezlitosna.

W Bramie Troickiej Mark Aleksandrowicz okazał swoją legitymację partyjną. Okienko zatrzasnęło się, potem znowu otworzyło, za szybą mignęła sylwetka oficera, oficer schylił się, i dopiero wtedy Mark Aleksandrowicz go zobaczył.

— Macie broń?

— Nie.

— Co jest w teczce?

Mark Aleksandrowicz podniósł teczkę, otworzył.

Dyżurny zwrócił mu legitymację z włożoną do środka przepustką

W drzwiach wydzielonego podjazdu stali dwaj żołnierze z karabinami. Spojrzawszy na zdjęcie w legitymacji, wartownik obrzucił twarz Marka uważnym służbowym wzrokiem.

Mark Aleksandrowicz rozebrał się w niewielkiej szatni i wszedł na drugie piętro. Pod drzwiami gabinetu cywilny funkcjonariusz jeszcze raz sprawdził jego dokumenty.

W obszernym gabinecie za biurkiem siedział Poskrebyszew Mark Aleksandrowicz widział go po raz pierwszy, i od razu pomyślał sobie jak toporną i nieprzyjemną twarz ma ten człowiek.

Poskrebyszew zaprowadził Marka do sąsiedniego pomieszczenia — sekretariatu, wskazał sofę, a sam wszedł do gabinetu starannie zamykając za sobą drzwi Po chwili wrócił.

— Towarzysz Stalin oczekuje was.

Przestronny gabinet Stalina miał wydłużony kształt Po lewej stronie wisiała ogromna mapa Związku Radzieckiego. Po prawej, między oknami, stały sejfy z książkami, miejsce w kącie przy wejściu zajmował duży globus, a przeciwległy, oddalony kąt — biurko i fotel. Pośrodku — długi stół, nakryty zielonym suknem, i krzesła.

Stalin przechadzał się po gabinecie, przystawał gdy otwierały się drzwi. Miał na sobie frencz z ochronnego, niemal brązowego materiału, i takie same spodnie, wpuszczone w wysokie buty Krępy, nieco dziobaty, o lekko mongolskich oczach wydawał się wręcz mały. W gęstych włosach nad niskim czołem połyskiwała siwizna Stalin zrobił kilka lekkich, sprężystych kroków i podał Markowi Aleksandrowiczowi rękę — zwyczajnie, po prostu, ale ze świadomością znaczenia tego uścisku. Odsunął dwa krzesła. Usiedli Mark Aleksandrowicz zobaczył tuż przed sobą oczy Stalina — jasnobrązowe, żywe, wydały mu się nawet wesołe.

Mark Aleksandrowicz zaczął referowanie spraw od ogólnego opisu budowy. Stalin przerwał mu od razu:

— Towarzyszu Riazanow, nie traćcie czasu. KC i jego sekretarz wiedzą gdzie jest budowa i po co jest budowa.

Mówił z silnym akcentem gruzińskim. I, jak przekonał się Mark Aleksandrowicz, był doskonale zorientowany w istocie sprawy.

— Komsomolcy uciekają?

— Tak.

— A więc po to się ich mobilizowało, żeby uciekali! Ilu uciekło?

— Osiemdziesięciu dwóch.

Spojrzenie Stalina było przenikliwe, badawcze...

— Pokażcie dane!

Mark Aleksandrowicz wyjął z teczki tabelę fluktuacji siły roboczej, pokazał właściwą rubrykę.

— I cóż się tak sami oczerniacie, towarzyszu Riazanow! Gdyby z jakiegoś zakładu uciekło tylko osiemdziesięciu dwóch ludzi, to dyrektor uważałby się za bohatera.

Uśmiechnął się. Wokół oczu ostro zaznaczyła się sieć zmarszczek.

Mark Aleksandrowicz poskarżył się na fabrykę, dostarczającą wyposażenie dla huty. Stalin spytał, kto jest dyrektorem fabryki. Usłyszawszy nazwisko powiedział:

— Niemądry człowiek. Wszystko zawali.

Jego oczy stały się nagle żółtawe, ciężkie, tygrysie, mignęła w nich złość na człowieka, którego Mark Aleksandrowicz znał jako dobrego fachowca, znajdującego się w trudnej sytuacji.

Riazanow przeszedł do najbardziej drażliwej kwestii — budowy drugiego wydziału pieców martenowskich

— W ciągu roku zbudujecie?

— Nie, towarzyszu Stalin.

— Dlaczego?

— Nie jestem technicznym awanturnikiem.

I natychmiast przestraszył się tego co powiedział Stalin przyglądał mu się uważnie. Oczy miał znów żółte, ciężkie, jedna brew przyjęła niemal pionowe położenie. Powoli, rozciągając słowa, Stalin powiedział:

— A więc KC — to techniczni awanturnicy?

— Proszę wybaczyć, wyraziłem się niewłaściwie. Miałem na myśli rzecz następującą...

Mark Aleksandrowicz szczegółowo i przekonywająco wyjaśnił, dlaczego budowy drugiego wydziału nie będzie można zakończyć w przyszłym roku. Stalin słuchał uważnie, przyciskając do piersi lewą rękę z zaciśniętą w pięści fajką, ręka sprawiała wrażenie bezwładnej.

— Powiedzieliście uczciwie. Nie potrzeba nam komunistów, którzy obiecują złote góry. Potrzeba nam takich, którzy mówią prawdę.

Stalin mówił bez uśmiechu, bardzo znacząco, te słowa były przeznaczone dla całego kraju. Mark Aleksandrowicz chciał referować dalej, ale Stalin trącił go w łokieć.

— Wysłuchałem was, teraz wy posłuchajcie mnie.

Zaczął mówić o metalurgii, o Wschodzie, o drugiej pięciolatce, o obronności kraju. Mówił powoli, jasno, cicho, nieco głuchym głosem, ale dobitnie, jakby dyktował maszynistce, mówił rzeczy ogólnie znane lecz teraz, w jego ustach, wydawały się one czymś nowym i niezwykle ważnym. O czwartym piecu nie wspomniał, jak gdyby nie chciał zmuszać Marka Aleksandrowicza do użycia argumentów, których by nie przyjął, i które mogłyby Markowi zaszkodzić.

— Kiedy wyjeżdżacie? — spytał Salin wstając.

— Dziś — Mark Aleksandrowicz wstał również.

— Odłóżcie wyjazd na jakieś dwa dni. Myślę, że towarzysze chętnie was wysłuchają na posiedzeniu Biura Politycznego.

Uczucie skrępowania i niepokoju, towarzyszące Markowi Aleksandrowiczowi podczas rozmowy ze Stalinem ustąpiło, pozostało jedynie wrażenie tego wielkiego, z czym się przez moment zetknął. Bezprecedensowa budowa, którą kierował, wymagała żelaznej woli. Gdyby nie żelazna wola Stalina, nie umiałby okazać swojej Wola ta oznaczała twardość Łagodnością nie dokonuje się historycznych przemian.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

SZTUKA — TO POTĘGA!

Mieszkam sobie od 1966 roku w Łodzi, która stała się mimo woli MOIM MIASTEM z całym swoim dobrem i złem. To wszystko co dobre pozwoliło mi tutaj żyć i pracować. Mieszkając wiele lat rozpoznałem i złą tradycję rozwoju kultury w Łodzi, a pomógł mi w tym tragiczny los Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego, kiedy to miasto, a dokładniej władze administracyjne pozwoliły tym wybitnym obywatelom umrzeć w nędzy i zapomnieniu na początku lat pięćdziesiątych. Ta „zła tradycja" zwalnia nas artystów z jakichkolwiek żądań i pretensji względem Administratorów, bowiem dzisiaj ci artyści i tak stali się chlubą i dumą tego miasta, a właściwie dumą sztuki polskiej. Tak to już widocznie czasami musi być. Marniało tu, ale i krzepło wielu artystów. Nie chcę mówić w tym osobistym liście o historii, ona się sama pisze, czy ktoś na to pozwoli czy nie. Żyję współcześnie, t e r a z jest dla mnie bardzo ważne. Przez szacunek i miłość do tego „twardego" miasta muszę się wznieść ponad to, co przyziemne, co jest marną egzystencją, ludzkim życiem na co dzień. Tak się samo stało, że żyjąc właśnie w Łodzi, zostałem artystą, czyli człowiekiem, który musi stanąć na neutralnym gruncie w walce o swoje rozumienie sztuki. Muszę więc za wszelką cenę bronić swej wolności, która mi gwarantuje możliwość tworzenia. Nikt mi w tym nie musi pomagać, więc nikogo o pomoc nie proszę, to pryncypium, pozwalające żyć artyście, człowiekowi zdecydowanemu na wszystko. Wiem, jestem przekonany, że nikt nie jest w stanie powstrzymać żadną sugestią, manipulacją, pomówieniem albo innym świństwem — Abakanowicz, Lutosławskiego, Grotowskiego, Demarczyk, Schaffera, Warpechowskiego i wielu innych polskich artystów. Oni wpisali się już na stałe w polską kulturę, są jakoby „polnymi głazami", którym życie codzienne i mozół pracy odebrały często satysfakcję, nie mieli na nią czasu.

W Łodzi, tak jak w każdym innym mieście, żyją podobni „bohaterowie", których nie pozbędzie się już ani Władza, ani liczni malkontenci, bo oni żyją w świadomości swoich odbiorców, których jest wielu, coraz więcej. Prawdziwi artyści rosną i tworzą na ogół niezależnie od tego co administrowane, założone z góry albo podpowiedziane, chcą być sobą przez całe życie w każdych warunkach i okolicznościach. Chwilowe łaski i niełaski. Władzy nie są w stanie zmienić ich postanowień, na które składa się praca w imię wolności osobistej. Twórczość, bowiem, jest procesem dążenia do jakiegoś absurdalnego celu, to cecha ludzkiej natury, to rodzaj fascynacji, która pomaga artyście przezwyciężyć wiele trudności.

W Polsce mówi się o Łodzi, że to trudne miasto dla sztuki, dla kultury w ogóle. Osobiście uważam, że to jest wytarty slogan przez lata utwierdzany jako pewnik, który ma na celu „rozłożyć na łopatki" każdą wartościową inicjatywę. Sam pracuję w sztuce ok. 30 lat nie tylko w Łodzi, ale w całym kraju, a czasami na świecie, jak Bóg da. Z perspektywy tych wielu czasem niełatwych lat przeciwstawiam się tej fatalnej opinii, twierdząc, że w Łodzi ŻYJE SZTUKA i to bardzo intensywnie, ma ona często wymiar ogólnopolski, a nawet światowy, tylko jej życie kwitnie poza Władzami Kulturalnymi tego miasta. Artyści wsparci awangardową tradycją Łodzi są nieustępliwi i przez to bezczelni, krnąbrni i niewygodni dla administracji, która już dawno straciła z nimi kontakt i jakąkolwiek więź. Pracują oni po swojemu nie oglądając się na trudności i inne przeciwności losu, po prostu żyją swoją sztuką, a tego nikt im nie zabroni! Tak być powinno, kiedy Władze Administracyjne tracą kontakt, stają się zbędne, niepotrzebne nikomu. Niech schną w swoim własnym samozadowoleniu.

Autentyczni artyści to na ogół ludzie skromni, zamknięci w sobie, pracujący wcale nie dla poklasku. Trzeba ich szukać, odnajdywać, czasami hołubić jeżeli tego potrzebują, dbać o to, aby byli sobą, gdyż ich osobowość często niezauważalnie staje się wartością społeczną, narodową czy nawet ogólnoludzką. To delikatna sprawa wymagająca od administracji sporego wyczucia na miarę Przecława Smolika, który administrował kulturą łódzką w latach trzydziestych, kiedy to Władysław Strzemiński otrzymał wielce szanowaną Nagrodę Miasta. Dlatego w tych skromnych życiowo warunkach mogę sobie krzyknąć, a nawet publicznie zawołać — SZTUKA, to potęga! i nikt mnie nie powstrzyma, będę sobie szedł dalej, dokąd będę chciał, dopóki mi sił starczy i to właśnie po ulicach Łodzi, bo tu, a nie gdzie indziej zdecydowałem żyć. To wspaniałe „twarde" miasto, przekonuje swoją autentycznością, brakiem obłudnego blichtru, jest jak cała Polska, miastem skromnym, ale żywym w interesujących ludziach. Trudno tu spokojnie zasnąć, ułożyć się w letargu, ono pcha swoją surowością do aktywności, czym promieniuje na cały kraj.

Możliwość funkcjonowania w kulturze Łodzi ma każdy kto chce pracować, tylko trzeba mieć nieodpartą pewność siebie, że nie wszystko tu się dzieje z poręki urzędników, czy działaczy kulturalnych. Można się, jak się okazuje bez nich obejść, ale nie wolno im oddać pola, czyli możliwości działania broniąc tego co nasze i wspólne, prywatnie zaaranżowane przez nas samych. Dla życia mieszkańców tego miasta sztuka jest niezbędna jak powietrze, którym wspólnie oddychamy. Biorę więc w obronę nasze Stowarzyszenie Twórców Kultury, którego losy splecione są z miastem przez wiele wspaniałych inicjatyw, bowiem ten DOM ARTYSTÓW jest bastionem łódzkiej sztuki, jako jedyny legalny przyczółek żywych sporów artystycznych na miarę naszych skromnych możliwości. To miejsce, gdzie mogły się już spotkać racje administracji i artystów, nie wiem kto zwyciężył, bo nie o zwycięzców i przegranych tu chodzi, jedynie o możliwość istnienia czegoś co czasem bywa dobre lub złe, mądre lub głupie, ale tak to już w życiu sztuki jest, że do końca nie jesteśmy pewni co z tego wyniknie. Myślę, że stać nas na wiele dobrego o czym świadczy ilość sympatyków tego pięknego budynku przy alei Kościuszki 33.

JÓZEF ROBAKOWSKI

Józef Robakowski list swój — wraz z pismem odręcznym — skierował do mnie. Czuję się zatem w obowiązku na list ten odpowiedzieć, choć dotyczy on spraw ogólnych.

Ludzi zatroskanych prawidłowym rozwojem kultury wiele z tego, co dzieje się w Łodzi — i nie tylko w Łodzi — może niepokoić. I powinno niepokoić. Podzielam zatem szereg zarzutów, jakie zawarł w swoim liście Józef Robakowski. Z niektórymi nie zgadzam się.

Otóż nie mogę na przykład zgodzić się z takim postawieniem sprawy, że „jedynym legalnym przyczółkiem żywych sporów artystycznych" było Stowarzyszenie Twórców Kultury. Bądźmy sprawiedliwi. Coś się w tej Łodzi przecież poza „bastionem łódzkiej sztuki" działo i dzieje. Chociaż — nie przeczę — mogłoby i powinno dziać się znacznie więcej. Co do tego nie mam wątpliwości.

Natomiast, jeśli chodzi o Dom Artystów, to — jak wiem ze źródeł dobrze poinformowanych — nie będzie on artystom odebrany. Nie umiem powiedzieć, w jakiej formie będzie on udostępniony, ale wiem, że stanie się to niewątpliwie, gdy zostaną prawnie rozwiązane sprawy Stowarzyszenia Twórców Kultury. Gdyby miało stać się inaczej lub gdyby rzecz ta się opóźniała, łamy „Odgłosów" są od tego, aby mówić o tym publicznie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NA URLOP DO MĘCINY

Coraz więcej osób stwierdza, że urlopu w kraju spędzać nie warto, bo się po prostu... nie opłaca!? i to nie ze względu np. na małą atrakcyjność miejscowości wczasowych czy zagrożenie ekologiczne środowiska, ale ze względów finansowych. Kiedyś na urlopie pieniądze się po prostu traciło, dziś do dobrego tonu należy ich zarabianie i to najlepiej w twardej walucie.

Póki jednak wszyscy nie zwariujemy i nie zaczniemy spędzać wczasów za granicą, miłośnikom wiejskiego prymitywu i absolutnego spokoju, amatorom wędrówek po górach i wędkowania nad wodą, chciałbym polecić miejscowość o nazwie Męcina, położoną w województwie nowosądeckim, w dolinie rzeki Smolnik, mniej więcej w połowie starej szosy łączącej Limanową z Nowym Sączem.

Męcina jest dużą i nowoczesną wsią, którą poznałem dzięki temu, że w jednej z dwóch szkół znajduje się ośrodek kolonijno-obozowy dla dzieci i młodzieży pracowników Uniwersytetu Łódzkiego, który z autentyczną przyjemnością, bo zauroczony pięknem krajobrazu, prowadzę już od ośmiu lat. O walorach wypoczynkowych tej miejscowości, prawie jeszcze dziewiczej i „dzikiej" pod względem turystycznym, najlepiej świadczy fakt, że wypoczywająca we wspomnianym ośrodku działwa szkolna, bardzo chętnie tam wraca latem i zimą. Chwalą sobie pobyt w Męcinie i dzieci niemieckie z Karl-Marx-Stadt, które przyjeżdżają w ramach tzw. „wymiany".

Na co może liczyć w Męcinie indywidualny urlopowicz? Na noclegi tylko w prywatnych kwaterach bądź pod namiotem w obrębie jakiegoś gospodarstwa, na posiłki i to niezłej jakości w miejscowej restauracji, na dobrze zaopatrzony sklep spożywczy, na sprawnie funkcjonującą komunikację autobusową i kolejową, na łączność pocztowo-telefoniczną i tani koszt imprezy, a ponadto na spokój, ciszę, dużo czystego powietrza i bardzo życzliwych, pogodnych ludzi.

Miłośników wędrówek po górach mogę zapewnić, że w okolicach Męciny znajdują się stosunkowo łatwe i bardzo atrakcyjne krajobrazowo szlaki turystyczne.

Ci, którzy zdecydowaliby się przyjechać do Męciny, a nie lubią chodzić po górach, znajdą świetne miejsca do odpoczynku nad rzeką Smolnik, górskim i jeszcze czystym potokiem, mogą również korzystać z kąpieli na pięknej pływalni usytuowanej w parku miejskim w pobliskiej Limanowej, a także z licznych miejsc do opalania i wędkowania nad Jeziorem Rożnowskim. Dzięki dobrym połączeniom kolejowym, w dni chłodne i pochmurne, można odbyć jednodniowe wycieczki do stolicy województwa Nowego Sącza, do dziecięcego uzdrowiska Rabki, a nawet do Krynicy Górskiej i atrakcyjną Doliną Popradu.

Czy ta oferta zdecyduje, że Męcina zostanie podbita przez turystów, pokaże czas.

STANISŁAW SOWIŃSKI

„PORNOGRAFIA CO TO TAKIEGO?"

W interesującej rozmowie o pornografii, jaką w 22 numerze „Odgłosów" Tomasz Kubik przeprowadził z docentem Marianem Filarem — najbardziej zwrócił moją uwagę maleńki fragmencik dotyczący szwedzkiej cenzury. Jak wynika z wypowiedzi docenta — ze względów wychowawczych ta cenzura bardziej reaguje na sceny agresji w filmach i wszystko to, co mogłoby uczyć pogardy dla cudzego nieszczęścia niż na seks.

Jeśli spojrzeć na repertuar filmowy polskiej telewizji z punktu widzenia właśnie agresji, okazuje się, że nasza w tym względzie wrażliwość jest niezmącona. Ośmielę się stwierdzić, że zdecydowana większość filmów tę agresję wręcz eksponuje na wszelkie sposoby. Nie ma tygodnia, byśmy kilkakrotnie nie oglądali zabójstwa, afer na mniejszą i większą skalę, rozmaitych napadów, rozbojów i bijatyk, a wszystko to pod „łagodnym" płaszczykiem telewizyjnej rozrywki, bo przecież niewiele emitowanych filmów ma znamiona autentycznych dzieł sztuki.

Nie pragnę tu występować w roli purysty obyczajowego, ani tym bardziej specjalisty od telewizyjnego programu. Nachodzi mnie jednakże refleksja (a uświadomił ją wyraźniej wspomniany fragmencik wypowiedzi docenta Filara) nad marnością masowej produkcji telewizyjno-filmowej, która w poszukiwaniu tematów nie może wyjść poza ramy taniej sensacji, mocnych wrażeń, epatowania widza cudzym nieszczęściem powodowanym czyjąś brutalnością, zwyrodnieniem, chęcią osiągnięcia dużego zysku materialnego za wszelką cenę.

Że zbrodnia i zło tkwiące w człowieku stanowią atrakcyjne tworzywo dramaturgiczne — wiadomo już od czasów starogreckiego dramatu. Jest jednak, u licha, jakaś różnica między, powiedzmy, „Antygoną", „Makbetem", „Zbrodnią i karą", a tysiącem policyjnych seriali i tym podobnych filmów fabularnych oglądanych ciurkiem, niemal mechanicznie w co trzeci wieczór.

Filmy w telewizji cieszą się największą bodaj popularnością zgnuśniałych intelektualnie telewidzów, a są to — powiedzmy sobie szczerze — nie zawsze tylko ludzie dorośli. Wiadomo, że wzorce postępowania kształtują się pod wpływem bardzo skomplikowanego układu czynników, nie sądzę jednak, aby można z nich było bezdyskusyjnie wyeliminować to, co na co dzień ogląda się w telewizji. Stała porcja telewizyjnej strzelaniny, zbrodni, bijatyk serwowana regularnie musi oddziaływać, jeśli nie na świadomość, to przynajmniej na podświadomość niejednego młodego człowieka. Popatrzmy zresztą na zabawy dzieci, posłuchajmy ich rozmów. Ileż w nich wyraźnej inspiracji wprost z co bardziej mocnych scen oglądanych filmów.

Fascynacji agresją (na rozmaity sposób pokazywaną) nie pozbawione są także filmy wyraźnie adresowane do młodego widza, jak choćby: ostatnia wersja „Robin Hooda", „Chłopcy z Baker Street" czy „Kaptury i przyłbice".

Sprawa godna jest, myślę, zastanowienia się przynajmniej. Czy naprawdę wytrzymuje krytykę lansowana tu i ówdzie teza o rozładowaniu agresji przez oglądanie filmów? Osobiście wątpię. Sądzę raczej, że rzecz ma się wręcz odwrotnie: oglądając wciąż bójki, strzelaninę, napady tępieje się i przyzwyczaja jakby do normalności tych zjawisk, ich obiektywnej konieczności istnienia. I niewiele tu pomaga zakończenie filmu, w którym z reguły zbrodniarz trafia za kratki lub ginie zastrzelony przez „sprawiedliwego" policjanta. W pamięci bardziej pozostaje zimna twarz Alaina Delona strzelającego bez zmrużenia oka w kolejną ofiarę. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że jest to strzał w nas — ludzi końca XX wieku, którzy tak bardzo cenimy sobie spokojne, dostatnie rodzinne życie.

KAZIMIERZ BRZEZIŃSKI

„SZKOŁA WYŻSZA — TWIERDZA PARADOKSÓW"

W odpowiedzi na list p. J. K. Sienkiewicza zamieszczony w „Odgłosach" (nr 21) wyjaśniam co następuje:

1. Udział w pracach komisji dla doboru kandydatów na studia należy do takich prac organizacyjnych, które są wynagradzane (zgodnie z zarządzeniem nr 18 ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki z 1983 r.). Nie jest to wynagrodzenie wysokie, wynosi bowiem do 5 tys. zł dla członków komisji uczelnianej (z możliwością podniesienia o 50 proc. wynagrodzenia dla sekretarza tej komisji), zaś w komisjach wydziałowych odpowiednio: przewodniczący — do 500 zł za każdych 50 kandydatów, sekretarz do 6 tys. zł, pozostali członkowie komisji do 200 zł za każdych 50 kandydatów (wysokość wynagrodzeń zryczałtowanych zależna jest od liczby kandydatów).

Nie jest prawdą, że przedstawiciele organizacji młodzieżowych otrzymują wynagrodzenie za udział w komisji. Dotychczas w Uniwersytecie Łódzkim stosowano zasadę, że ci spośród nich, którzy mieszkali w domach studenckich otrzymali zasiłek na pokrycie kosztów zakwaterowania i wyżywienia w czasie trwania egzaminów wstępnych.

2. Godziny zakończenia pracy dla poszczególnych kategorii pracowników UŁ określone zostały w sposób dostosowany do rodzajów ich zajęć, np. pracownicy administracji centralnej kończą pracę o godz. 15.30. Ponieważ zajęcia dydaktyczne kończą się w UŁ o godz. 21, tę właśnie porę przyjęto jako koniec pracy nauczycieli akademickich. Kierownicy jednostek organizacyjnych mogą ustalać inne godziny zakończenia pracy w zależności od specyfiki tych jednostek. We wszystkich jednak wypadkach osoba pozostająca w budynku uczelni po tych godzinach musi mieć indywidualne — stałe lub jednorazowe — zezwolenie swego szefa, muszą o tym wiedzieć również służby nadzoru, — portierzy, strażnicy nocni. Jest to zasada powszechnie stosowana we wszystkich przedsiębiorstwach i instytucjach, a szczególnie przydatna w uczelni, której budynki przez cały dzień są dla wszystkich dostępne, a więc niezbędne jest, by potier wiedział, kto ma prawo w budynku pozostać. W Uniwersytecie Łódzkim bardzo wielu pracowników otrzymuje tego typu zezwolenia — szczególnie częste jest to na kierunkach eksperymentalnych ze względu na specyfikę pracy naukowej.

3. W sprawie zatrudniania pracowników — obcokrajowców autor przepisu miał na myśli nie tylko kwalifikacje formalne, ale i merytoryczne, jak również możliwość praktycznego rozwiązania problemów wynikających z różnic w systemach kształcenia i awansowania kadr naukowych. Dzięki temu ktoś, kto uzyskał bakalaureat może być zatrudniony jako asystent, a naukowiec z kraju, w którym nie przewiduje się habilitacji, może być przyjęty na stanowisko docenta.

Płace w uczelniach związane są z zajmowanym stanowiskiem, a nie z uzyskanym tytułem naukowym (choć w większości wypadków jest to zbieżne) — nie można zatem dokonywać takich porównań, jakie czyni p. Sienkiewicz.

Odpowiedź powyższa dotyczy jedynie nieścisłości zawartych w liście J. K. Sienkiewicza, nie jest polemiką z zawartymi w nim opiniami. Trudno jest bowiem polemizować ze stwierdzeniem, że sytuacja finansowa i socjalno-bytowa pracowników naukowych jest zła, jak również z tym, że awans młodych naukowców jest zbyt powolny. To są sprawy znane w środowisku uczelni wyższych, jak również powszechnie wiadome ze względu na dość częste podejmowanie tej problematyki przez środki masowego przekazu. Nie ma również sensu polemika ze stwierdzeniem „że do Polski przyjeżdżają nie wybitne sławy naukowe, lecz naukowcy czwartej i gorszej kategorii", ponieważ jest to stwierdzenie uogólniające, choć oparte (prawdopodobnie) na przeświadczeniu własnym p. Sienkiewicza — być może wynikającym z jego doświadczeń życiowych.

mgr BARBARA NAPIERAJ
rzecznik prasowy
Uniwersytetu Łódzkiego

HISTORYCZNA DZIURA

Wiele lat temu władze miasta Łodzi doszły do wniosku, że jedna z centralnych arterii miasta — ulica Zachodnia, wzdłuż której przeprowadzono linię tramwajową, nie powinna straszyć przejezdnych „kocimi łbami". Wobec czego ufundowano tej ulicy nową jezdnię asfaltową.

Asfalt położono jednak nierówno i po każdym deszczu tworzyły się duże kałuże wody. Później nawierzchnię trochę poprawiono, ale nie do końca. Zostawiono bowiem duże obniżenie jezdni na rogu ulic Zachodniej i Obrońców Stalingradu, tuż przy podcieniach. Po każdym większym deszczu w dziurze tworzy się jezioro brudnej wody, którą pędzące ulicą samochody obryzgują przechodniów. Ci zaś w zdenerwowaniu obrzucają „wiązankami" służby komunalne. Ostatnio usłyszałem, że należałoby na dwie godziny przywiązać do słupa osobę odpowiedzialną za ten stan. Niech zazna przyjemności obryzgania błotem. Może przypomniałby sobie, że trzeba tu coś zaradzić?

MIECZYSŁAW KOZAK

„NAM SIĘ TO NIE PODOBA"

W „Odgłosach" nr 1521 z dnia 23.05.1987 r., zamieszczone zostało zdjęcie przedstawiające wrak samochodu „Syrena", znajdujący się na parkingu w rejonie bloku nr 18 w Osiedlu im. Stefana Batorego. W związku z tym informujemy, że w wyniku podjętych przez nas działań został on usunięty, a zastępca dyrektora spółdzielni ds. gospodarki zasobami mieszkaniowymi, zobowiązał kierowników administracji osiedlowych do przeprowadzenia przeglądu parkingów i uliczek osiedlowych, celem eliminacji innych przypadków tego rodzaju.

mgr STEFAN WYSZYŃSKI
dyrektor

„GDZIE SIĘ WYKĄPAĆ"

Nawiązując do zamieszczonego w dniu 30 maja br., artykułu pt. „Gdzie się wykąpać" — zdajemy sobie sprawę, że nie wszyscy czytelnicy będą mieli okazję z niniejszym wyjaśnieniem się zapoznać, niemniej mamy nadzieję, że naświetlenie poruszonych spraw pomoże zrozumieć, że zazwyczaj każdy „medal ma dwie strony".

Sprawa istnienia w Łodzi łaźni została rozstrzygnięta na szczeblu władz. Działalność dawnego zakładu kąpielowego „Mewa" mieszczącego się przy ul. Rzgowskiej 34 została zlikwidowana, istniejąca bowiem łaźnia świeciła pustkami, przynosząc straty, albowiem era łaźni publicznych niestety, albo na szczęście, minęła.

Zmieniły się stare dzielnice Łodzi, których mieszkańcy byli okresowymi klientami zakładów kąpielowych. Ich miejsce w krajobrazie Łodzi zajmują nowoczesne osiedla (chociażby — Chojny Zatorze), których mieszkańcy mają do dyspozycji własne łazienki.

Deficytowy obiekt wobec braku środków na jego utrzymanie zaczął straszyć swoim wyglądem. Zaczęły więc być czynione próby zagospodarowania go przez inne jednostki, ale niestety bez efektu — ze względu na stan obiektu.

W tej sytuacji nastąpiła interwencja władz dzielnicowych w przedmiocie zagospodarowania obiektu i doprowadzenia do należytego stanu poprzez stworzenie możliwości skoncentrowania agend spółdzielni, mieszczących się w różnych okolicach Łodzi.

Po zakończeniu remontu o bardzo dużym zakresie prac ze względu na stan techniczny obiektu, spółdzielnia nasza opuści lokale znajdujące się obecnie przy ul. ul. Urzędniczej 36, Zakątnej 51, Hutora 34a, 22 Lipca 82 i Piotrkowskiej 22, co umożliwi także obniżenie ponoszonych kosztów.

Nowy obiekt stworzy możliwości rozwinięcia właściwej działalności społecznej i produkcyjnej, okolicznościowych spotkań z tysięczną załogą i emerytami spółdzielni, których liczba przekroczyła już cyfrę 700.

Zagadnienia te muszą być brane tym bardziej pod uwagę, że dotychczas posiadany klub przy ul. Zachodniej 67 został przekazany na rzecz Teatru Studenckiego „77".

Przedstawiając powyższą informację liczymy, że zostanie ona udostępnienia czytelnikom, a „Odgłosy" bez uzyskania wyjaśnień od zainteresowanych jednostek, przestaną reagować na nie sprawdzone o d g ł o s y.

mgr JÓZEF KOWALCZYK
prezes Zarządu, kierownik Spółdzielni

Jeszcze raz okazało się, że przemądrzali dziennikarze wszystkiego jednak nie wiedzą. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że era łaźni publicznych minęła. Hurra!

REDAKTOR DYŻURNY

KONTYNUUJEMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. W piątym przedstawiamy zestaw ujemnych zjawisk. Afery w Wałbrzychu, Mielcu i Lublinie. Precedensowe decyzje PZPN. Próba skatalogowania przyczyn kryzysu w piłce nożnej. Paradoksalna propozycja Jacka Machcińskiego.

Rozwiązać ligę?

BOGDA MADEJ

Sięgnęłam po teczkę z wycinkami prasowymi dotyczącymi polskiej piłki nożnej. Przeglądam je i aż mi się w głowie kręci. Jakiż ponury wyłania się z nich obraz. Aby nie być gołosłowną przytoczę kilka przykładów. Zacznę może od najbardziej bulwersujących, choć wszystkich i tak nie podam. Z prostej przyczyny. Miejsca na to nie starczy.

Zacznijmy zatem od najświeższego wydarzenia. 16 czerwca 1987 roku odbyło się — można powiedzieć — historyczne posiedzenie wydziału gier PZPN, na którym

LECHA POZNAŃ I POLONIĘ BYTOM POZBAWIONO PUNKTÓW

i bramek (było 1:1 w tym meczu), Lechowi Poznań zakazano na rok wyjazdów zagranicznych, unieważniono mecz pomiędzy Górnikiem Wałbrzych a Motorem Lublin, nakazując go ponownie rozegrać 24 czerwca.

O meczu Lecha Poznań z Polonią Bytom Marek Lubawiński napisał w „Przeglądzie Sportowym", że to był *„wielki skandal"*. Tak zresztą ten mecz ocenił trener Lecha — Bronisław Waligóra, dodając, że za rękę nikogo nie złapał i tylko dlatego żadne oskarżenia nie mają podstaw. Kiedy natomiast prezes Lecha, wychodził z szatni po meczu, Marek Lubawiński myślał, *„że wylecą z futryny drzwi"*. I dodał: *„Czy zdenerwowanie poznańskiego działacza przyniesie jakieś efekty? Wątpię..."*. A jednak!

Na meczu Górnika Wałbrzych z Motorem Lublin do przerwy było 0:0, a po przerwie 4:0 dla Górnika. Bogdan Skiba w „Przeglądzie Sportowym" swoje sprawozdanie z tego meczu zatytułował: *„Cud po przerwie"*. Kto ten cud spowodował? Widać ktoś spowodował, skoro wydział gier PZPN nakazał mecz powtórzyć. Ze sprawozdania Bogdana Skiby można wyciągnąć niejakie sugestie I aby Czytelnik mógł to zrobić zacytuję, co widział i słyszał na trybunach w Wałbrzychu Bogdan Skiba:

„...na meczu obecni byli przedstawiciele beniaminka I ligi, Jagiellonii Białystok, spokojnego już I-ligowca Zagłębia Lubin oraz walczącej jeszcze wytrwale o utrzymanie Olimpii Poznań. Do przerwy wałbrzyszanie mieli kilka sytuacji do zdobycia goli, ale ich nie wykorzystali, w czym duża zasługa dobrze grających piłkarzy Motoru. Po przerwie niespodziewanie (chociaż część osób stwierdziła, że spodziewanie) worek z golami rozwiązał się i wałbrzyszanie, którzy nie potrafili w tej rundzie zdobyć więcej niż dwa gole w jednym meczu, bez względu na klasę przeciwnika, teraz strzelili aż cztery i jeszcze tyle co najmniej sytuacji stuprocentowych zmarnowali".

Z tego wyniku zadowoleni byli wszyscy z wyjątkiem działaczy Olimpii Poznań.

W Wałbrzychu od dawna działo się nie najlepiej i chyba nadal tak się dzieje, skoro PZPN zajął takie a nie inne stanowisko w sprawie cudownego wyniku meczu. Z dnia na dzień odszedł tam trener, Stanisław Świerk, jego miejsce również niespodziewanie zajął asystent, Stanisław Magiera, a na dodatek jeszcze zawieszono dwóch zawodników tej drużyny: Tadeusza Dolnego i Sławomira Majewskiego, którzy rzekomo — bo tego im nie udowodniono — mieli demoralizować innych. I wszystkie te „uzdrowicielskie" posunięcia działaczy Górnika Wałbrzych miały miejsce przed owym meczem z Motorem Lublin, na którym w drugiej połowie zdarzył się cud z 4 bramkami i który to mecz trzeba będzie powtórzyć.

Piłkarze Górnika Wałbrzych skarżą się, że są młodzi, nie mają dużego doświadczenia, nie mają od kogo się uczyć i oto ten sam klub wystawia na listę transferową 13 piłkarzy. Zaiste duże cuda dzieją się w tym Wałbrzychu!

WYDZIAŁ GIER PZPN SKARCIŁ TEŻ 6 KLUBÓW

za to, że ich piłkarze grają opieszale, nie wykazują woli walki. Są to: Olimpia Poznań, Śląsk Wrocław, Widzew i ŁKS z Łodzi, Igloopol Dębica, Broń Radom. Ostrzeżenie jest poważne. Z przedstawicielami tych klubów mają się odbyć — a może już się odbyły — ostrzegawcze rozmowy w PZPN. A gdyby się taka sytuacja powtórzyła, to co? W każdym razie widać, że PZPN poważnie traktuje swoją misję uzdrowicielską. Oby to nie był tylko słomiany ogień!

Sprawa nie jest bowiem taka prosta. Obserwatorzy mają podejrzenia, że mecz jest sprzedany, ale nikogo za rękę nie złapali. Sprawozdawcy patrzą na to, co się dzieje na boisku i dziwią się. Dają potem temu wyraz w sprawozdaniach. Ale też nic z tego nie wynika. Oto choćby na przykład tytuły niektórych sprawozdań z „Przeglądu Sportowego":

„GOŚCIE WYGWIZDANI" — to o meczu Motor Lublin — Legia Warszawa, gdzie gośćmi byli legioniści, remisujący w Lublinie 1:1.

„PROPOZYCJA HARAKIRI" — to o meczu Śląsk Wrocław — Olimpia Poznań, gdzie był remis 0:0. A propozycję harakiri złożył piłkarzom Julian Bartosz, szef wrocławskiego tygodnika „Sprawy i Ludzie", który powiedział po 20 minutach gry: — *„Oni wszyscy powinni popełnić zbiorowe harakiri, lecz nie mają na to dość honoru"*.

„WYGRAŁBY NAWET ŻÓŁW" — to o meczu Lech Poznań — ŁKS Łódź, wygrany przez ŁKS 2:0, który to mecz Marek Lubawiński skomentował następująco:

„Najdziwniejsze a zarazem najsmutniejsze, że kibice wcale się już nie denerwują, większość zagrań kwitują śmiechem. Na grę piłkarzy Lecha w sobotni wieczór można było patrzeć tylko z politowaniem".

Nie jest też komplementem dla ŁKS stwierdzenie, że *„na tym tle łodzianie prezentowali się zupełnie dobrze"*. Mieczysław Wójcicki z „Głosu Robotniczego" po obejrzeniu w Łodzi meczu ŁKS — GKS Katowice, który to mecz wygrali katowiczanie 1:0, napisał w sprawozdaniu dla „Przeglądu Sportowego": *„Jedno jest pewne — Leszka Jezierskiego, który od nowego sezonu obejmie znów ŁKS, czeka bardzo dużo pracy"*. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Tylko, czy ta praca przyniesie spodziewane i oczekiwane rezultaty? Bo to przecież nie od samego tylko trenera zależy. Leszek Jezierski jeszcze nie objął ŁKS, ale ze Szczecina dochodzą wołania: „NAPOLEONIE ZOSTAŃ!" Pogoń Szczecin ma szanse na wicemistrza Polski, a zatem i na grę na zagranicznych boiskach. Któż lepiej by ją do tego przygotował niż Leszek Jezierski, który przyczynił się do zdobycia tytułu wicemistrzowskiego? Ale Leszek Jezierski pała nieodwzajemnioną miłością do ŁKS. Powodzenia zatem!

O handlu meczami mówią wszyscy. Zarzuca się sprzedawanie meczów piłkarzom, działaczom, sędziom, ale jakoś nie słyszałam, aby trenerzy sprzedawali mecze, choć często ich zarobki są znacznie niższe niż zarobki ich podopiecznych. Co najwyżej się mówi, że trenerzy orientowali się w tym, co się wokół nich dzieje. Również trener Stali Mielec, Włodzimierz Jakubowski zorientował się, że w meczu jego drużyny z Polonią Bytom nie wszystko było w porządku.

— *„Nie jestem* — powiedział Wiesławowi Syzdkowi z krakowskiego „Tempa" — *w stanie nikomu udowodnić sprzedania spotkania. Nikt zresztą Łukasika i Skiby o to nie posądza. Mieliśmy możliwość obejrzenia meczu z Polonią na magnetowidzie i razem z prezesurą klubu dokonaliśmy oceny po jego kilkakrotnym obejrzeniu. Po tej analizie stwierdziliśmy, że postawa Skiby i Łukasika spowodowała przegranie najważniejszego meczu. Zachowanie się pierwszego przy drugiej bramce jest bulwersujące i wprost nie chciałem wierzyć, że wieloletni zawodnik Stali może postępować w sposób wskazujący na chęć spuszczenia zespołu do drugiej ligi"*.

I tak Bogusław Skiba, lat 26, obrońca i Witold Łukasik, lat 28, stoper zostali odsunięci od pierwszego zespołu Stali Mielec. Ale, czy to znaczy, że rzeczywiście sprzedali ważny dla swej drużyny mecz?

W tym miejscu

NIEZBĘDNA JEST DYGRESJA O PIENIĄDZACH

Otóż dla nikogo nie jest chyba tajemnicą, że w piłce nożnej rządzą przede wszystkim pieniądze. I to ogromne pieniądze. A wiadomo, że im bardziej łatwo one komuś przychodzą, ten pragnie wszystkimi sposobami mieć ich coraz więcej. I coraz częściej zdarza się, że są to sposoby, którymi mógłby się zainteresować jeśli już nie prokurator, to sąd dyscyplinarny bez wątpienia.

Kibice piłki nożnej przede wszystkim interesują się losami reprezentacji, której ciągle nie ma, swoich ulubionych klubów pierwszoligowych, a już znacznie mniej tym, co dzieje się w II lidze, chyba że tam akurat znajduje się ich ulubiony klub. A w II lidze dzieją się również dziwne i zaskakujące rzeczy. Otóż od lat niektóre kluby — choćby, daleko nie szukając pabianicki Włókniarz — nie wykazują jakoś chęci awansu do I ligi, a przecież mogłyby. Dlaczego?

Problemem tym zainteresował się też Ryszard Starzyński ze „Sztandaru Młodych", który wręcz zapytał o to jednego z działaczy drugoligowego klubu. I oto, co usłyszał w odpowiedzi:

— *Chroń mnie panie Boże. Przecież puściliby nas z torbami i trzeba byłoby podpisać wyrok śmierci na pozostałe sekcje w klubie. Nas nie stać na pierwszą ligę. Miejsce w środku tabeli drugiej ligi w zupełności nas zadowala"*.

A więc walki o miejsce w tabeli tak I, jak i II ligi nie napędzają ambicje, czysto sportowy duch, ale zimna kalkulacja, poparta analizą kosztów, strat i wysokości tak jawnego, jak i „lewego" konta. Czy w takiej sytuacji możliwa jest radykalna naprawa polskiej piłki nożnej? Przecież wiedzą o tym wszyscy: kibice, działacze, sędziowie, piłkarze, władze sportowe i tak dalej. Czyż można zatem się dziwić, że awansem po szczeblach tabeli, jak również z ligi do ligi nie są zainteresowani sami piłkarze? Jeśli klub awansuje do I ligi, to i przeciwnicy będą silniejsi, trzeba więcej trenować, można nie przypaść do gustu nowemu trenerowi, premie za wygrane mecze mogą być niższe, mecze trudniejsze, a w konsekwencji tego wszystkiego można stracić dobrze płatną pracę. Po co więc się pchać w takie ryzyko? Czyż nie lepiej mieć więcej pieniędzy przy mniejszym ryzyku i wysiłku?

Piłkarze dobrze wiedzą, że klub sam się nie utrzyma i musi mieć bogatych opiekunów. Dają oni pieniądze na kupowanie meczów, patronują obrotnym działaczom, mają kontakty i poparcie władz lokalnych. Władze lokalne też mają ambicje, ale nie ponad możliwości. Piłkarze więc wiedzą, że pozycja ich drużyny w ligowej tabeli często zależy nie tyle od ich umiejętności, formy, woli walki, co od sprytu działaczy i hojności opiekunów, z cudzoziemska modnie nazywanych sponsorami. Sprytny piłkarz potrafi z rozumienia tej sytuacji wyciągnąć właściwe wnioski i... korzyści.

W ZAGŁĘBIU MIEDZIOWYM LUBIN JEST DRUŻYNA

— Zagłębie Lubin. Ma ona bogatego opiekuna — Kombinat Miedziowy „Lubin". Ludzie w KM „Lubin" mają wysokie aspiracje i nieograniczone ambicje. Mają też warunki, aby te ambicje spełniały się. Ich marzeniem było, aby drużyna Zagłębie Lubin była w I lidze. I jest. A nawet — jak wiadomo — utrzyma się w tej lidze. Co więcej — w przyszłym roku ambicja działaczy może umieścić ją jeszcze wyżej. Zagłębie Lubin, które teraz zajmuje 8 miejsce w tabeli I ligi, może w przyszłym sezonie piłkarskim sięgnąć po miejsce premiowane udziałem w europejskich pucharach. Trzeba tylko zmienić trenera. Jest nim Grzegorz Szerszenowicz. Nawet powód jest. Grzegorz Szerszenowicz wyraził się na łamach „Przeglądu Sportowego" krytycznie o polityce PZPN. Do redakcji zadzwonił wicedyrektor klubu do spraw piłki nożnej — były sędzia piłkarski klasy międzynarodowej, Alojzy Jarguz, który niegdyś mieszkał w Suwałkach, a teraz przeniósł się do Lubina — i zaprotestował przeciw nieodpowiedzialnym wypowiedziom trenera.

Działaczom z Lubina zdaje się, że mogą wszystko. Gdy o Zagłębiu Lubin źle pisywał Dariusz Mikus, to go nie wpuszczano na stadion. Gdy potrzeba im było dobrego piłkarza, to kupili sobie Krzysztofa Budkę.

Afera z Krzysztofem Budką polegała na tym, że miał on dwie umowy. W jednej zobowiązał się grać do czerwca 1986 roku, a w drugiej — tajnej, albo „lewej", jak kto woli — grać do 30 czerwca 1991 roku. Za grę według tej pierwszej umowy miał otrzymać:

1. kwotę 1 500 000 złotych,
2. samochód „Ładę 1600", albo „poloneza" z pięcioma biegami.
3. talony na pralkę automatyczną i lodówkę,
4. mieszkanie służbowe,
5. płacę stałą w wysokości 36 000 złotych plus premie za mecze zgodnie z obowiązującym regulaminem.

Druga umowa miała 21 paragrafów.

Jeden z działaczy Zagłębia Lubin twierdzi, że tylko jedna umowa była ważna, druga nieważna. Ale która? Gdy wygasł kontrakt według jednej umowy, Krzysztof Budka przyszedł do Zarządu Zagłębia Lubin i — prezentując postawę bezczelnego lekceważenia swoich rozmówców — zażądał trzech milionów złotych za... przedłużenie „lewej" umowy. Wynikałoby z tego, że „lewa" umowa też była nieważna.

Piłkarze zwiedzieli się, że Zagłębie Lubin ma bogatego opiekuna, że tam się z pieniędzmi nikt nie liczy. Do Lubina przyjechało między innymi — jak to ujawnił w „Przeglądzie Sportowym" Tomasz Jagodziński — dwóch piłkarzy, którzy już zakładali koszulki z Orłem Białym. Zażądali jednak takich sum, że nawet bogaty opiekun z Lubina złapał się za głowę. Ale inne kluby ich wzięły. Widać mają jeszcze bardziej bogatych opiekunów niż opiekunowie z Lubina. A może piłkarze spuścili nieco z tonu i z... ceny?

Prezydium Zarządu PZPN zatwierdziło ostatnio kary nałożone na Zarząd Zagłębia Lubin i Krzysztofa Budkę. I tak:

— Krzysztof Budka, który niezależnie od nienależnych korzyści usiłował przenieść się do Pogoni Szczecin, na co PZPN nie wyraził zgody, został zdyskwalifikowany na pół roku;

— Zarząd Zagłębia Lubin zapłaci milion złotych za działania ułatwiające Krzysztofowi Budce osiągnięcie nienależnych korzyści;

— Wiceprezes do spraw piłki nożnej w Zagłębiu Lubin został na rok odsunięty od działalności społecznej w klubie;

— Dyrektor Zagłębia Lubin (chyba to nie jest Alojzy Jarguz? — bo jakoś wszyscy nabrali wody w usta i jakby zapomnieli o nazwiskach ukaranych działaczy) ma ponieść karę zgodnie z kodeksem pracy;

— Prokurator w Legnicy oceni, czy działalność Zagłębia Lubin nie była sprzeczna z prawem, a jeśli, to na ile i kto ponosi za to winę?

„Tempo" opublikowało listę transferową. Zagłębie Lubin zgłosiło „do sprzedania" 6 zawodników. Był wśród nich Krzysztof Budka. Propozycja, czyli cena wywoławcza: 15 milionów plus drugie tyle dla PZPN, razem 30 milionów złotych. Jest to najdroższa propozycja. Nie wszystkie kluby podają jednak „ceny wywoławcze", niektóre poprzestają na wiele mówiących stwierdzeniach: *„do uzgodnienia"*.

Czy w tych warunkach może być jakakolwiek nadzieja na powodzenie działań uzdrawiających?

A przecież nie można z nich zrezygnować.

Obradowało niedawno Walne Zgromadzenie PZPN. Warto zwrócić uwagę, że

PUNKT WIDZENIA WŁADZ PZPN

zbieżny jest z punktem widzenia zaniepokojonych sytuacją w polskiej piłce nożnej działaczy, kibiców, dziennikarzy. Prezes Zbigniew Jabłoński powiedział między innymi:

„Trzeba jednak zdobyć się na brutalną szczerość — nie mamy aktualnie żadnych absolutnie liczących się osiągnięć sportowych. Meksyk — mimo wyjścia z grupy — był falstartem i antypropagandą piłki nożnej. Efekt finansowy nie może przysłonić żenujących widowisk w wykonaniu najsilniejszego w tym okresie składu reprezentacji polskiej. Nie udała się także trenerowi Wojciechowi Łazarkowi (...) reanimacja jej do przebrnięcia eliminacji mistrzostw Europy. Mglisty jest przy tym kształt reprezentacji na mistrzostwa świata, którą — zgodnie z perspektywicznym celem — winien Wojciech Łazarek sukcesywnie budować. W 1990 r. chcemy gościć na boiskach Italii".

Zdaniem niektórych fachowców Wojciech Łazarek nie powinien budować żadnej reprezentacji, a jedynie powoływać do gry najlepszych piłkarzy. Pytanie tylko, skąd ich wziąć, jeśli nasi piłkarze są po prostu źle wyszkoleni i wcale nie mają przekonania, że ich sukcesy zależą od ich umiejętności. Ale to trochę inna sprawa, choć jej źródła są takie same.

Prezes Zbigniew Jabłoński wezwał delegatów, aby oderwali się od swoich partykularnych interesów i spojrzeli na problemy piłki nożnej jako na całość. Przedstawił im pod dyskusję wyniki swoich rozmów z działaczami, które układają się w zestaw przyczyn kryzysu w polskiej piłce nożnej.

1. — Zapożyczono z piłkarstwa zawodowego najgorsze wzorce, co rodzi wiele nieprawidłowości.
2. — Wyprowadza się z kontrolowanego obiegu społeczne pieniądze, co na ogół nazywa się posiadaniem „lewych kas".
3. — Piłkarze uzyskali połowiczny status zawodowca. To znaczy, że mają z tej racji wysokie dochody, ale nie mają obowiązków zawodowców. Trzeba ich pilnować jak dzieci.
4. — W kontaktach między klubami rządzą „wilcze prawa".
5. — Nastąpił upadek zasad moralnych trenerów, co rodzi gwałtowny spadek ich wpływów wychowawczych.
6. — Wystąpiło zjawisko demoralizacji sędziów piłkarskich i działaczy, a na dodatek proces ten postępuje.

„W takiej sytuacji — powiedział Zbigniew Jabłoński — *trudno mówić o przemyślanej koncepcji szkoleniowej, wizji piłkarstwa w perspektywie najbliższych lat i możliwości wdrożenia założeń już funkcjonujących rozwiązań. Dominuje „bylejakość", przeciętność i fuszerka. W tym obszarze trzeba przede wszystkim szukać praźródeł naszych niepowodzeń, „odstawania" od tendencji światowego piłkarstwa i przyczyn procesu staczania się do grupy państw o smętnym, wręcz pańszczyźnianym futbolu"*.

Mogłoby się wydawać, że tak gorzkie i ostre słowa skłoniły delegatów do zastanowienia, porzucenia punktu widzenia lokalnego i wzniesienia się ponad przeciętność. Ale tak mogło się tylko wydawać. Delegaci na Walne Zgromadzenie PZPN zatwierdzili na przykład w składzie jednej z komisji działacza, który już przeszedł do innego, ponoć lepszego świata, gdzie być może aniołowie grają w piłkę nożną tylko gwoli przyjemności. Tak bardzo delegatów obchodziło to, co robią. A byli i tacy krytykowani, którzy zasłaniali się przed krytycznymi argumentami... długim stażem partyjnym.

W zasadzie dobrze wiemy, jakie są skutki i objawy kryzysu w polskiej piłce nożnej. Gorzej jest z przyczynami i sposobami ich usuwania. Cóż z tego, że działacze PZPN mają dobrą wolę, że w kwietniu 1985 roku przyjęto bardzo dobrą uchwałę, że coś z niej zrealizowano, kiedy nadal kryzys trwa i nic nie wskazuje, żeby miał się skończyć. Ostatnie posunięcia PZPN zapowiadają dopiero radykalne działania, ale jeszcze nimi nie są.

W piłce nożnej decydują pieniądze. Zgoda. Ale te pieniądze wydaje się bez żadnych zasad i reguł. Na przykład: jaka jest zależność między liczbą widzów na stadionie a wysokością premii za wygrany mecz? A powinna być, jeśli piłkarze mają grać, jeśli to ma być widowisko, a nie markowanie gry, bo tę już rozstrzygnięto „z ręki do ręki". Jaka jest zależność między poziomem wyszkolenia piłkarza a jego zarobkami? Wielką sensacją była ostatnio dyskwalifikacja Dariusza Dziekanowskiego w Legii za *„niesportowy tryb życia i naruszenie zasad współżycia społecznego w stosunku do kadry szkoleniowej i zawodników"*. A czyż wcześniej nie pisano, że ów szum, jaki Legia robiła wokół tego zawodnika jest nieuzasadniony, jak nieuzasadnione były również jego awanse do kadry narodowej? Zrobiono krzywdę obiecującemu piłkarzowi. I co? Winny teraz jest tylko on sam?

Jaka jest zależność zarobków piłkarzy i trenerów od rodzaju ligi, od pozycji w lidze, od klasy klubu? Przecież najbardziej opłaca się średniactwo. Przecież o pozycji klubu decyduje nie klasa piłkarzy, ale pozycja opiekuna, wysokość jego konta w banku, z którego może finansować podopieczny klub.

To nie są wszystkie pytania, ale też i nie moją rolą jest je wszystkie stawiać.

Co zatem robić?

Jacek Machciński, trener chorzowskiego Ruchu, doszedł do — wydawałoby się — absurdalnego wniosku:

„...jedyny ratunek widzę w rozwiązaniu ligowych rozgrywek na co najmniej pięć lat. Wszystkich którzy się nadają sprzedałbym za granicę. Postawiłbym na nowych, młodych piłkarzy. Zorganizowałbym wyłącznie pucharowe rozgrywki — lepszy wygrywa i cześć".

To się tak pięknie mówi. Ale czy to byłoby możliwe? I czy to by coś dało? A może to rzeczywiście jedyny racjonalny sposób? Tylko, co przez ten czas będą robić te tysiące działaczy? Oni na to nigdy nie pójdą!

Wręcz nieprawdopodobne, ale Szwajcaria była kiedyś biedna. Dziś jest to kraj paradoksów. Z natury ubogi, ale ludność jest zamożna. Szwajcarzy są pracowici i niemal do przesady oszczędni, w godzinach pracy — ulice puste.

Skąd wzięli się zamożni Szwajcarzy?

JAN BĄBIŃSKI

1.

Ceny żywności podskoczyły nad Lemanem niebywale. Na bochenek chleba tyrano/w manufakturach cały boży dzionek. Nawet car Aleksander I *„powodowany wielką szlachetnością serca"* przesłał głodującym w darze sto tysięcy rubli. Odczuwał podziw do tego małego i dzielnego narodu. Jego wychowawcą był zresztą Szwajcar — La Harpe. Cóż szkodziło poza tym przypiąć sobie do zwycięskiego nad Napoleonem wawrzynu jeszcze listek wielkodusznej filantropii.

Przyszedł mi na myśl car petersburski, gdy snułem się po rozległym skansenie w Ballenberg pod Interlaken.

Bieda w Szwajcarii? Przestronne wiejskie zagrody, jakie miałem przed oczami o wszystkim świadczyły, tylko nie o biedzie. Każdego wprawiłby w podziw kilkupiętrowy dom gospodarza z Osterminden o salonach jak u krêsowych magnatów. Dom postawiono w XVIII wieku, jak te inne z Detlingen, Richtersvill czy Usslingen. Parokondygnacyjne to domostwa, obwiedzione werandami, zgrabne i strzeliste, o szerokim misternie rzeźbionym okapie.

C'łopi w nich mieszk'i?

Tak właśnie, ci od bydła, owiec, serów i świeżego masła. Cóż to byli więc za ludzie, że przetrwawszy tyle klęsk nieurodzaju, dość potem mieli jeszcze sił i środków, żeby porwać się na budowę tak zachwycających siedzib? Żaden chłop nigdy w Polsce tak nie mieszkał. Daleko też było niezmiernie do tych okazałych zabudowań mizernym dworkom szlacheckim na Mazowszu czy Podlasiu.

Wszakże skrzętni kronikarze chodzili po ziemi. Johannes Mueller zanotował w dzienniku podróży z połowy XVIII wieku.

„Widok nie biedy, ale już nędzy uderza w tym kraju wszędzie. Spotyka się ludzi odzianych w łachmany, ledwo powłóczących nogami. Domy ich przypominają bardziej siedliska dla dzikich zwierząt niźli dla ludzi, takie to nory".

Nędza w Szwajcarii? Bzdura. Nie, to żadne bajeczki. Z pożółkłych dokumentów można wyczytać czarno na białym, ile kto w Szwajcarii zarabiał w 1820 r.

Robotnik — 12 franków, pielęgniarka — 7.5, krawiec — 15, nauczyciel — 49, pocztmistrz — 70, profesor — 120.

To miesięczne zarobki, a teraz ceny z tegoż 1820 roku.

Kg miodu — 2 franki, litr mleka — 0,10, kg chleba — 0,35, kg masła — 1,50, kg wieprzowiny — 0,60, kg cukru — 3,60, para trzewików — 5, garnitur — 50, miesięczny czynsz za jeden pokój — 3 franki.

2.

Błądzę po skansenie w Ballenberg i coś mi się nie zgadza. Skoro zarabiano wtedy głodowe grosze, skąd wobec tego tak bogate domostwa chłopów i rzemieślników? A może właśnie dlatego. A i budulec musiał być tani niezwykle. Oto wysoki na cztery piętra dom z Villnachen. Obciosany kamień. Belkowanie w rzeźbach Ściany w kolorowych malowidłach. I ten kształt. Dom jakby stworzony na letnią rezydencję genewskiego bankiera A mieszkał w nim wiejski bednarz.

Jakim by więc trzeba się posłużyć miernikiem, by w miarę rzetelnie określić poziom życia tego czy innego narodu? Do jakiej skali przystawić jakość życia?

Każde zjawisko ekonomiczne niesie ze sobą opinie różne, biorące się z krańcowo odmiennych punktów widzenia. Uwzględnienie wyłącznie dochodu narodowego prowadzić może do zbyt pochopnych, jeśli nie całkowicie błędnych wniosków. W Szwajcarii roczny dochód narodowy na mieszkańca sięga już 17 000 dolarów. Pomi..ąwszy naftowe emiraty arabskie, jest to dochód w świecie najwyższy. Tylko, że bardzo nierówno jest porozdzielany.

Statystyka mówi wszystko w odniesieniu do wszystkich. Nie mówi niczego w odniesieniu do jednostki.

W Szwajcarii naliczono 40 000 multimilionerów. A ilu jest ledwo wiążących koniec z końcem?

Może należałoby brać inne też pod uwagę czynniki niż dochód narodowy przy ocenie jakości życia? A ilość gwałtów w tym czy innym kraju, ilość kradzieży, morderstw i wypadków samochodowych. Zresztą jakość życia również od tego zależy, jak się mieszka, gdzie i w jakich warunkach się pracuje. Jeszcze opieka lekarska, sprawność komunikacji, dostępność do kin i teatrów, długo by mówić. Nie wszystko jest wypadkową dochodu narodowego.

Co więc rozstrzyga o poziomie i jakości życia?

Szwajcar niewiele wydaje na odzież i stosunkowo mało wydaje na żywność. O wiele więcej dziewcząt spaceruje w kożuszkach w Łodzi i Warszawie niż w Zurychu czy Bernie. Przebywałem w różnych domach szwajcarskich. Nigdzie nie zauważyłem, by ktokolwiek kładł ser na masło bądź masło na ser. Jak jedno, to nie drugie. I nigdzie nie widywałem polędwicy na stołach. Kilogram polędwicy kosztuje prawie 40 franków Dwie dobre koszule można za to kupić, albo dwa niezłe kalkulatorki.

3.

Na wszystkim sknerzy się tu i skąpi z wyjątkiem jedynie mieszkania. Ideałem jest własny domek z trawnikiem od przodu i *miniogródkiem* od tyłu. Po tym, jak kto mieszka i gdzie mieszka ocenia się, jak komu leci i jak zarobionym groszem gospodarzy. Ogromne kwoty łoży się w kantonach, i niebywale wysokich zresztą podatków, na wszystko, co się określa spożyciem zbiorowym. Jakie oni tu mają autostrady na niebotycznych zgoła wysokościach. I wciąż nowe przebija się przez skały. Jakie szkoły, jakie szpitale, pociągi i ogrody. Poczta w Lozannie przypomina królewskie pałace nad Loarą.

Przez miesiąc dojeżdżałem z l'a Sallaz do śródmieścia Lozanny na plac St. Francois. Na każdym przystanku wisi pod szkłem rozkład jazdy i kolorowy plan wszystkich linii. Dla sportu poniekąd rzucałem okiem na zegarek, by choć raz przyłapać jakiś trolejbus na spóźnieniu. Daremnie. Za każdym razem nadjeżdżał z minutową dokładnością. Tym bardziej to zdumiewało, że trasa wiodła po sporych pochyłościach, w górę i w dół, po ostrych zakrętach, wąskimi uliczkami i w niebywałym stłoczeniu.

Pędziłem ze znajomym autostradą do Berna. Raptem, tuż nad jeziorem de la Gruyere, z rury wydechowej jęły dobywać się kłęby białej pary. Znajomy zjechał na trzeci awaryjny pas. Podciągnął wolno wóz pod słup z umocowaną doń skrzyneczką, opatrzoną numerem własnym i telefonem. Ujął słuchawkę, podał numer skrzynki i markę swego wozu. Po piętnastu minutach nadjechała furgonetka, słowem warsztat na kółkach. Wysiadł z niej mechanik, wymienił nieszczelny przewód w chłodnicy. Można jechać, szczęśliwej drogi.

4.

— Nie wiem, skąd ludzie biorą tyle pieniędzy — zwierza się Brigitte, gospodyni domowa z Chailly. — *Mąż zarabia nieźle 3800 franków miesięcznie, mam jednak dwoje dzieci na utrzymaniu i na żadne luksusy mnie nie stać. A inni na wszystko sobie pozwalają. Bawią się, kupują magnetowidy, komputery domowe, zakładają drogie anteny do odbioru programu satelitarnego i jeżdżą jeszcze po świecie. Sama się zastanawiam, jak oni to robią.*

Brigitte przedstawiła następujący zestaw jej miesięcznych wydatków: Mieszkanie 950 franków, elektryczność — 35, telefon, radio, telewizja — 75, podatki — 725, Kasa Chorych — 190, ubezpieczenie — 60, żywność — 790, lekarstwa i dentysta — 90, auto — 490, kosmetyki i alkohol — 190. Razem 3595 franków.

Dodam od siebie, że rodzina nie jest typowa. Ma dwoje dzieci, a to w Szwajcarii należy do rzadkości. Na ogół małżeństwa poprzestają na jednym dziecku. Przyrost naturalny praktycznie nie istnieje. Od kilku już pokoleń jest stabilizacja ludności. Na dwoje dzieci porywa się mało kto. Co innego w Polsce, gdzie im kto biedniejszy, tym więcej funduje sobie bachorów. Niech państwo się martwi. Od tego jest.

Przeciętny zarobek mężczyzny wynosi średnio 3,7 tysiąca franków miesięcznie. Kobiety zarabiają o jedną trzecią mniej. Trudno by się było doszukać rodziny bez własnego konta w banku.

Oto stan oszczędnościowych wkładów (1985 r.) w przeliczeniu na jednego mieszkańca w bardziej zamożnych krajach tego świata.

Japonia	— 900 dolarów
RFN	— 7300 dolarów
Austria	— 5900 dolarów
USA	— 5400 dolarów
Norwegia	— 5300 dolarów
Szwajcaria	— 14500 dolarów

No i kto jest na wierzchu? Oczywiście, Szwajcarzy, jakże inaczej. W zasobach gotówkowych nikt im nie dorównuje. Zostawili daleko w tyle wszystkie gospodarcze potęgi. Szwajcar ma w banku niemal 3 razy tyle, co dumny Amerykanin. Tak. Małe jest najlepsze. Wszystko co wielkie, jest dziełem małych narodów, wołał już Disraeli. Skrzętne krasnoludki z Zurychu pobiły goliatów na głowę. Nie ten ma, co dużo zarabia, ale ten, co mało wydaje.

5.

Mimo wszystko dziwne to i niepojęte. Zdawać by się wszak mogło, że najpotężniejsze moce nieba i ziemi przeciw Helwetom się sprzysięgły. Kraj z natury jest ubogi. Jedynym jego surowcem są zwały śniegu w Alpach. Cały handel przechodzi obcymi portami za słoną opłatą. Jedna czwarta powierzchni — to skały i lodowce. Jedna czwarta — to gęste lasy. Jedna czwarta — to górskie połoniny. Dopiero ostatnia ćwiartka nadaje się pod pług i uprawy. Dość, że blisko połowę żywności trzeba importować.

Jeszcze i to, że Szwajcarzy nie są narodem jednolitym. To konfederacja plemion, mówiących czterema różnymi językami. Do tego podziały religijne na protestantów i katolików. Jeszcze rozbicie na kantony, rządzące się jak udzielne księstwa. Wszystko więc jakby jedność i zwartość państwa podkopywało. Jednak, o dziwo, kraj funkcjonuje jak szwajcarski właśnie zegarek.

Jakim więc niepojętym zbiegiem okoliczności ten mały i z niejednego stopu odlany kraj wybił się na pierwsze miejsce w świecie w obrocie złotem i dewizami? Pierwsze też dzierży miejsce w międzynarodowym systemie towarzystw ubezpieczeniowych. Trzecie zajmuje miejsce jako potęga finansowa i jedenaste jako potęga przemysłowa. Prócz tego jest siedzibą najpotężniejszego w świecie przemysłu spożywczego. Dość wspomnieć chociażby o koncernie „Nestle" z Vevey nad Lemanem.

Nędza w Szwajcarii? Źle się dzieje w państwie, bo „clodosi" nic nie robią, tylko wałęsają się po ulicach, lub śpią odurzeni tanim winem na parkowych ławkach? Lepiej już bez tanich, głupich i powierzchownych uogólnień. Bezrobotni są, a jakże, lecz nie przekraczają 0,7 procenta ogółu zatrudnionych. Zresztą nie po jednym listku ocenia się drzewo. Kiedyś... no tak, kiedyś to było kiedyś. Nie bez powodu Kajetan Koźmian pisał w połowie XIX wieku.

„Helweci są wolnymi, bo
darem natury
cnót ich strzeże ubóstwo,
granic bronią góry".

Była kiedyś nędza w Szwajcarii. Była na pewno. Stąd wielka emigracja z wiosek wysokogórskich zwłaszcza, gdzie bieda aż piszczała. Iluż było chociażby na polskich dworach Szwajcarów wynajmujących się jako szwajcarzy właśnie. Było, przeszło, odwróciło się. Dziś Polacy są w Szwajcarii za szwajcarów. Tak po prawdzie Polska nigdy bogactwem nie grzeszyła. Czesi ochrzcili nas przed tysiącem lat. Już wówczas poziomem życia wyraźnie nas wyprzedzali. Tysiąc lat gonimy pobratymców i dogonić nie potrafimy. Wciąż są przed nami o dobrych kilka długości.

Są na tym kontynencie narody od stuleci pogrążone w niedostatku. Są inne, od wieków, pławiące się w zamożności.

Czym to zjawisko wytłumaczyć? Wrodzoną niemocą? Przekleństwem genów? Opacznym skrętem spiralek w mózgu? Igraszkami Opatrzności? Dlaczego bez względu na ustrój, królów, dyktatorów, rewolucjonistów i takich czy innych prezydentów Francuzi zawsze byli bogaci? I są bogaci. Czemu Anglikom wiatr nigdy w oczy nie dmuchał, a dziś mimo utraty imperium, dobili się na mieszkańca 11 000 dolarów dochodu narodowego w roku? A obok, przez miedzę, bieda przyginała Irlandczyków do ziemi. I wciąż przygina jak Polaków.

6.

Nad jeziorem lemańskim rozciągają się na zboczach tarasowate winnice. Przyjrzyjmy się domostwom wtulonym w zieleń niskich krzewin. Te ukwiecone zabudowania, o wyglądzie feudalnych zamków, mogą wprawić w osłupienie. Każdy u nas konserwator wojewódzki położyłby grube pieczęcie na tych rezydencjach i ogłosił bez zwłoki, że wszystkie są dziełem sztuki architektonicznej lotu najwyższego. A to zwykli winiarze mieszkają w tych domostwach.

Otóż Szwajcar rodzi się niejako ze skarbem w kołysce. Dziedziczy po ojcach i dziadach. Za każdą kołyską stoi dorobek wielu generacji. Po zgonie ojca przejmuje się zwykle śliczny dom w ogrodzie, po dziadku nieraz wkłady i papiery wartościowe zdeponowane w jednym z tysięcy granitowych banków z XIX jeszcze wieku. I każdy coś do tego skarbu dorzuca. Musi. Taki jest nacisk otoczenia.

Pracuj i odkładaj, to kalwińskie zawołanie zakorzeniło się głęboko w narodowym charakterze protestanckich przeważnie Helwetów. Boże, jakie to sknery, kutwy, skąpiradła i dusigrosze. Prawdziwe Harpagony. Ale już do żadnego cara ręki po jałmużnę nie wyciągają. Stoją mocno na własnych nogach. Nawet przed budką z lodami pięć razy obrócą te swoje franki, nim wydadzą choć jednego. Oszczędni może aż do przesady. Ale jacy bogaci.

Można rozwodzić się o latach głodu i nieurodzaju. Można ubolewać nad losem Szwajcarów w tych dawnych wiekach. Można, lecz u większości Helwetów ten mieszek nigdy pusty nie był. Pewnie, że i statystykę daje się przekształcić w zbitkę oszukańczych zwierciadeł. Przy ich pomocy zręczny iluzjonista ukryje niejedno, jak sprytny przemytnik w walizce o podwójnym dnie. Sprzeczności jednak między tym, co głoszą dane urzędowe, a tym co się widzi w szwajcarskich domach, nie ma żadnej.

W szwajcarskich miastach cicho przed południem pusto i spokojnie jak na wiejskim cmentarzu. Naród pracuje. ■

Nepal

WŁODZIMIERZ KORPĘCKI

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Najpierw było atelier przy Nowym Rynku

Minęło już 125 lat od chwili otwarcia pierwszego zakładu fotograficznego w Łodzi. Do lat sześćdziesiątych XIX wieku fotografia w mieście, podobnie jak w całym kraju, była jeszcze mało rozpowszechniona.

Ówcześni fotografowie byli ludźmi o znacznej inteligencji, biorącymi często czynny udział w życiu społecznym oraz w walce z caratem. Do takich właśnie należał pierwszy fotograf łódzki Józef Zajączkowski.

Urodził się w Krakowie w 1817 roku. Od lat młodzieńczych interesował się malarstwem i rysunkiem, a zwłaszcza sztuką portretowania. Zainteresowania zawiodły go do Warszawy, do sławnego zakładu fotograficznego Karola Beyera, gdzie wyuczył się zawodu fotografa. Po odbyciu praktyki w 1858 roku osiedlił się w Zgierzu i tu wsparty finansowo przez przyjaciół otworzył atelier fotograficzne. W trzy lata później Józef Zajączkowski przeniósł się do Łodzi.

Atelier fotograficzne początkowo mieściło się przy Nowym Rynku 8 (plac Wolności), później zaś zostało przeniesione na ulicę Konstantynowską 3/5 (Obrońców Stalingradu). Zdjęcia portretowe Józef Zajączkowski wykonywał w specjalnej altanie, znajdującej się na zapleczu pracowni fotograficznej, posiadającej przeszkloną jedną ścianę i część dachu. Ta oszklona część atelier miała dopływ światła regulowany zasłonami, rozsuwanymi lub zasuwanymi w zależności od pory fotografowania i pogody. Wymagało to dużego doświadczenia zawodowego fotografa. Pracownia Zajączkowskiego stała się obiektem żywego zainteresowania łodzian. Klientela była spora: fabrykanci, kupcy, okoliczni ziemianie.

Józef Zajączkowski, zaangażowany w ruchu wyzwoleńczym, pod koniec 1862 roku objął trudną i odpowiedzialną funkcję narodowego naczelnika Łodzi. Pracownia jego, położona dogodnie w środku miasta, stała się odtąd miejscem narad kierownictwa łódzkiej organizacji powstańczej.

W sierpniu 1863 roku Józef Zajączkowski zmuszony był do opuszczenia Łodzi. Zagrożony aresztowaniem za udział w powstaniu, uszedł za kordon graniczny do rodzinnego Krakowa, gdzie nadal trudnił się swoim zawodem. Po wielu latach pierwszy fotograf łódzki spisał swoje wspomnienia z pobytu w Łodzi. Ukazały się one w zbiorze pamiętników z czasów powstania styczniowego, opracowanym przez S. Kieniewicza pod tytułem: „Spiskowcy i partyzanci".

W połowie 1863 roku powstał w Łodzi następny zakład fotograficzny, założony przez Dominika Zonera. Mieścił się, podobnie jak atelier Józefa Zajączkowskiego, przy ulicy Konstantynowskiej 3/5. Zbieżność adresów rodzi przypuszczenie, że Zoner przejął pracownię Zajączkowskiego po ucieczce jego z Łodzi.

Dominik Zoner przybył do miasta z paszportem austriackim, wydanym we Lwowie. Miał on za sobą długoletnią praktykę, gdyż uprawianie zawodu fotografa rozpoczął już w 1844 roku w Krakowie. Prawdopodobnie było ojcem późniejszego łódzkiego drukarza i wydawcy Leopolda Zonera. W zawodzie swym pozostał do 1872 roku.

Z anonsu zamieszczonego w najstarszej gazecie Łodzi — „Łódzkich Ogłoszeniach" z 1864 roku wynika, że w owym czasie działał tu jeszcze jeden fotograf, Ewald Wunderlich, mający pracownię przy ulicy Piotrkowskiej 240.

W latach siedemdziesiątych XIX wieku Łódź posiadała już kilka zakładów fotograficznych, przy czym niektóre z nich zajmowały się również fotografią artystyczną. Wymienić tu można atelier Eliasza Sztumana otwarte w 1817 roku przy ulicy Piotrkowskiej 24 oraz zakład Edwarda Mariana Dietricha przy ulicy Dzielnej 13 (Narutowicza). Dietrich był bratem łódzkiego litografa i drukarza Maurycego Dietricha; zakład swój prowadził do 1897 roku.

Wybitną postacią wśród łódzkich fotografów był Bronisław Wilkoszewski. W 1886 roku otworzył on pracownię fotograficzną w willi „Trianon" przy Pasażu Meyera 5 (Moniuszki). Ogłaszając się w miejscowej prasie, pisał o swoim zakładzie: *„Urządzony elegancko i według najnowszych wymagań sztuki fotograficznej. Zdjęcia wykonywa sposobem momentalnym. Przyjmuje zamówienia na portrety olejne podług fotografii, gwarantując dobre wykończenie i podobieństwo. Ceny umiarkowane".*

W 1896 roku Bronisław Wilkoszewski wydał ozdobny album pod tytułem „Widoki miasta Łodzi", zawierający 39 artystycznych fotogramów. Album ten, stanowiący dzisiaj cenny dokument, obrazujący Łódź z końca XIX wieku, ukazał się w nakładzie 2500 egzemplarzy i był do nabycia we wszystkich księgarniach łódzkich.

Bronisław Wilkoszewski brał żywy udział w organizowaniu życia kulturalnego w ówczesnej Łodzi. Udostępniał swój lokal w willi „Trianon" dla wszelkich imprez artystycznych. Był również jednym z założycieli wielce zasłużonego dla rozwoju kultury polskiej w Łodzi stowarzyszenia śpiewaczego „Lutnia".

W 1903 roku Bronisław Wilkoszewski przeniósł swoją pracownię na ulicę Dzielną 13 (Narutowicza), do lokalu dogodniej położonego, zajmowanego niegdyś przez nieżyjącego już fotografa Edwarda Dietricha.

Do grona wybitniejszych fotografów w Łodzi zaliczał się Stanisław Piotrowicz, prowadzący zakład początkowo przy Nowym Rynku 6 (plac Wolności), a następnie przy ulicy Piotrkowskiej 103. Prawdopodobnie był on synem Marii i Konstantego Piotrowiczów, bohaterskich uczestników bitwy pod Dobrą w 1863 roku. Sporą klientelą cieszyło się również atelier *„nadwornego fotografa"* Jana Tyraspolskiego, mieszczące się przy ulicy Piotrkowskiej 76.

W 1897 roku Łódź posiadała już osiem zakładów fotograficznych.

Zaopatrzeniem w sprzęt i materiały fotograficzne zajmowały się w Łodzi dwie firmy: Franciszka Postleba przy ulicy Piotrkowskiej 71 oraz Alfreda Pippla przy ulicy Nawrot 2.

W 1904 roku urządzono w miejscowym Salonie Artystycznym pierwszą wystawę fotograficzną w Łodzi, na której zgromadzono pokaźną liczbę 150 fotogramów. Wystawa uzyskała przychylną ocenę miejscowej prasy. Odwiedzali ją tłumnie łodzianie, jak również goście z Warszawy i całego kraju. Następne wystawy fotograficzne odbyły się w latach 1906 i 1916. Pierwsza, urządzona przez jedną z miejscowych gazet, miała charakter amatorski, druga zaś zawdzięczała swe istnienie staraniom zasłużonych miłośników fotografii, inżynierów Edwarda Wagnera i Michała Daszewskiego.

Fotografią amatorską zajmowało się w Łodzi spore grono osób, a jednym z pierwszych fotografów-amatorów był wybitny przemysłowiec łódzki Henryk Grohman. Działali oni wszakże w rozproszeniu. Dopiero pod koniec 1916 roku zrzeszyli się, zakładając Łódzki Klub Miłośników Fotografii. Znalazło się w nim około 60 fotografów, zarówno amatorów jak i zawodowców.

WACŁAW PAWLAK

Łapanka na Wodnym Rynku

Powszechnie utarło się mniemanie, iż łapanki w latach 1939—45 pojawiły się po raz pierwszy w Generalnej Guberni. Wydaje się jednak, że taki pogląd jest błędny. Zjawisko to wystąpiło chyba wcześniej na obszarach wcielonych do Reichu, m.in. w Łodzi.

9 listopada 1939 r. Łódź i większa część województwa łódzkiego zostały wcielone do Kraju Warty (do Reichu). Na terenie tym okupant wydał narodowi polskiemu śmiertelny wyrok.

W końcu 1939 r. wydano dekret, który pozbawił Polaków możliwości zajmowania samodzielnych stanowisk w przemyśle, handlu, rzemiośle oraz wykonywania urzędniczych i wolnych zawodów. Polacy nie mieli prawa wyboru rodzaju pracy, a obowiązywało ich tylko wykonywanie wskazanych czynności. W rezultacie przeprowadzono zwolnienia z pracy Polaków, dając w ten sposób określoną „satysfakcję" miejscowym i przybywającym Niemcom. Z drugiej strony rozporządzenie szefa Zarządu Cywilnego 10.10.1939 r., zabraniało Polakom opuszczania dotychczasowych miejsc pracy oraz ustaliło wysokość wynagrodzenia dla polskich robotników.

W rezultacie tego wielu Polaków z własnej inicjatywy opuściło Łódź, przenosząc się do Generalnej Guberni, głównie do Warszawy, i miast i miasteczek położonych w pobliżu linii demarkacyjnej (Piotrków, Głowno, Tomaszów itd.), aby w nowych warunkach ułożyć sobie życie. Natomiast ci, którzy zostali na miejscu, starali się dostosować do zachodzących zmian, nowych układów i znaleźć rozmaitego rodzaju źródła zarobkowania.

Znany wszystkim łodzianom Wodny Rynek, obecnie plac Zwycięstwa, w okresie II Rzeczypospolitej był placem targowym, gdzie we wtorki i piątki odbywały się targi. W pierwszych miesiącach 1940 r., zaroił się handlującym tłumem o rozmaitej prominencji, głównie Polakami. Żydzi w tym czasie zostali już odosobnieni w getcie, zlokalizowanym w północnej części miasta. Handlarze trzymali swój towar bądź na ręku, bądź przewieszali przez plecy, dreptali w miejscu lub przesuwali się wolno po „kocich łbach" placu targowego. Przez pewien czas Niemcy tolerowali taki stan rzeczy. W połowie grudnia 1939 r., wprowadzono na całym obszarze ziem włączonych do Rzeszy obowiązujące w Niemczech przepisy o obrocie towarowym. Na ich podstawie handel objęty został reglamentacją, a aparat handlowy poddany ścisłemu nadzorowi.

Uderzenie przyszło któregoś wczesnowiosennego dnia 1940 r. i miało na celu „zwerbowanie" sił roboczych na wyjazd do Niemiec. Dzień był pogodny, słoneczny. Wodny Rynek wypełniony był tłumem handlujących. W tym dniu miałem spotkanie na skrzyżowaniu ulic Targowej i Głównej (obecnie Adama Mickiewicza) z szefem Oddziału V Komendy Okręgu — Łódź, Związku Walki Zbrojnej (Armii Krajowej) por. inż. Franciszkiem Moczkowskim — „Gruchacz".

Por. Franciszek Moczkowski przyszedł na miejsce spotkania wcześniej i obserwował panujący ruch na rynku. Jak wynika z jego opowiadania czekał na mnie na chodniku po stronie skweru w pobliżu umówionego skrzyżowania. W pewnej chwili, po przeciwnej stronie chodnika, na rógu Głównej i Targowej spostrzegł zielony mundur starszego wachmistrza niemieckiej policji. Początkowo stał on spokojnie i od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Teraz Franek skupił uwagę na tej postaci, która jakby się ożywiła, gdy zajechał samochód półciężarowy, całkowicie osłonięty plandekami, zasłaniający pole widzenia.

Niespodziewanie w gwar targowy wmieszała się, płynąca z dala wojskowa melodia. Ulicą Targową od strony ul. Nawrot maszerował oddział policji z karabinami i wesołym śpiewem. Policmajster wyciągnął w tym kierunku szyję, spojrzał na zegarek, szybko pobiegł w poprzek skrzyżowania do stojącej półciężarówki i uchylając klapę plandeki krzyknął: — Los! W tym momencie wyskoczyli z samochodu policjanci — volksdeutsche z formacji Selbstschutzu z karabinami w ręku. Jedni pobiegli w kierunku rynku, drudzy na chodniki, w celu zamknięcia skrzyżowania ul. Głównej i Targowej. Franciszek Moczkowski w ostatniej chwili wyrwał się z rąk chwytającego go policjanta.

W tym czasie tyraliera policji wyszła z bramy pałacu Karola Scheiblera, drugą z parku Źródliska i pomaszerowała w kierunku rynku, zagarniając po drodze napotkanych ludzi. Pierścień policji zamknął Wodny Rynek, bowiem od ul. Wodnej wkroczył również oddział policji.

Na rynku powstał okropny popłoch, ludzie rzucali towary, krzyczeli, poczuli się gonioną, objętą jakąś potworną obławą, zwierzyną. Część wpadła do domów familijnych Scheiblera i Grohmanna usytuowanych wzdłuż Wodnego Rynku, gdzie znajdowali schronienie lub też ukrywała się na własną rękę w rozmaitych zakamarkach.

Policjanci, od strony ul. Głównej rozciągnęli długą linę zagarniając schwytanch na placu. Kto był bardziej sprawny i podejmował ryzyko ucieczki, to przemknął się pod liną i biegiem oddalał się od miejsca łapanki — wielu to się udało. Była to pierwsza łapanka.

Tych, którzy mieli dokumenty potwierdzające zatrudnienie wywieziono poza obręb miasta i tam zostawiono (zwolniono). Musieli sami powracać do domu lub udawać się od razu do miejsca pracy, aby nie narazić się na przykre konsekwencje ze strony niemieckiego pracodawcy. Nie posiadam rozeznania, co stało się z wszystkimi zatrzymanymi — na pewno większość została wywieziona do Niemiec.

Franciszek Moczkowski został jeszcze raz zatrzymany przez wartownika stojącego przed siedzibą prezydenta policji (dawny pałac fabrykanta Kohna — obecnie wytwórnia filmowa), lecz po lakonicznym wyjaśnieniu powodów ucieczki, zwolniony. Ja natomiast, spóźniwszy się na spotkanie, obserwowałem wydarzenie z głębi ul. Głównej.

Ten sposób „werbowania" ludzi na roboty był często stosowany w latach 1940—42. Poza tym miejscem łapanek były ulice, dworce kolejowe, tramwaje, chwytano także ludzi stojących w kolejkach przed sklepami. Policja organizowała łapanki i rewidowała mieszkania Polaków, aresztując nie posiadających ustalonego miejsca pracy. Duże przygnębienie wywoływały łapanki przed kościołami przeznaczonymi dla Polaków (3 na terenie Łodzi) po skończonych nabożeństwach. Charakterystyczna i o dużym wymiarze była łapanka w Zgierzu, zorganizowana 10 listopada 1941 r.

JERZY JĘDRZEJEWSKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
25 czerwca — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16
29 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16
2 lipca — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16

Malkontenci twierdzą, że wprowadzamy drugi etap reformy, a nie zakończyliśmy jeszcze pierwszego. Sądząc z telefonów naszych Czytelników, niektóre instytucje poszły jeszcze dalej. Bo jak na przykład potraktować pomysł administratorów z ROM „Górniak 1", którzy polecili wszystkim właścicielom prywatnych sklepów i zakładów usługowych usytuowanych przy ul. Rzgowskiej na odcinku od placu Niepodległości do placu Władysława Reymonta, aby sprzątali chodniki i pół jezdni przed swoim zakładem? Pół biedy latem, kiedy wystarczy miotła. Gorzej zimą, kiedy przyjdzie również odśnieżać. Buntującym się na to zarządzenie właścicielom zaproponowano, że mogą nie sprzątać pod warunkiem, że będą płacić odpowiednie kwoty. Prywatni właściciele płacą za dzierżawę lokali, płacą również podatek miejski. Widać to jeszcze mało. Ale swoistej pikanterii dodaje fakt, że wszystkie kamienice, w których znajdują się „prywatni" mają swoich „gospodarzy domów". Co oni będą mieć do roboty pozostaje tajemnicą ROM „Górniak 1".

Wydawałoby się, że nic nas nie może zaskoczyć, a jednak. Zadzwoniła do nas fryzjerka (nazwisko i adres znane redakcji), która powiedziała nam o zarządzeniu SANEPID-u. Otóż paniom fryzjerkom nie wolno nosić innych fartuszków, jak tylko białych i to szczelnie zapiętych pod szyję! Za kolorowy fartuch będzie mandacik, w wysokości... 5000 zł. Nic z tego nie rozumiemy. Pielęgniarkom w szpitalach wolno nosić kolorowe mundurki, co ponoć wpływa nawet na lepsze samopoczucie chorych. U fryzjera będzie nastrój, jak w dawnych razurach. Proponujemy jeszcze obowiązkowe wywieszki: „Nie pluć na podłogę!".

Z bardziej ponurą już sprawą zgłosiła się do nas Czytelniczka, która ma nieszczęście sąsiadować z właścicielami dwóch dużych psów. Psy nie są wyprowadzane na spacery i wszelkie swoje potrzeby fizjologiczne załatwiają na balkonie, przyległym do balkonu naszej Czytelniczki. O skutkach szerzej chyba pisać nie trzeba. Sprawa ciągnie się już od dłuższego czasu, nie reaguje administracja domu. Ponieważ o tego typu przypadkach słyszymy już nie pierwszy raz, proponujemy, aby administracje domów przyjrzały się uważniej postępowaniu niektórych właścicieli psów. A może pole do popisu, miałby również SANEPID? Wszak chodzi o zachowanie czystości i higieny.

REDAKTOR DYŻURNY

Płyty

Wreszcie melomani, którzy dotąd byli sceptycznie nastawieni do odtwarzaczy laserowych, gdyż wybór płyt kompaktowych był niewielki, zaczynają rozglądać się za odpowiednimi urządzeniami. Powodem zmiany nastawienia do nowego nośnika dźwięku jest rosnąca liczba tytułów wydawanych w wersji „compact". Ukazały się m. in. długo oczekiwane płyty z nagraniami grupy The Beatles. Wytwórnia EMI wydała kilka miesięcy temu albumy „Please, Please Me", „With The Beatles", „A Hard Day's Night" i „Beatles For Sale". Zainteresowanie nimi było ogromne. W sklepach Tower Records i Virgin Megastore w Londynie pierwszą dostawę wykupiono w ciągu paru godzin, mimo iż komplet 4 płyt kosztował 40 funtów, a pojedyncze egzemplarze sprzedawano po 12 funtów. W kwietniu doszły 3 kolejne tytuły do listy płyt kompaktowych z muzyką zespołu The Beatles („Help", „Rubber Soul" i „Revolver").

Sądzę, że również u nas nagrania pamiętnej grupy The Beatles w wersji laserowej znalazłyby nabywców. Na razie jednak nieliczni posiadacze odtwarzaczy płyt kompaktowych mogą liczyć jedynie na sklepy „Pewexu", gdzie asortyment jest jeszcze niewielki oraz na prywatne sklepy muzyczne. W jednym z warszawskich tego typu punktów można za kilkaset złotych wypożyczyć płytę, ale pod warunkiem wpłacenia kaucji w wysokości 15.000 (!) złotych za każdy egzemplarz.

Na szczęście płyty tradycyjne (analogowe) wciąż są produkowane i chyba jeszcze nieprędko rozstaniemy się z nimi na dobre.

Nowością nr 1 w wielu krajach był jeszcze do niedawna zestaw premierowych piosenek Prince'a. Ciemnoskóry kompozytor, aranżer, producent i wykonawca każdą płytą udowadnia, że posiadł tajemnicę tworzenia dobrej muzyki. Chociaż jego ostatnie albumy, pod względem popularności, nie dorównują płycie „Purple Rain" (17 mln sprzedanych egzemplarzy), ich poziom artystyczny jest bez zastrzeżeń. Również najnowsze dzieło Prince'a, zatytułowane „Sign '0' The Times", spotkało się z bardzo przychylną opinią krytyków.

Utwory Prince'a mają w swoim repertuarze zarówno debiutanci (np. grupa The Bangles wykonywała piosenkę „Manic Monday"), jak i weterani muzyki rozrywkowej (pod pseudonimem Joey Coco pisał m. in. dla Kenny'ego Rogersa). Wykonawca zajmuje się też produkcją nagrań młodych piosenkarzy, którzy — jego zdaniem — prezentują ciekawe, a przede wszystkim oryginalne brzmienie. Pod koniec kwietnia aż osiem singli na liście „Hot Black" czasopisma „Billboard" miało związek z Prince'em. Pierwsze miejsce zajmowała autorska wersja kompozycji „Sign '0' The Times", a niedaleko za nią znajdowały się przeboje jego protegowanych, takich jak Jimmy Jam, Terry Lewis, Jesse Johnson i David Rivkin.

Prince udowodnił, że popularny wykonawca muzyki pop nie musi być marionetką w rękach menażerów i producentów nagrań, ale może świadomie kierować swoją karierą. Ostatnio pochłonięty jest kolejnym przedsięwzięciem. Za 10 mln dolarów powstaje w Minneapolis wielka „fabryka" muzyki. Obiekt nosi nazwę „Paisley Park" i mieści w sobie m. in. dwa nowoczesne studia nagrań, olbrzymią scenę do prób i wiele innych pomocy niezbędnych w pracy, zarówno muzykom, jak i ekipom filmowym. Jest tam także klimatyzowany sejf, przeznaczony na taśmy z ponad 300 piosenkami autora „Purpurowego deszczu". Prince, który jest pomysłodawcą kompleksu chce, aby „Paisley Park" wyrósł na najlepsze centrum produkcji audiowizualnej.

GRZEGORZ JACEK

Niezapomniany gawędziarz

Już w pierwszym numerze „Karuzeli" pod datą 9 stycznia 1957 wpisał się na listę autorów. Przez dwadzieścia trzy lata, do samej śmierci, obdarzał pismo fraszkami, bajkami, wierszami, aforyzmami, felietonami.

Bardzo ceniliśmy sobie jego twórczość, nie mniej — opowiadane à propos przypowieści, poprzedzane sakramentalnym „U nas, w Stanisławowie". Bo chociaż pan Horacy urodził się w sielankowych Monasterzyskach, gdzie kozy szczypały trawę na reprezentacyjnym placu, to miastem jego młodości był pobliski Stanisławów, znaczący gród w b. Galicji.

Jak w tyglu stopiły się tam trzy narodowości i trzy ścierały się z sobą kultury: polska, ukraińska i żydowska. Z tą ostatnią szczególnie blisko stykał się Horacy Safrin, potomek rabinackiego rodu. Toteż w jego uroczych opowiastkach najczęściej defilowały egzotyczne już dziś postacie z folkloru żydowskiego — w kapotach i jedwabnych surdutach, w ozdobionych frędzelkami talesach do modlitwy, w jarmułkach i lisich czapach. Cadycy — sprawiający cuda nad cudami, magidowie — wędrowni kaznodzieje, marszelicy — ministranci na rytualnych ślubach, szadcheni — zawodowi swaci, walnie przyczyniający się do tych ceremonii, melamedzi — nauczyciele w chederach, wpajający z pomocą trzcinki mądrości swym uczniom. Nie brakowało w tym barwnym korowodzie bohaterów i z innych części kraju — jak np. osławiony Herszel z Ostropola, Stańczyk chasydyzmu. Sporo dykteryjek wywodziło się z Chełma, zamieszkałego przez ponoć najgłupszych na świecie Żydów...

Kiedyś przy pół czarnej w „Honoratce", wiodąc dyskurs o Szekspirze, posprzeczali się dwaj łódzcy literaci. Jeden zwymyślał drugiego od najgorszych, suchej nitki na nim nie zostawił. Pan Horacy pokręcił z dezaprobatą głową.

— U nas, w Stanisławowie, żył mądry rabi, który obrazę bliźniego uważał za ciężki grzech. W każdym człowieku — jak twierdził — drzemią jakieś zalety. I oto ów mędrzec napotkał w święto Jom Kipur współwyznawcę objadającego się w najlepsze. „Chyba zapomniałeś o dzisiejszym poście?" — zapytał go. „Nie, nie zapomniałem". „To na pewno jesteś chory, choroba zaś zwalnia od obowiązku poszczenia". „Przeciwnie, jestem zdrów jak ryba". „Więc dlaczego łamiesz post?". „Bo mi się tak podoba!" — odparł zagadnięty nie przerywając jedzenia. Wówczas mądry rabi wzniósł oczy ku niebu: „Panie! Spójrz i przekonaj się jak prawdomówny jest Twój wybrany naród Izraela. Nawet grzesznik brzydzi się kłamstwem".

Ze wszystkich kpiarzy, wesołków, prześmiewców, jakich znałem, pan Horacy najbardziej mi przypomina Franca Fiszera. Tylko gdy terenem działalności legendarnego facecjonisty Warszawy była kawiarnia, Safrin swój „towar" rozprowadzał systemem obnośnym jak komiwojażer, krążąc od pokoju do pokoju po łódzkich redakcjach.

Często odwiadzał „Karuzelę". Zastał mnie przy układaniu krzyżówki. Biedziłem się nad określeniem hasła „abstrakcja".

— Ja wam to zaraz wyjaśnię, kolego Adamie. U nas, w Stanisławowie, mieliśmy szefa kompanii, feldfebla. Nie mogąc sobie poradzić z niemieckim, a komendy wówczas należało podawać w tym języku, musztrował nas takim volapükiem: „Teper, chłopci, marschieren Marsch-Zug! Liwa-prawa, kurwa-mama, liwa-prawa, kurwa-mama!" To rekruci rozumieli, natomiast ani rusz nie mogli pojąć co to takiego, Visierlinie. „To linia celownicza — tłumaczył po ukraińsku feldfebel — coś takiego, co jest, ale czego nie widać. Rozumiesz? — zwrócił się do hucuła-rekruta. Ten na to, że nie rozumie. „A czyś ty widział kiedyś pućkę u komara?" „Nie, nie widziałem, panie feldfebel". „A jak ty myślisz, czy komar ma pućkę?" Na co chłopek-roztropek: „Myślę, że ma, jak każdy samiec". „No właśnie! Ma, ale jej nie widać. Już teraz rozumiesz co to linia celownicza?". To samo, Ochocki, z abstrakcją. To coś, co istnieje, ale czego nie widać...

Zdarzało się inaczej. Safrin wchodził do mego pokoju, wylewnie ściskał mi oburącz dłonie (tak się zawsze witał) i prosił:

— Kolego Adamie, powiedzcie jakiś kawał, tak mi smutno na duszy...

Czy można się było nie zrewanżować za tyle „Stanisławowów" i „w moim rodzinnym mieście"? Po jakimś czasie sporo opowiedzianych mu dowcipów znalazłem w jego zbiorku „Przy szabasowych świecach". Absolutnie nie mam doń o to pretensji! Nie ja wymyśliłem owe witze, liczy się pomysł i tu chapeau bas przed uroczym gawędziarzem.

Jego szabasowe świece przyniosły mu największą sławę i największe nakłady Wydawnictwu Łódzkiemu. Pierwsze wydanie ukazało się w r. 1964 w ilości 10 tysięcy egzemplarzy, czwarty nakład miał już 80 tysięcy, a wydrukowany w r. 1982 Wieczór drugi „Szabasowych świec" — 200 tysięcy. Wydawnictwo postanowiło wznowić Wieczór pierwszy również w nakładzie 200 tysięcy.

Pan Horacy, ongiś pełen energii i żywotności, ostatnimi laty wiódł skromny tryb życia. Nie pił, nie palił, w kawiarniach nie bywał. Czasem wpadał do Klubu Dziennikarza na szklankę herbaty. Popołudnia i wieczory spędzał zazwyczaj w domu, zwłaszcza w późniejszych czasach, gdy wzrok mu się gwałtownie popsuł. Nie pomogły szkła cylindryczne — chodził niemal po omacku. Spacerując z ulubionym psem koło swego domu przewrócił się i kilka tygodni przeleżał w łóżku.

Na pierwszą naradę satyryków w r. 1948 razem wybraliśmy się do stolicy. Przydzielono nam wspólny pokój w hotelu „Sejmowym". Około północy, kiedy układałem się do snu, na korytarzu rozległ się tubalny głos Kazimierza Grusa:

— Hej, łodzianie! Do mnie! Zarządzam zbiórkę!

Chciałem pospieszyć na ten apel, ale pan Horacy chwycił mnie za rękę i przyłożył palec do ust.

— Ochocki, nie ruszajcie się stąd... Jemu chodzi o zbiórkę pieniędzy. On chce jeszcze pić! — przekręcił kontakt i w kalesonach przysiadł na mym posłaniu. — A propos pijaństwa... U nas w Stanisławowie, unicki proboszcz wygłaszając w cerkwi kazania, posługiwał się starohebrajskimi przypowieściami, zasłyszanymi od zaprzyjaźnionego z nim cadyka. Oto jedna. Po potopie, Noe wyszedłszy z arki, spreparował gąsior wina, a szatan doprawił je krwią barana, lwa, osła i świni. I dlatego po wypiciu jednego kielicha człowiek pokornieje jak baranek, po dwóch jest agresywny jak lew, po trzech głupieje jak osioł, a po czterech tarza się w błocie jak świnia...

Krąg zainteresowań miał szeroki. Zadebiutował w r. 1914 zbiorkiem poezji. Napisał arcyzabawny pamiętnik, kilkanaście zbiorków satyrycznych. Dwie pozycje o teatrze żydowskim. Trzy książki w języku jidysz, w tym jedną o żydowskich anegdotach i przysłowiach do spółki z żyjącą w Szwajcarii dr Salomeą Landman.

Odwiedziłem go kilka razy. Starał się ukryć swe dolegliwości. Poza pysznie zaparzoną herbatą poczęstował mnie solidną porcją ucieszych historyjek. Spytałem jak to jest, że na każdą okazję zawsze znajduje odpowiednią, ściśle związaną z tematem — przypowieść.

— Odpowiem wam na to, Adamie, przypowieścią. Pewien król kurkowy zatrzymał się na nocleg w małym zajeździe żydowskim w Stanisławowie. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że ściany izby gościnnej upstrzone są strzałami z łuku, tkwiącymi dokładnie w samym środku narysowanych kredą kółek. Dowiedziawszy się od karczmarza, że to jego syn tak celnie strzela, kazał go przywołać. Gdy stanął przed nim dziesięcioletni chłopak, zdumiał się jeszcze bardziej. „Masz tu koronę, chłopcze, i powiedz kto cię nauczył tak strzelać, raz za razem w sam środek tak małego kółeczka!". „To żadna sztuka, proszę pana dziedzica. Ja najpierw strzelam nie celując a dopiero jak strzała ugrzęźnie w ścianie, rysuję dokoła niej kółko".

ADAM OCHOCKI

1 Lewym okiem

Nie bez uwarunkowań

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Od kilku tygodni publikuje w „Kulturze" Marek Kasz swoje wrażenia z podróży po Republice Federalnej Niemiec. Czytam te relacje z przyjemnością, bo są napisane dowcipnie, żywo i interesująco. Czytam także z podziwem, bo Marek Kasz był w RFN kilka dni i o tych kilku dniach potrafi przez szereg tygodni pisać całokolumnowe artykuły, zawsze ciekawe. Czytam także z zazdrością, a zaraz powiem dlaczego.

Dość dużo w życiu podróżowałem, zresztą prawie wyłącznie za własne pieniądze. Raz przed dwudziestu chyba laty byłem w ramach wymiany związkowej w Bułgarii i po powrocie napisałem garść wrażeń z tej podróży, które znalazły się na łamach „Odgłosów". Bardzo szybko zareagowali na to studenci bułgarscy z uczelni łódzkich. Spowodowali spotkanie ze mną w redakcji „Odgłosów" i zaatakowali mnie z miejsca pretensjami o to, że sprofanowałem ich sztukę, ich malarstwo. W jaki sposób sprofanowałem? Otóż napisałem, że w malarstwie tym, zresztą stosunkowo nie nazbyt bogatym, z różnych powodów historycznych, dostrzegłem brak motywów miłości, kobiety, że przeważały tam sceny batalistyczne i portrety starych, brodatych dostojników świeckich i cerkiewnych. Młodzi Bułgarzy w Łodzi uznali, że tym samym spostoponowałem sztukę malarską Bułgarii.

Po długiej, zaciekłej rozmowie rozstawaliśmy się w przyjaźni, a na pożegnanie Bułgarzy podarowali mi kalendarz ilustrowany artystycznie, przy czym te ilustracje to były same portrety starych, brodatych dostojników świeckich i cerkiewnych...

Jakoś w tym samym czasie byłem w Danii, po powrocie stamtąd również „Odgłosy" opublikowały moje pobieżne przecież wrażenia z tego kraju. Odezwał się natychmiast pewien publicysta gromiąc mnie za to, że mi się zbyt wiele rzeczy w Danii podobało. Po tych dwóch zdarzeniach uznałem wówczas, że jednak nie można pisać własnych wrażeń z żadnych krajów, że o niektórych można pisać wyłącznie źle, o innych z wielką ostrożnością i nieomal na kolanach. To było dwadzieścia lat temu. Dlatego z zazdrością czytam wrażenia Kasza z RFN, bo mówi o wielu rzeczach z podziwem dla nich, podaje wiele przykładów godnych naśladowania, jednym słowem o kraju kapitalistycznym, można już teraz pisać to, co się naprawdę widziało i odczuło. Już można. Jaka szkoda, że nie można było przez wszystkie lata mojej pisaniny.

Daniel Passent opisał niedawno w „Polityce" swoje wrażenia z pobytu w Bułgarii nie szczędząc temu krajowi dość cierpkich uwag o organizacji wypoczynku dla zagranicznych turystów i o różnych uciążliwościach dnia powszedniego. Nie wiem, czy musiał potem przeprowadzić długą i utrzymaną w tonie rozpaczliwej obrony rozmowę z bułgarskimi studentami. Chyba nie, chyba można już zerknąć od czasu do czasu lewym okiem za opłotki naszych sąsiadów i mimo niewątpliwej przecież przyjaźni do nich spostrzec także i tam jakieś negatywy. Jaka szkoda, że nie było można o tym pisać i mówić przez wszystkie lata — jak wyżej.

Można już dużo więcej, ale to nie znaczy, że można bardzo dużo. Nadal istnieją kraje, o których należy wyrażać się chłodno, wypada po prostu nie angażować się, nie akceptować tego, co się w tych krajach dzieje. Są także takie strony świata, o których opinia powinna być ciepła, przymrużająca oko na wszystko, cokolwiek by się w tych stronach wydawało niedobre. Pisanie o świecie nadal wymaga wielkiej autocenzury, wielkiej oględności, ograniczeń, względów. Ostatecznie, kto wie czy nie za mało miejsca pozostaje na autentyczną, rzetelną prawdę, zarówno prawdę wewnętrzną autora relacji jak i prawdę obiektywną, tę, na której nam wszystkim przecież tak bardzo, na każdym kroku, zależy.

2 Najprostsze — najtrudniejsze

Nie ma we mnie wiary ani entuzjazmu. Przykro mi się do tego przyznawać, ale taka jest prawda i nie ma na to rady. Oto kolejny raz podchodzimy do tak — zdawałoby się — prostej sprawy, jak uznanie dowodu osobistego za wszechwystarczający dokument i zniesienia wszelkich do tej pory obowiązujących zaświadczeń, które ten dokument dublują. Rozwiązanie to najprostsze, ale — jak uczy mnie doświadczenie — najtrudniejsze. Trzeba bowiem zrezygnować z czegoś, co stało się podstawą naszego systemu prawnego — braku zaufania.

Nie mam zamiaru twierdzić, że społeczeństwo nasze składa się jedynie i wyłącznie z aniołów, którzy całymi dniami śpiewają pieśni nabożne i myślą tylko o tym, gdzie by i komu uczynić coś dobrego. Przeciwnie. Wiem, że w naszym społeczeństwie panuje egoizm, chamstwo i wielu patrzy tylko, jakby tu coś do siebie zagarnąć. Po uroczystościach papieskich na Lublinku ludzie nie uszanowali ołtarza tam wystawionego, tylko próbowali rozdrapać go „na pamiątkę". Ale czy z tego wynika, że system prawny musi się opierać na braku wzajemnego zaufania? A czy przypadkiem ów brak wzajemnego zaufania, którego świadomość wszyscy mamy, nie potęguje tych ujemnych zjawisk? A przynajmniej, czy ich nie utrwala?

Niestety, prawda jest taka, że ów brak zaufania rodzi biurokrację, mnoży wielość kontroli, przy jednoczesnej jej małej skuteczności. Kolejni kontrolerzy sprawdzają to, co zrobili inni, bo im — po prostu — nie wierzą. Podejrzewa się ich manowicie dlatego, że kontrolerzy też ludzie, a człowiek ma niejako ułomną naturę, więc... Czy w tej sytuacji wielka machina biurokratyczna zgodzi się na to, aby podważyć jej fundament, na którym opiera się jej istnienie — znieść brak zaufania? Nie, na to biurokracja nie pójdzie. Wykazały to niezbicie dokonywane próby z uznaniem dowodu osobistego jako jedynego i podstawowego dokumentu. Próby nieudane!

W „Rzeczypospolitej" napotkałem na dyskusję o legitymacjach ubezpieczeniowych. Mam taką legitymację w biurku od lat i od lat jej nie używam. Do lekarza chodzę zakładowego, który mnie zna. Korzystam z innych możliwości, na przykład zasięgam porad u znajomych i przyjaciół lekarzy. Oni mnie znają, wiedzą, gdzie pracuję. Może to jest niekorzystne dla statystyki, ale korzystne dla mojego zdrowia. A zdrowie — wiadomo — najważniejsze. Więc jestem zdecydowanie za zniesieniem legitymacji ubezpieczeniowej, która w moim przypadku nie spełnia żadnej roli.

W dyskusji — jak to zwykle bywa — stanowiska są podzielone. Jedni uważają, że w ogóle należy znieść legitymacje ubezpieczeniowe, inni, że zastąpić jej wkładkami do dowodu osobistego, a jeszcze inni — że nie należy znosić, tylko wymusić wykorzystanie. Zawsze uważałem, że sklejony rozbity dzban nie jest już takim dzbanem, jakim był uprzednio. I nic tego faktu nie zmieni. Jeśli legitymacje ubezpieczeniowe umierają, to nie ma sensu ich reanimacja. Umrą ponownie. Prawdzie trzeba umieć odważnie spojrzeć w oczy.

Ale nie zapominajmy, że działa u nas puszczona w ruch machina biurokracji. Jeden z dyskutantów — urzędnik zresztą, bo nie wolno mylić urzędników z biurokratami, to nie jest to samo — przypomina, że dziś nawet do tego, aby kupić bilet miesięczny PKP czy PKS — a i MPK — potrzeba specjalnej legitymacji ze zdjęciem. A czy nie wystarczy dowód i legitymacja z miejsca pracy? W dowodzie jest adres zamieszkania, w legitymacji adres miejsca pracy. Wszystko! Nie wystarczy jednak, bo wielu ludzi zajmujących się jałową czynnością wypełniania odpowiednich rubryk straci pracę. A niektóre instytucje stracą całą swoją powagę. I tak rośnie ilość wymaganych zaświadczeń, wizyt w urzędzie, uzgodnień, wydłuża się czas oczekiwania na decyzje.

Co tu zresztą dużo mówić. W 1958 roku w Singapurze C. Northcote Parkinson napisał książeczkę pod znamiennym tytułem: „Prawo Parkinsona" i tam wszystko zostało już opisane. Jest tam też takie zdanie: „Najbardziej zajęty człowiek to ten, który ma mnóstwo czasu". Rozejrzyjcie się wokół siebie. Ileż to zapracowanych ludzi. I jakie mizerne tej pracy wyniki.

Jestem zatem za znoszeniem wszystkiego, co już obumarło i trzyma się tylko dzięki reanimacjom, w bezruchu, w zastoju. Upraszczajmy nasze życie, znośmy wszystko, co w nim zbędne, co przeszkadza i utrudnia. Róbmy to jednak mądrze, sięgajmy do przyczyn a nie zabawiajmy się uzdrawianiem skutków, bo to niczego nie da. Zacznijmy przebudowywać nasz system prawny, opierając go o zaufanie. Bez tego nic nie zmienimy. Musimy sobie ufać. Nie będzie to łatwe, ale jest konieczne. Inaczej będziemy obracali się w kręgu dobrej woli, dobrych chęci, tracąc czas na dyskusje, z których nic nie wyniknie.

I na zakończenie anegdotka z dedykcją dla różnych dyskutantów. Zastanawiano się niegdyś nad tym czym różni się praca organiczna w Poznaniu i Warszawie? Otóż tym, że w Poznaniu działano w myśl zasad, a w Warszawie dyskutowano o zasadach pracy organicznej.

LUCJAN BOGUSZ

3 Ele mele dudki...

Proszę się nie obawiać! Jeszcze nie zdziecinniałem. Po prostu wpadła w moje ręce — a ściślej dała mi ją jedna mamusia — książeczka o obiecującym tytule: *„Raz, dwa, trzy, wychodź ty!"* Jest to mówiąc językiem ludzi nie tylko dorosłych, ale też poważnych — zbiór dziecinnych wyliczanek. Jak zapewne Szanowni Czytelnicy pamiętają dzieci bawią się w berka, chowanego itp. Ktoś musi być berkiem, ktoś kryć w chowanego, a potem szukać tych, którzy się pochowali. W życiu dorosłym tych, którzy się pochowali — jeśli są ku temu powody szuka milicja. U dzieci wszystko jest inaczej.

Nigdy się nie zastanawiałem, skąd biorą się wyliczanki? Są i już! Tak, jak wiele innych rzeczy malutki człowiek — zjawiając się na świecie — zastaje i później sobie bez tego świata nie wyobraża. Z czasem zastanawia się nad tym i owym, na przykład: skąd się biorą dzieci? A gdy dorośnie — to już mniej się zastanawia, bo mu się wydaje, że wszystkie rozumy pojadł, był. I mylił się zazwyczaj, za co życie płaci mu różnymi niespodziankami.

Jako człowiek dorosły też nie zastanawiałem się nad tym, skąd biorą się wyliczanki, bo mi już to nie jest potrzebne. Ludzie dorośli, aby kogoś wybrać — czyli wyróżnić spośród siebie i obdarzyć go odpowiednimi pełnomocnictwami — nie stosują wyliczanek, a powołują komisję matkę, skrutacyjną, głosują, liczą i niekiedy powtarzają tę czynność kilkakrotnie, bo się okazuje, że nie bardzo są zgodni w tym, komu zaufać. U dzieci wszystko jest proste.

„Jedzie kareta, dzwoneh dzwoni,
Policz, panie, ile koni?
Raz, dwa, trzy, wychodź ty!"

Wyliczony zostaje berkiem i wszystko gra. Ba! Ale o ileż łatwiej jest być berkiem niż prezesem lub przewodniczącym?

Wróćmy jednak do pytania: skąd się biorą wyliczanki? Nigdy bym się o to nie pytał, gdyby nie owa mama, która dała mi rzeczoną książeczkę. Mamę zafrapowała bowiem taka oto wyliczanka:

„Na ulicy Kopernika,
Spowiadała się Monika:
Proszę księdza, ja nie kłamię,
Ja ukradłam cukier mamie.
A jak jeszcze się poducę,
To ukradnę mamie klucze".

Brawo! Piękna perspektywa! W tej „pedagogicznej" wyliczance nie ma na szczęście tego, co jeszcze ukradnie obiecująca Monika, jak się będzie dobrze uczyła. Ale kierunek wykształcenia — można powiedzieć — został dość precyzyjnie określony.

Mamy bywają nadmiernie wyczulone. Mógłbym powiedzieć, że w końcu to zabawa, że niektóre wyliczanki w ogóle są tak bzdurne, że się nie ma czym przejmować. W życiu dorosłym teraźniejsze dzieci będą i tak miały nadmiar bełkotu, nic więc złego, jeśli już się do tego przygotowują taką oto wyliczanką:

„Traf, Traf, Misia, Bela,
Misia, Kasia, kafacela,
Misia, a, Misia b,
Misia, Kasia, kaface".

Ale zniecierpliwiony Czytelnik może wreszcie zawołać: — Autor! Autor! Autor!

Proszę bardzo. Otóż owe wyliczanki — a w książce jest ich przecież dużo więcej — zebrała Bożena Jankowska. Graficznie opracował książeczkę Jacek Brzozowski. Wydało: Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy po 90 złotych sztuka. Interes zupełnie dobry. Dzieci nam rosną. Zjawiają się nowe. Dorastają i mamusia musi kupować nowe książeczki. Stare już są zniszczone. A że przy okazji uczymy dzieci bełkociku, to już zupełnie inna sprawa.

Najciekawsza jednak informacja znajduje się na odwrocie ostatniej strony tekstu. Bibliografia. Okazuje się, że wyliczanki dziecięce posiadają już literaturę naukową: Jerzy Cieślikowski — „Literatura i podkultura dziecięca" 1975; Jerzy Cieślikowski — „Wielka zabawa", 1972, Krystyna Pisarkowa — „Wyliczanki polskie" 1972; Dorota Simonides — „Współczesny folklor słowny dzieci i nastolatków 1976. Gdy się ukaże kolejne wydanie książeczki: *„Raz, dwa, trzy, wychodź ty!"* — literatura przedmiotu będzie znacznie bogatsza. Życzę powodzenia! Tylko proszę bardzo, przy wyborze wyliczanek trochę pomyśleć, żeby nie podsuwać dzieciom pomysłów na bełkocik i wątpliwej jakości moralne czyny. Niby to wszystko zabawa, ale ponoć zabawa też uczy.

PS. W redakcji nie lubimy anonimów. Tym razem przyszedł ze Szwecji z miasta Spanga. Mogę zrozumieć jeszcze, choć czynię to z trudem, rodaka w kraju, który — zupełnie niepotrzebnie — obawia się ujawnienia swego nazwiska i adresu, gdyż prawo prasowe chroni jego — jeśli tego zechce — anonimowość. Ale nie mogę zrozumieć rodaka ze Szwecji, który pisze anonimy. I dlatego polemizować i wyjaśniać niczego nie będę.

ZENON POROWATY

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

1

Takie buty z cholewami

— Mogą być z tobą kłopoty — powiedział Stefan, przypatrując mi się tak, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. — Ten nos, oczy...

W jego głosie poza troską o mnie dawała się wyczuć pewność siebie. Mój kuzyn miał dobry wygląd, jak się wtedy mówiło. Blondyn o niebieskich oczach, pociągłej twarzy, wąskim, wysklepionym nosie, smukły, wysportowany — nic nie wskazywało na jego pochodzenie. Sam Albert von Rosenberg, ideolog hitleryzmu, pierwszy spec od spraw rasowych, bez mrugnięcia okiem zakwalifikowałby go na plaży dla tekstylnych jako nordyka czystej krwi.

Jechaliśmy pociągiem z Warszawy w kierunku wschodnich rubieży okupowanej Polski, z zamiarem najszybszego przedostania się na terytorium Związku Radzieckiego. Była połowa listopada 1939 r., represje Niemców nasilały się: łapanki do przymusowych robót, kontrybucje, płonące synagogi, pierwsze gwiazdy Dawida na rękawach, przebąkiwano o mających powstać gettach dla ludności żydowskiej.

Z Łodzi uciekliśmy pięć przed dwunastą, dziesiątego listopada. W przeddzień Święta Niepodległości Niemcy dokonali spustoszenia wśród przedstawicieli inteligencji, działaczy społecznych, naukowców. Ofiarą masowych aresztowań padli również nasi koledzy dziennikarze, którzy nie zdążyli opuścić miasta lub zdecydowali w nim pozostać, „aż to wszystko ułoży się"...

Zajechałem do brata Ludwika Starskiego na Żurawią 28 i opowiedziałem mu o swych planach.

— Będziesz we Lwowie?

— Chcemy się tam zatrzymać ze Stefanem.

— Odszukaj Mundka Szlechtera. W drodze powrotnej z Jaremcza zostawiliśmy u niego walizkę z rzeczami Marysi. Przyda ci się.

Brata łączyła z Edmundem serdeczna przyjaźń. Szlechter pisał piosenki do filmów Lutka — „Robert i Bertrand", „Paweł i Gaweł". Współpracowali ze sobą do samej wojny.

Do Warszawy docierały wieści, że najłatwiej przekroczyć granicę w Małkini, gdzie został utworzony pas neutralny, rozdzielający zajęte przez okupanta tereny od obszarów, do których zbliżyły się wojska radzieckie. Niemcy rewidują uciekinierów, zabierają pieniądze i kosztowności, ale przepuszczają na drugą stronę.

Za całą gotówkę kupiłem trzy banknoty dwudziestodolarowe. Jak je ukryć, żeby nie wpadły w łapy Niemców? Postanowiłem włożyć je do pudełka od zapałek, przed rewizją niepostrzeżenie rzucę pudełko na ziemię, a gdy cała procedura skończy się, podniosę pudełko i jakby nigdy nic ruszę w dalszą drogę.

Nasz pociąg był przepełniony. Przeważali samotni, jak my, mężczyźni. Mało kto odważył się zabrać w niepewne najbliższych. Ja i Stefan też zostawiliśmy w Łodzi i w Warszawie rodzinę. Chciałem wyjechać z żoną, gorąco namawiałem teścia, żeby opuścił miasto, gdzie wszyscy go znają. Nie chciał o tym słyszeć.

— Mój ojciec — tłumaczył mi — a był to bardzo mądry człowiek, też nie ruszał się z miejsca w czasie zawieruch wojennych. Niemcy to kulturalny naród, nie skrzywdzą cywilnej ludności.

Teściowie nie byli zachwyceni wyborem ich córki. Jako mało zarabiający dziennikarz, bez stałej pensji i widoków na przyszłość, nie stanowiłem dobrej partii. Teść nalegał, żebym zmienił zawód. Był dyrektorem sprzedaży w zakładach włókienniczych Karola Eiserta, świetnie mu się powodziło, wybudował dom na Żwirki 1c. Tak długo mnie molestował, aż dopiął swego: wyraziłem zgodę na podjęcie działalności handlowej. Urlop we wrześniu miałem poświęcić na rajzy z teściem po kraju, a gdy się już obznajomię z tajnikami zawierania transakcji, zostanę przedstawiony samemu Pawłowi Seipeltowi, naczelnemu dyrektorowi u Eiserta, bo pan Seipelt uruchamia do spółki z Kindlerem fabrykę jedwabiu i potrzebny mu będzie młody, zdolny komiwojażer.

— Alicja zostanie z nami. Dokąd zamierzasz wyjechać?

— Na razie do Lwowa.

— Zgłoś się tam do Dwormana. On ma skład konsygnacyjny wyrobów Eiserta. Na pewno nie odmówi ci pomocy.

Cały dobytek jaki wieźliśmy z sobą stanowiły dwie walizy. W pośpiechu poupychaliśmy w nich najniezbędniejsze rzeczy: ubrania na zmianę, koszule, jakieś swetry, bieliznę. Nie zabrałem nawet maszynki do golenia.

Około południa pociąg wtoczył się na stację w Małkini. Niemieccy żołdacy i cywile obskoczyli wagony. Rudy feldfebel rozglądał się dookoła, jakby wypatrując kogoś znajomego. Wzrok jego padł na gramolącego się z przedziału Stefana. Momentalnie znalazł się przy nim.

— Jude?!

— Aber wo! — odparł kuzyn przystrajając twarz w miły uśmiech. Rudzielec popatrzył na niego niezdecydowany.

— Ausweis! — ryknął.

Stefan podał mu dowód osobisty. Feldfebel rzucił okiem na rubrykę „wyznanie". Musiał, drań, znać polski, bo trzepnął Stefana na odlew w twarz.

— Du verfluchter Jude! — pienił się. — Co masz w koffer? Aufmachen, szibko, szibko!

Uznałem moją dalszą obecność za bezcelową. Pomóc Stefanowi nie mogłem. Nie spiesząc się, przez nikogo nie zatrzymywany, ruszyłem wolno przed siebie. Z przydworcowej oberży wysypała się grupka miejscowych chłopów. Rozprawiali o czymś z ożywieniem. Wmieszałem się między nich i głośno, żeby kręcący się dokoła Niemcy słyszeli, zagadnąłem jednego z gospodarzy:

— A dyć co wy tam, kumie, godocie? Latoś pyry kiepsko obrodziły, cosik mi się widzi, że zymby trza bedzie powiesić na haku, kiej przednówek przyńdzie...

Chłopi zbaranieli. Szybko jednak zorientowali się, jeden ujął mnie pod pachę i poszliśmy w kierunku wsi biadoląc o naszych rolniczych kłopotach. Kątem oka ujrzałem Stefana. Obdarzony na drogę potężnym kopniakiem doszlusował do nas. Niemcy, zadowoleni z wyników rewizji, rechotali, wołając w ślad za przepuszczonymi.

— Los, los! Geht zu dem roten Paradies!

Pierwsze chaty ukazały się po kilkunastominutowej marszrucie. Zapytałem idącego koło mnie chłopa czy będzie mógł nas przenocować.

— Całe obejście pełniusieńkie — sumitował się. — Fura narodu zwaliła się w ostatnich dniach. A ruskie od przedwczoraj nie otwierają granicy. Ale — spojrzał na mnie ciepło — jakiś kąt się znajdzie. W stodole pachnące sianko...

Dopiero później dowiedziałem się, dlaczego Rosjanie wstrzymali czasowo dążącą na ich terytorium falę ludzką. Ruch przez pas neutralny odbywał się w dwóch kierunkach: z Polski do Rosji uciekali przeważnie Żydzi, a z miast i osiedli radzieckich wędrowali do kraju rdzenni Polacy, pragnący połączyć się ze swymi rodzinami. Przez pierwsze dni kto chciał wędrował z jednej strefy do drugiej. Ta bezładna, puszczona na „samotiok" wędrówka narodów kryła w sobie ryzyko, toteż w obawie, aby niepożądane elementy nie przenikały na terytoria radzieckie i na odwrót — żeby osoby niepewne politycznie nie przedostawały się do zajętego przez hitlerowców kraju — zastosowano środki ostrożności. Na razie opuszczono szlabany i zawracano wszystkich z drogi: tych, co szli na wschód, z powrotem do pasa neutralnego, tych, którzy chcieli przedostać się do Polski — na ziemie zajęte przez wojska radzieckie.

Sytuacja nie wyglądała różowo. To po to odbyliśmy tę drogę, narażając się na szykany niemieckie, żeby wracać? Przecież Niemcy nie wpuszczą z powrotem — ani mnie „z tym nosem i oczyma", ani Stefana „nordyka"...

Ale że ranek mądrzejszy jest od wieczora, postanowiliśmy odpocząć i nazajutrz zastanowić się co począć dalej. Zjedliśmy przywiezione produkty i udaliśmy się do stodoły. Zrzuciłem z siebie jesionkę, pantofle i zagrzebałem się w sianie. Stefan uczynił to samo, tylko nie ściągnął z nóg swych chromowych butów z cholewami.

O świcie gospodyni przyniosła dzbanek mleka i pół bochenka wiejskiego chleba. Nie chciała słyszeć o zapłacie. Z wyraźnym upodobaniem wpatrywała się w Stefana.

— I pan tyż musioł uciekać? Mówiom, że Niemcy tylko Żydków sie czepiajom.

Na dworze zbici w grupki uciekinierzy wiedli ożywione dyskusje. Co robić? Jak długo przyjdzie czekać na otwarcie granicy?

— Mam pomysł! — chwyciłem Stefana za rękaw. — Zaczekamy do nocy, a gdy się ściemni, pójdziemy gromadą. Przekroczymy pas neutralny śpiewając „Międzynarodówkę". Zobaczysz jeszcze nam zasalutują!

Moja propozycja zyskała ogólną aprobatę. Po północy objuczeni walizami i tobołami pomaszerowaliśmy zwartą grupą. Zaintonowałem „Wyklęty powstań ludu ziemi", idący za mną podchwycili słowa pieśni. Strażnicy zdębieli, nie ruszyli się z miejsca, a my raźnie podążaliśmy w kierunku czerniejącego przed nami lasu. Uszliśmy może sto metrów, gdy niebo rozdarła świetlista raca i rozległy się wystrzały ostrzegawcze.

— Będą nas zawracać! Szybciej! — krzyknąłem do Stefana. — Popatrz, jakaś chałupa, skryjmy się tam i poczekajmy, aż to się przewali!

Po przystawionej do chaty drabinie wdrapaliśmy się na strych. Przez małe okienko mieliśmy widok na drogę. Noc była jasna, księżyc świecił jak szalony. Przed zdezorientowaną gromadą uciekinierów pojawiło się kilku krasnoarmiejców na koniach.

— A wy kuda? Dawaj nazad! — zawołał starszyna i popędził kotłujący się tłum w stronę pasa neutralnego. — Etoż bezobrazije, jej Bogu. Nado ożidat' prikaza, bez prikaza naczalstwa nielzia!

Stefan dygotał na całym ciele, ja nie straciłem rezonu.

— Uspokój się, nie wszystko przepadło. Za kilka minut spróbujemy indywidualnie.

Na dole w chałupie domownicy pogrążeni byli w kamiennym śnie. O naszym pobycie na strychu nie mieli pojęcia. Nie obudzili się nawet, gdy schodząc po drabinie rymnąłem jak długi na ziemię nakrywając się walizą.

Zagłębiliśmy się w las. Przed nami zabłysło światło latarki elektrycznej.

— No to koniec z nami... — jęknął mój towarzysz.

— Nie kracz. Stań i rób to, co ja! — skomenderowałem.

Światełko zbliżało się z zawrotną szybkością. Przed nami wyrósł chudy jak tyka lejtenant w towarzystwie kilku żołnierzy z przewieszonymi przez ramię wintowkami.

— A wy kuda naprawliajetes? — lejtenant zmierzył nas badawczym wzrokiem.

Zrobiłem pół obrotu do tyłu i pokazując na pas neutralny powiedziałem:

— Tuda, towariszcz lejtenant...

— Dawajtie nazad! — zawołał. — Skorieje!

Zrobiłem zawiedzioną minę, jak gdyby pokrzyżowano nam plany i powlekliśmy się przez las w upragnionym kierunku — w stronę Zarębów Kościelnych. Stamtąd mieliśmy udać się w dalszą drogę. Stefan koniecznie chciał zawadzić o Białystok, dokąd wywędrował jego były szwagier.

— To obrotny facet, zobaczysz, pomoże nam.

Mój kuzyn wcześnie owdowiał. Do wybuchu wojny mieszkał samotnie. W ogródku kawiarni „Europejska" przy ul. Piotrkowskiej 113 poznał występującą tam gościnnie Werę Gran. Śpiewała liryczne, nastrojowe piosenki.

List, pierwszy miłosny list,
cały mokry od łez,
dziś pamiątka jest...
Kwiat, stary, zwiędły już kwiat,
zapach stracił i zbladł,
lecz zostawił ślad...

Jakoś przylgnęli do siebie, ale ich romans nie trwał długo. Wera dostała engagement do innego miasta, zostawiła zakochanego Stefana, który też szybko o niej zapomniał. Zabujał się w młodszej od siebie o kilkanaście lat ślicznej dziewczynie, córce pończosznika z ulicy Lipowej. Rzuciła dla Stefana boksera Maksa R., była z nim zaręczona, ale w tułaczce po świecie nie chciała kuzynowi towarzyszyć.

Od Zarębów Kościelnych dzieliło nas sporo kilometrów. Na szczęście drogą przejeżdżała spóźniona podwoda. Woźnica na widok dwóch zmordowanych piechurów zatrzymał konia i zaproponował nam swój podskakujący na wybojach pojazd. Z kolei przesiedliśmy się na inną „biedę", z niej o świcie na wóz wyładowany sianem. Gdy wreszcie dotarliśmy do celu, byliśmy u kresu sił. Dworzec i teren dokoła, jak okiem sięgnąć, pokrywało mrowie ludzkie. Ludzie wypatrywali pociągu mającego zawieźć ich, podobnie jak nas, do Białegostoku.

— Trzeba będzie poczekać, aż tu się trochę przeżydzi — strzeliłem kalamburem, jakiego by się nie powstydził redaktor „Małego Dziennika" z Niepokalanowa czy innego „Orędownika".

Nazajutrz zaroiło się od nowych przybyszów. Poznałem wśród nich uczestników zainicjowanego przeze mnie marszu z piosenką na ustach.

— Puścili was?

— Co znaczy puścili? Jeszcze chleb nam dali na drogę!

— Obeszło się bez żadnych trudności?

— Żeby panu powiedzieć, to nie powiem. Przyjechał sam główny naczalnik, zebrali nas do kupy, zapytywali każdego skąd, dokąd, po co, kazali pokazywać papierów i podnieśli tego szlagbauma.

Przepuściliśmy kilka pociągów, nie mogąc się zdecydować na szturm. Nawet dachy wagonów oblepione były zdesperowanymi ludźmi. Wreszcie moja cierpliwość wyczerpała się.

— Musimy wleźć na siłę — zdecydowałem. — Bo tak możemy tu czekać do usranej śmierci!

Dziwna rzecz: starszy o dziesięć lat Stefan, który mnie dotąd ledwo tolerował okazując przy lada okazji swą wyższość, teraz bez szemrania przystawał na każdą moją propozycję. To prawda, że przepracowaliśmy w jednej redakcji dziewięć lat, ale on był redaktorem całą gębą miałem dla niego respekt, zarabiał grubo ponad tysiąc miesięcznie, a gdy mnie uzbierało się na miesiąc sto złociszy, to było wielkie święto.

Teraz role się odmieniły i co tu ukrywać — rozpierała mnie duma. Strach, towarzyszący do przeprawy w Małkini, uleciał. Żyłem żądzą mocnych wrażeń, podróży w nieznane, fascynowała mnie wielka Przygoda. Wstyd się przyznać, ale najmniej myślałem o rodzinie. Byłem przekonany, że gdy wojna się skończy, zastanę wszystkich przy zdrowiu, dadzą sobie radę beze mnie. O, naiwności młodzieńcza!

— Jedzie, jedzie!

Wszystko co żywe rzuciło się ku torom, po których dudnił zasapany pociąg.

— O dostaniu się drzwiami nie ma co marzyć — oceniłem w lot sytuację. — Walimy przez okno! Najpierw bambetle!

Nie zważając na przekleństwa współtowarzyszy niedoli, których jak taranem roztrącałem walizą, dopchnąłem się do otwartego okna przedziału i szast, prast! — moja waliza wylądowała na szyjejś głowie. Druga poleciała w ślad za nią.

Stefan wspiął się na palce, podsadziłem go i mój kuzynek popisał się wspaniałym szczupakiem, jak przed laty, gdy grając na pozycji bramkarza w „Concordii" wyłapywał zmierzającą w róg siatki piłkę. Ja nie potrzebowałem pomocy w wykonaniu mego salto mortale. Albo miało się tę piątkę z gimnastyki u profesora Szumlewskiego, albo nie miało? Chwyciłem się ramy okna, podciągnąłem na rękach i dałem nura do środka. Zaryłem głową w jakiś tobół z pościelą, zadarte w górę nogi oparły się o coś żywego, falującego. Na najbliższej stacji stwierdziłem, że to był biust dość leciwej obywatelki, która pozbawiła mnie tego oparcia wysiadając z wagonu.

Białystok sprawiał wrażenie gigantycznego mrowiska, w które wsadzono przysłowiowy kij. Ulicami przewalały się tłumy. Przechodnie poruszali się w przyspieszonym tempie, żywo gestykulując. Ich nieskoordynowane ruchy przywodziły na pamięć sceny z pierwszych slapstickowych filmów z Chaplinem i Mac Sennetem, kiedy to aparaty projekcyjne nie miały jeszcze krzyża maltańskiego i wszystko na rozpiętym płótnie śmiesznie podskakiwało, każdy gest odbywał się jakby fazami. Gdyby zapytać kogoś z tej ruchliwej masy ludzkiej dokąd tak się śpieszy, na pewno nie potrafiłby wyjaśnić.

Nasze poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Nikt nie widział byłego szwagra Stefana, co gorsze nikt go nie znał. Uradziliśmy, że nie ma tu czego oczekiwać. Pojedziemy do Lwowa z popasem w Kowlu. Teraz ja chciałem kogoś spotkać. Powiedziano mi, że w Kowlu zarzucił kotwicę Dawid Celmajster ze swymi trzema synami, żoną, córką i zięciem. Z rodziną tą byłem w zażyłych stosunkach. Papa Celmajster spełniał w pewnym sensie rolę mojego drugiego chlebodawcy: niewiele mniej zarabiałem u niego niż w „Republice".

A było to tak. Stary Celmajster zaproponował mi pisanie cztery razy w miesiącu wzmianek reklamujących jego lokal gastronomiczny „Tabarin" przy ul. Narutowicza, osławioną mordownię, gdzie niemal co noc dochodziło do awantur. Zachwalałem pod niebiosa doborową orkiestrę, smaczną kuchnię, bufet obficie zaopatrzony, tudzież występy artystyczne i obracający się parkiet taneczny. Za te wzmianki „Republika" otrzymywała odpowiedni ryczałt miesięczny, a mnie co niedziela papa wręczał dwanaście i pół złotego. Do tego dochodziła bezpłatna konsumpcja, mogłem zamawiać z karty najdroższe potrawy i to w dowolnej ilości.

— Ale za napoje będzie pan płacił — oświadczył mój chlebodawca przy omawianiu warunków współpracy. Jednak ani jedna z wypłacanych mi złotówek nie powędrowała z powrotem do kieszeni papy, bo alkoholu nie brałem do ust. Ponad dwa lata pełniłem tę funkcję, dzisiaj szczyciłbym się tytułem rzecznika prasowego „Tabarinu".

W drodze na dworzec nie szczędziłem Stefanowi wymówek.

— I po co wlekliśmy się taki szmat drogi? Przecież mogliśmy od razu po przejściu granicy wziąć kierunek na Lwów! Nadkładamy kilkaset kilometrów. To tak jak w tym przysłowiu: wstąpił do piekieł, po drodze mu było!

Pociąg do Kowla nie był przepełniony. Białystok spełniał rolę mielizny, na której zatrzymuje się największa fala, by dalej przepuścić już wąską strugę. Znaleźliśmy wolny przedział. Stefan wgramolił się na górną półkę, ja rozprostowałem kości na dolnej, skąd miałem lepszy widok na nasze walizy.

— Może byś tak zmienił wreszcie skarpetki? — zganiłem kuzyna. — Zajeżdża od nich na kilometr!

— Nogi mi spuchły, nie dam rady ściągnąć butów — wymamrotał i po chwili chrapał w najlepsze.

Przypomniał mi się kawał. W „tiepłuszce" na górnej półce, jak teraz mój kuzyn, leżał obywatel wyznania handlowego. Jego nogi dyndały tuż przed nosem siedzącego na dole pasażera. Zadarł on w pewnej chwili głowę i zawołał:

— Ej, towariszcz! A wy nie mieniatie noskow? (Nie zmieniacie skarpetek?)

— Mieniaju, mieniaju. Na sachar!

Wprost z dworca pojechaliśmy dorożką pod otrzymany adres. Rodzinę Celmajstrów zastaliśmy w komplecie przy kolacji. Wynajęli parterowe mieszkanie, do którego przylegał nieczynny sklep. Ponieważ stale ktoś tu wpadał przejazdem, dawny sklep przemeblowano na pokój gościnny. Zamiast łóżek czy tapczanów gości oczekiwały rozłożone na podłodze materace. I taki, dwuosobowy materac w głębi sklepu zaoferowano nam.

— Ale najpierw panowie zjecie coś z nami i powiedzcie co słychać w Łodzi? A propos: wasi dwaj szefowie redaktorzy Polak i Ołtaszewski są od kilku dni we Lwowie. A Morylek Poznański, trzeci współwłaściciel waszej „Republiki!" całkiem zbzikował. Kilka dni przed wkroczeniem Niemców do Łodzi uciekł ze swą służącą. Na widok maszerującego oddziału czerwonogwardzistów wrzucił do rzeki walizeczkę, w której miał pełno dolarów, złota i biżuterii...

Po kolacji gospodarze zaproponowali nam kąpiel. O niczym innym nie marzyłem. Mój wzrok pobiegł w kierunku nóg Stefana. Jak biedak upora się ze swymi butami? Jak je zzuje z opuchniętych stóp?

Przeszliśmy do naszego sklepu. Kuzyn przykucnął na taborecie i raz dwa oswobodził nogi z uciążliwego balastu. Nawet nie stęknął, buciory ześliznęły się jak po maśle! Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia gdy z pomocą dłutka podważył obcas i na podłogę posypały się złote dziesięciorublówki i dwudziestodolarówki!

— Rano zaniesiemy buty do szewca, żeby na nowo umocował obcasy — powiedział jakby nigdy nic. — Idź pierwszy do łazienki, muszę tu jeszcze coś zrobić...

Wychodząc zauważyłem jak z żyletką w ręku zabiera się do odpruwania podszewki w marynarce. A kiedy odświeżeni po kąpieli ułożyliśmy się na materacu, powiedział:

— W tak dalekiej i niepewnej drodze trzeba się mieć na baczności. Już teraz wiesz dlaczego nie zdejmowałem butów?

Jak długo spaliśmy, nie pamiętam. Obudził mnie gwar rozmów. Za szybą kotłował się tłumek gapiów. Widok dwóch facetów leżących na wystawie sklepowej z wystającymi spod koców nogami nawet śledziennika wprawiłby w dobry humor. Może to żywa reklama jakiejś imprezy? Tylko dlaczego nie ma żadnych napisów informacyjnych?

Wieczorem pociąg uwoził nas do ostatniego etapu tułaczki. Czy rzeczywiście do ostatniego? Nie zastanawiałem się nad tym. Chciałem jak najszybciej znaleźć się we Lwowie. Zasypiałem uspokojony: tajemnica obmierzłych bucior mego kuzyna została rozwikłana!

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika o pobycie w latach wojny w Związku Radzieckim. Za tydzień

Jego wysokość pikolak

3892/A

Na początku była „PRASA”

25 kwietnia 1947 roku Sekretariat Komitetu Centralnego PPR podjął uchwałę w sprawie powołania do życia wyspecjalizowanego wydawnictwa prasowego, skupiającego w jedną organizacyjną całość poszczególne wydawnictwa prasowe i drukarnie prowadzone przez wojewódzkie komitety partyjne. 10 maja 1947 roku odbywa się historyczne walne zgromadzenie założycieli **Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”**. Początkowo na liście założycieli jest 49 członków, w końcu 1947 r. już 150.

Od czerwca 1947 r. rozpoczyna się scalanie jednostek prasowo-poligraficznych działających dotąd przy poszczególnych komitetach partyjnych. Do grudnia w skład „Prasy” wchodzi już kilkadziesiąt jednostek, wśród nich Łódzki Instytut Wydawniczy wraz z drukarnią, **„Głos Robotniczy”** i **„Express Ilustrowany”**. W Łodzi powstaje Delegatura RSW „Prasa”.

Łódź — wielki ośrodek przemysłowy i robotniczy. Gdy w maju 1947 r. warszawski Sąd Okręgowy rejestruje RSW „Prasa”, ukazują się tu już trzy dzienniki: **„Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany”**. Warto wspomnieć słów kilka o ich narodzinach, stanowiących przecież początek powojennej prasy w tym mieście.

Najwcześniej ukazał się „Dziennik Łódzki” — pismo „Czytelnika”, ale miał on już poprzedniczkę — „Wolną Łódź”. To właśnie ta gazeta otwiera nowe dzieje prasy łódzkiej. Pierwszy jej numer ukazał się 24 stycznia 1945 r., a więc zaledwie kilka dni po odzyskaniu przez miasto wolności. Przygotowało ją kilku dziennikarzy, m.in. **Aleksander Litwin i Henryk Rudnicki.**

Pierwszy numer **„Dziennika Łódzkiego”** ukazał się 1 lutego 1945 r. Nie brakowało w nim komunikatów frontowych.

Pierwszym redaktorem naczelnym był **Anatol Mikułko** — lekarz i dziennikarz, postać po dziś mile wspominana. Gdy do Łodzi przyjechał zespół „Rzeczpospolitej”, red. A. Mikułko musiał zawiesić druk swojej gazety. Dopiero po kilku miesiącach, w lipcu 1945 r., gdy „Rzeczpospolita” wywędrowała do stolicy, wznowiono drukowanie czytelnikowskiego „Dziennika”.

Trzecim w kolejności powojennym tytułem prasowym, który ukazał sie w Łodzi, był „Głos Robotniczy” — dziennik Komitetu Łódzkiego i Komitetu Wojewódzkiego PPR. Tytuł gazety nawiązywał do wydawanego w 1918 r. pisma SDKPiL i PPS-Lewicy, wychodzącego w Płocku.

20 czerwca 1945 r. łodzianie otrzymali pierwszy numer „Głosu Robotniczego”. Różnił się on znacznie od dzisiejszej gazety, bo i warunki, w jakich wtedy „Głos” powstawał, nie były najlepsze. Zarówno zespół redakcyjny jak i drukarnię trzeba było tworzyć niejako od podstaw. Trud ten spadł na barki pierwszego naczelnego redaktora gazety — **Edwarda Uzdańskiego**, do niedawna sekretarza „Głosu Ludu”.

Dużą popularnością cieszyły się w tym czasie felietony **E. Uzdańskiego**, artykuły **Barbary Beatus, Ireny Kawczakowej, Wiktora Lemiesza, Zofii Łubieńskiej, Stefana Stefańskiego i Ireny Tarłowskiej.**

17 stycznia 1946 r. do rąk łodzian trafił „Express Ilustrowany”, pismo popołudniowe kontynuujące tradycje podobnych łódzkich gazet z okresu międzywojennego. Redaktorem naczelnym został **Konstanty Bogusławski.** W zespole pracowali w pierwszym roku ukazywania się m.in.: **Krystyna Boergerowa, Wacław Drozdowski, Mieczysław Jagoszewski, Adam Ochocki, Kazimierz Rozmysłowicz i Kazimierz Zaleyski.**

Przez kilka miesięcy „Express” powstawał w drukarni przy ul. Piotrkowskiej 86, następnie przy ul. Żwirki 2 i w drukarni „Głosu Robotniczego” przy ul. Żwirki 17. Redakcja początkowo znajdowała się przy ul. Piotrkowskiej 102.

W roku narodzin RSW „Prasa” Łódź była więc znaczącym w kraju ośrodkiem wydawniczym. Mimo iż decyzje w sprawie utworzenia spółdzielni zapadły w stolicy i w Łodzi dostrzegano potrzebę stworzenia silnej scentralizowanej organizacji wydawniczej. Oto fragment wspomnień **Henryka Rudnickiego:**

„Potrzebne więc było wydawnictwo zdolne sprowadzać z zagranicy tysiące ton drukarskiego papieru, o który w świecie już wtedy było coraz trudniej. Wydawnictwo, które domagałoby się rozbudowy polskiego przemysłu poligraficznego, papierniczego, nowych fabryk farb drukarskich, które mogłoby budować coraz nowocześniejsze drukarnie w kraju.

Kto tedy pierwszy rzucił projekt założenia spółdzielni wydawniczej? (...) Zapalili się wszyscy do tego projektu. Edward Uzdański z „Głosu Robotniczego” — po powrocie z kolejnej narady w KC rozmawiał o tych problemach z członkami kolegium. Już był gotów założyć na własne ryzyko nową spółdzielnię wydawniczą — powiedzmy jako konkurenta „Czytelnika”. W tym samym czasie mieliśmy już Łódzki Instytut Wydawniczy, który drukował książki dla młodzieży, tygodnik „Przygodę” oraz pismo satyryczne „Różgi”.

Uzdański wydobył z biurka kilkanaście arkuszy poliniowanego papieru i napisał — w swoim przekonaniu — historyczny nagłówek: LISTA CZŁONKÓW — FUNDATORÓW ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ROBOTNICZEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ.

— Kto się wpisuje pierwszy — zapytał.

— Wpisz się sam pierwszy, dla przykładu.

Wpisał tedy: Edward Uzdański, deklaruje udział w wysokości trzech pensji miesięcznych, płatny ratami w ciągu roku.

— Terefere — ktoś się sprzeciwił. — Za te grosze nie wybudujemy nawet garażu. Wiecie, ile milionów będzie potrzeba na nową drukarnię?

Uzdański zapalił się: — O, ludzie słabej wiary! A nasza drukarnia przy ul. Żwirki, z czego powstała? Z zagranicznych pożyczek? Jeździliśmy po Polsce starymi „Fordami” i „Doddzami” wybierając z gruzów rozbite linotypy, składaliśmy rotację z kupy wrocławskiego złomu. A teraz ta nasza drukarnia pracuje!

Więc podchodziliśmy do biurka kolejno i składaliśmy deklarację naszego udziału w tym wielkim dziele. Wpisywaliśmy nazwiska, wysokość udziału, w jakich ratach potrącać. Ot, ojcowie — założyciele!

Podsumowano listę. Suma była znaczna. Jeżeli w podobny sposób postąpią wszystkie wydawnictwa partyjne w kraju — to będzie można zaczynać.

Po trzech dniach Uzdański znów wraca z KC i od progu rzuca „bombę”.

— Niepotrzebne wszystkie nasze podpisy i subskrypcje!

— Jak to? Nie będzie Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej?

Wyczekał dłuższą chwilę jak dobry aktor i powiada:

— Za mało nas! Sumy śmieczne... Ale Warszawa coś lepszego wymyśliła.

To wszystko jest już na warsztacie w KC! I będzie się ta spółdzielnia nazywała ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „PRASA” — z młotem w herbie!”.

Po utworzeniu łódzkiej delegatury RSW „Prasa” z dyrektorem Władysławem Basistą, przystąpiono do dalszego rozwijania bazy prasy, co miało sprzyjać wzrostowi czytelnictwa, szczególnie „Głosu Robotniczego”. 13 marca 1948 roku ukazał się 1000 numer tego dziennika. Z tej okazji serdeczne życzenia nadesłał do redakcji Władysław Gomułka. Tysięczny numer ukazał się w nakładzie dziesięciokrotnie większym od numeru pierwszego.

Kilka tygodni później (6 kwietnia), podobne święto obchodził oczywiście zespół „Dziennika Łódzkiego”. Na ręce redaktora naczelnego nadeszło bardzo dużo telegramów z życzeniami dla zespołu.

Rok 1949 przyniósł kolejne zmiany w RSW. Preferując szerokie upowszechnianie czytelnictwa, RSW „Prasa” przystąpiła do wydawania w formie tanich, broszurowych edycji najwartościowszych dzieł literatury. Spośród 16 pism także „Głos Robotniczy”

Minęło 40 lat

włączył się do tej akcji. Ogółem w kraju wydano 258 tytułów w łącznym nakładzie ponad 19 mln egzemplarzy (1949-1953).

W początkowym okresie planu sześcioletniego nastąpił w kraju szybki rozwój prasy, jednocześnie rozszerzył się zasięg czytelnictwa. RSW „Prasa” u progu lat pięćdziesiątych stała się największym w kraju wydawnictwem prasowym. W 1950 r. wydawała 18 dzienników i 22 czasopisma (średni jednorazowy nakład wynosił ponad 6,6 mln egz.), w 1956 r. — 43 dzienniki i 87 czasopism (nakład — ponad 13 mln egz.), a trzy lata później — 42 dzienniki, 82 czasopisma (nakład — 12,5 mln egz.). W tej dekadzie zaszły korzystne przemiany w obliczu polskiej prasy, a także zmiany organizacyjne przejawiające się m.in. w likwidacji delegatur i tworzeniu wydawnictw.

Lata pięćdziesiąte, szczególnie pierwsza ich połowa, nie były okresem łatwym dla prasy i dziennikarzy. Podobnie, jak to było w Warszawie, i w Łodzi dały o sobie znać zjawiska kryzysowe. Stopniowa poprawa sytuacji i stabilizacja nastąpiły w końcu lat pięćdziesiątych. Wtedy to m.in. pojawiło się sporo nowych tygodników powiatowych, z których znaczna część, po okrzepnięciu i ukształtowaniu profilu przejęta została przez RSW „Prasa”. W przypadku Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego dotyczyło to **„Życia Pabianic”, „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” i „Ziemi Łęczyckiej”.**

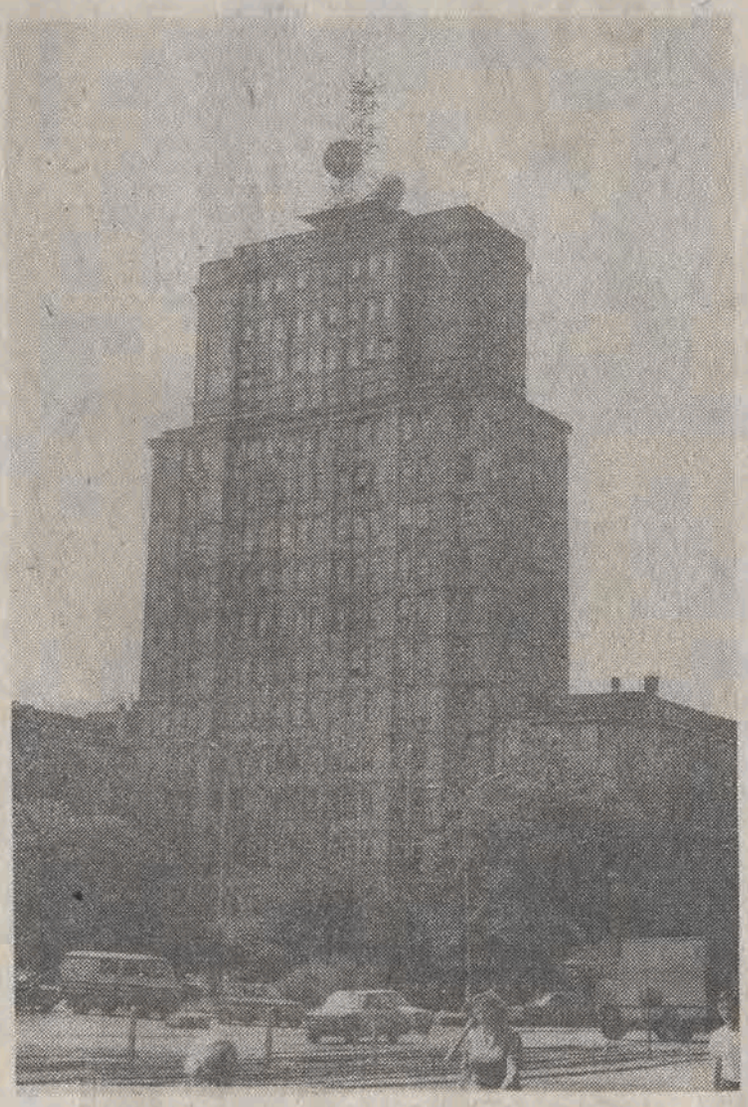

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w okresie znacznej aktywizacji całego społeczeństwa, powstało sporo nowych tytułów. 17 stycznia 1957 r. ukazała się **„Karuzela”**, 3 marca 1958 r. — **„Odgłosy”.**

W lata pięćdziesiąte łódzka delegatura RSW „Prasa” weszła z trzema dziennikami mającymi ugruntowaną pozycję na rynku czytelniczym: „Głosem Robotniczym”, „Dziennikiem Łódzkim” i „Expressem Ilustrowanym”. W 1958 r. doszło do nieudanego mariażu „Dziennika” z „Expressem”, w wyniku czego powstał **„Łódzki Express Ilustrowany”** (red. naczelny — Stanisław Mojkowski). Po kilku latach (1956 r.) powrócono do dawnej koncepcji wydając dwa odrębne dzienniki, noszące tytuły sprzed 1953 roku.

W tym okresie doskonalono również model „Głosu Robotniczego”. Próby dostosowania tej gazety do potrzeb i aspiracji mieszkańców ówczesnego woj. łódzkiego zaowocowały kilkunastoma mutacjami (m.in. „Głos Piotrkowski”, „Głos Pabianic”), na łamach „GR” stosowano różnorodne formy dziennikarskie i ulepszano szatę graficzną. Na ostatecznym kształcie gazety zaciążył jednak ówczesny model propagandy, co było m.in. przyczyną znacznego spadku średniego nakładu w drugiej połowie lat pięćdziesiątych.

Do końca lat pięćdziesiątych „Głos” utrzymywał rozległą sieć korespondentów zakładowych, którzy dostarczali redakcji sporo interesujących materiałów. Działający przy „GR” Klub Korespondentów umożliwiał gazecie utrzymanie żywej więzi z robotnikami. Współpracę z korespondentami rozwijał również „Dziennik Łódzki”. Temu celowi służyły także liczne akcje i konkursy organizowane przez gazetę.

W latach pięćdziesiątych narodziła się nowa tradycja — organizowania uroczystych spotkań gazety z czytelnikami, połączonych z imprezami kulturalnymi i festynami ludowymi.

Mówiąc o korzystnych zmianach w prasie łódzkiej w latach 50, nie można pominąć poprawy warunków pracy i troski o wypoczynek dziennikarzy i pracowników administracji. We wrześniu 1951 r. redakcja „Głosu Robotniczego” przeniosła się z siedziby przy ul. Piotrkowskiej 86 do budynku przy ul. Piotrkowskiej 96. W nowym lokalu, oprócz pomieszczeń redakcyjnych, wygospodarowano także miejsce na Klub Dziennikarza. W końcu lat pięćdziesiątych, dzięki wysiłkom pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, zaczęto budować zakładowy ośrodek wypoczynkowy w Sulejowie nad Pilicą, który z czasem stał się miejscem relaksu dla pracowników RSW z całego kraju.

Wspominając lata pięćdziesiąte nie można pominąć bezustannego doskonalenia modelu przedsiębiorstw wydawniczych RSW „Prasa”, które zaowocowało przekształceniem wielu delegatur w wydawnictwa. **W 1957 r. powstało Łódzkie Wydawnictwo Prasowe.**

Nadeszły lata sześćdziesiąte. Żywiołowy rozwój telewizji nie zahamował jednak ekspansji prasy, która coraz pełniej prezentowała przemiany zachodzące w naszym kraju, doskonaliła społeczno-ekonomiczną edukację Polaków. U progu tej dekady RSW „Prasa” wydawała 125 tytułów (średni jednorazowy nakład ok. 12,4 mln egz.), w 1969 r. — 196 tytułów. W tych latach dały już znać o sobie kłopoty z papierem, stanowiące znaczną barierę w rozwoju prasy.

W nocy z 20 na 21 listopada 1968 r. ogień strawił zecernię ręczną i mechaniczną Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa” przy ul. Żwirki 17, gdzie drukowano łódzką prasę. Tylko dzięki pomocy drukarzy m.in. Warszawy i Częstochowy wkrótce w kioskach pojawiła się ponownie prasa łódzka. „Głos Robotniczy” po pożarze po raz pierwszy wydrukowano w całości w Łodzi już 18 grudnia 1968 r., „Gazetę Ziemi Piotrkowskiej” — w czerwcu 1969 r.

W tym nieszczęściu była jednak odrobina nadziei. Oto bowiem 3 listopada 1967 r. przy ul. Armii Czerwonej 28 dokonano uroczystego wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę nowej drukarni. Ludziom tworzącym łódzką prasę przyszło jednak pracować jeszcze kilka lat w bardzo trudnych warunkach, zanim w grudniu 1973 r. dokonano oficjalnego otwarcia Prasowych Zakładów Graficznych.

Z lat sześćdziesiątych na uwagę zasługują jeszcze inne fakty dotyczące dziejów ŁWP. W 1961 r. RSW „Prasa” przejęła **„Gazetę Ziemi Piotrkowskiej” i „Życie Pabianic”**, w następnym roku — **„Ziemię Łęczycką”**. Tym sposobem ŁWP stało się wydawcą 3 dzienników i 5 czasopism, zatrudniającym w 1968 r. 120 dziennikarzy.

Przemiany polityczno-społeczne w kraju po grudniowym plenum KC PZPR w 1970 r. spowodowały też aktywizację dziennikarzy i korzystne przeobrażenia w prasie. Proces ten nie ominął również gazet i czasopism ŁWP. Na łamach prasy, szczególnie „Głosu Robotniczego”, pojawiło się sporo artykułów zarówno opisujących przemiany w kraju, jak i inspirujących, nie brakowało też licznych akcji i konkursów wiążących gazety z czytelnikami. Obecność dziennikarzy w nurcie przemian w pierwszych latach tej dekady przejawiła się m.in. w zainicjowaniu przez „GR” wielkiej akcji zbiórki pieniędzy na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, w zorganizowaniu konkursu „Każdy dzień na wagę złota”, w prezentowaniu sylwetek ludzi dobrej roboty.

Zespoły redakcyjne z zadowoleniem powitały w 1973 r. zakończenie budowy i uruchomienie nowej drukarni prasowej przy ul. Armii Czerwonej 28. Aczkolwiek wkrótce okazało się, iż z powodu ciasnoty nie spełniła ona wszystkich oczekiwań, jej uruchomienie stanowiło niewątpliwie postęp w porównaniu z dotychczasowymi warunkami. Przypomnieć w tym miejscu należy, iż po pożarze w 1968 r. druk prasy łódzkiej odbywał się w szczególnie trudnych warunkach.

24 września 1973 r. wydrukowano pierwszy numer „Głosu Robotniczego” przygotowany całkowicie w nowej drukarni.

1 stycznia 1975 roku RSW „Prasa”, decyzją Biura Politycznego KC PZPR przemianowano na RSW „Prasa-Książka-Ruch” jako centralną organizację wydawniczą partii, prowadzącą wielostronną działalność propagandową.

Wraz z wprowadzeniem w połowie lat siedemdziesiątych (1 czerwca 1975 r.) dwustopniowej struktury władz i administracji terenowej oraz związanego z tym nowego podziału administracyjnego kraju zreorganizowano model prasy terenowej i zasady jej funkcjonowania. „Głos Robotniczy”, który pozostał przy dotychczasowej nazwie, objął swoim zasięgiem województwa: łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie, na tymże terenie ukazywał się **„Dziennik Popularny”** (dotąd „Dziennik Łódzki”). Wkrótce dla potrzeb „Głosu” utworzono w województwach ościennych oddziały terenowe, swoich korespondentów miał także „Dziennik”.

Zmiany w zasięgu oddziaływania codziennej prasy terenowej spowodowały konieczność zreformowania dotychczasowego systemu mutacji terenowych. Od 1 lipca 1975 r. „Głos” i „Dziennik” zaczęły się ukazywać w dwóch mutacjach: miejskiej i terenowej.

W związku z nowym podziałem administracyjnym kraju, z końcem 1977 r. zaprzestano wydawania tygodnika „Ziemia Łęczycka” (z mutacją „Wiadomości Kutnowskie”). W Łęczycy i Kutnie zaczął się ukazywać „Tygodnik Płocki”.

na str. IV

R.S.W. KSIĄŻKA PRASA RUCH

Sabina Czarnecka

W 1968 r. kierownik biura, Marek Milski, wyjechał na zawsze z kraju. Jego miejsce zajęła Sabina Czarnecka. Była to jej pierwsza praca na eksponowanym stanowisku.

— W tamtych latach Biuro Ogłoszeń przy ul. Piotrkowskiej 96 nie było zbyt popularne. Długa była jedynie rubryka: zguby. Gubiono przede wszystkim legitymacje szkolne i służbowe, dowody osobiste, pieczątki firmowe.

— W końcu lat sześćdziesiątych — wspomina — na kolumnie ogłoszeniowej zaczęło pojawiać się coraz więcej reklam przedsiębiorstw handlowych.

Starsze koleżanki i koledzy z ŁWP pamiętają Sabinę Czarnecką jako dziennikarza „Głosu Robotniczego". Jak trafiła do redakcji?

— Pracowałam w kadrach Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Po jakimś czasie skierowano mnie do Wojewódzkiej Szkoły w Łodzi, której dyrektorem była towarzyszka Regina Wojskowska. Naszymi egzaminami zainteresowała się m.in. niezwykle sympatyczna redaktor Irena Kawczakowa. Widocznie wpadłam jej w oko, gdyż zaproponowała mi pracę w „Głosie Robotniczym". Jak sobie radziłam? Odbyłam krótką rozmowę z ówczesnym szefem tego dziennika, Groszkiewiczem, a ten skierował mnie do działu rolnego, którym kierował Wacław Malisz.

A potem był dział ekonomiczny, którym kierował Jerzy Krygier. Pracowała w nim Halina Żyżka, Marian Kordos, Eugeniusz Szczepaniak. Po jakimś czasie zdecydowałam się na przejście do pracy w Biurze Ogłoszeń i wcale tego nie żałuję.

Przez 2 lata Sabina Czarnecka przebywała na zasłużonym odpoczynku. Kiedy zaistniała konieczność szybkiego zaangażowania nowego kierownika Biura Ogłoszeń i na prośbę dyrektora Wydawnictwa, Sabina Czarnecka wróciła do dawnej pracy, a gdy nadarzyła się sposobna okazja, powierzyła swoją funkcję Jadwidze Nasińskiej.

Szczęśliwe dni pracy zawodowej przypominają Sabinie Czarneckiej odznaczenia państwowe, jakimi ją uhonorowano, a w tym m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal „Za zasługi dla RSW", Medal 40-lecia PRL i Honorowa Odznaka Miasta Łodzi.

Tadeusz Jezierski

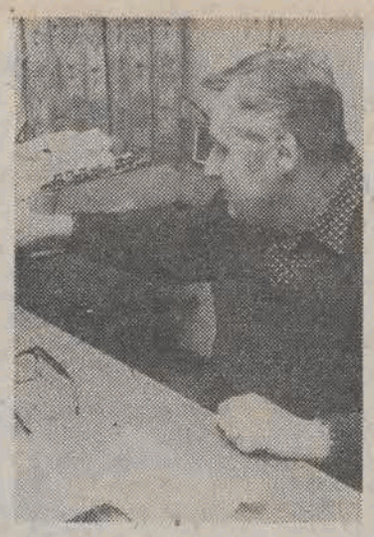

Tadeusz Jezierski — rocznik 1929 — rozpoczął pracę w bankowości. Z działu kontroli funduszu płac przeszedł w 1961 roku do ŁWP. Przez 16 lat pełnił funkcję inspektora BHP, ale jak sam mówi, nie było to jego powołaniem. Wyniesione z banku umiejętności zaprocentowały w rachubie płac. Od 1986 roku Tadeusz Jezierski jest kierownikiem tego działu.

Z efektami pracy Tadeusza Jezierskiego oraz dwu innych osób tego działu każdy z zatrudnionych w Wydawnictwie ma do czynienia przynajmniej raz w miesiącu, jest to kontakt raczej przyjemny, odbywa się bowiem w dniu wypłaty. Zanim to jednak nastąpi, rachuba ma sporo roboty.

Co miesiąc kolumny liczb składają się na niebagatelną sumę 8—9 milionów złotych, a bezbłędne przygotowanie listy wypłat dla blisko 500 osób nie jest sprawą prostą.

Czy taka żmudna i, co tu kryć, monotonna praca może być źródłem satysfakcji? Dla Tadeusza Jezierskiego — jak sam mówi — tak, jeśli pieniądze wypłacone są w terminie, jeżeli nie ma pomyłek. Te na szczęście zdarzają się rzadko, ale bywają.

Marzeniem Tadeusza Jezierskiego jest, by czasochłonne przygotowywanie list wypłat zastąpił komputer, który miałby wpisane w pamięć dane dotyczące każdego pracownika.

Zofia Ignaczak

Chyba wszyscy zwracają się do niej: Zosiu lub pani Zosiu. Dotyczy to także dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — Piotra Sagana, redaktorów naczelnych: „Głosu Robotniczego" — Krzysztofa Pogorzelca, „Dziennika Łódzkiego" — Henryka Walendy, „Expressu Ilustrowanego" — Adama Lewaszkiewicza, jak i woźnych, sprzątaczek wszystkich, którym Zofia Ignaczak świadczy usługi w Klubie Dziennikarza.

Do prasy trafiła w 1958 r. Pomagała doświadczonej kierowniczce bufetu. Potem przez trzy lata sama prowadziła bufet. Jakże on był wówczas fantastycznie zaopatrzony. To prawda, w tamtym okresie również w sklepach niczego nie brakowało.

Wbrew pozorom prowadzenie bufetu w Klubie Dziennikarza nie jest zwykłą formalnością. Ma się tutaj do czynienia z klientelą, która często przy „pół czarnej" szuka natchnienia do twórczej pracy. Klub jest miejscem spotkań towarzyskich, spotkań z przedstawicielami władz, organizacji politycznych, społecznych, z dziennikarzami krajowymi i zagranicznymi.

Atmosfera w Klubie w dużym stopniu zależy od pani Zosi, od jej życzliwego stosunku do robiących zakupy i od jej operatywności. Pani Zosia wykazuje na co dzień jeszcze więcej zalet, a poza tym wita i żegna każdego klienta czarującym uśmiechem. Czyż nie jest to miłe i sympatyczne?

W dzieciństwie pani Zofia miała szczególnie ciężkie chwile. W drugim roku wojny hitlerowcy wysiedlili część rodziny Ignaczaków z okolic Lublina do Warszawy na Pragę, a następnie na wieś w okolice Łukowa. Matkę pozostawiono w domu, gdyż była ciężko chora i wkrótce potem zmarła w samotności.

Maleńką Zosią i jej trojgiem rodzeństwa opiekowała się babcia. Ojciec, aby utrzymać dom zajmował się handlem. Wieczorem w jego mieszkaniu spotykali się partyzanci. Tu zapadały decyzje, którego żandarma czy zdrajcę należy zlikwidować. Słowa zamieniano w czyn. Zosia dobrze o tym wiedziała. A kiedy nieco podrosła sama pomagała partyzantom.

Ojciec pani Zosi wpadł w ręce gestapo i wszelki ślad po nim zaginął. Osierocona Zosia z rodzeństwem wraca do rodziny na wieś, a następnie osiedla się w Łodzi. Nawiązuje kontakt ze Związkiem Młodzieży Polskiej, staje się członkiem tej organizacji, która pokieruje dalszym losem młodej dziewczyny. Skieruje ją do pracy w magazynie technicznym Szkoły Filmowej w Łodzi, przy ul. Targowej oraz ułatwi naukę w szkole wieczorowej. Później już o własnych siłach pani Zosia podejmuje pracę w prasie. Tu wstępuje do PZPR, tu rozwija swój talent handlowca, tu znajduje prawdziwą radość życia.

Jerzy Kałużka

W Dziale Wydawniczym ŁWP codziennym tematem nr 1 jest papier. Codziennie na druk „Głosu", „Dziennika" i „Expressu" potrzeba go przeciętnie 12 ton, na jednorazowy nakład pozostałych czasopism — 20 ton. Sporo to, a jeśli jeszcze dodamy mozaikę formatową, bez trudu zrozumiemy, jak trzeba się gimnastykować, by kolejny numer „Głosu" czy „Tygodnika Piotrkowskiego" ukazał się bez spóźnień spowodowanych brakiem papieru.

Jerzy Kałużka — pracownik ŁWP od 1962 roku — kierownik Działu Wydawniczego od sierpnia 1965 roku, jak mało kto w firmie zna „kuchnię" papierową. Czy zabrakło kiedykolwiek papieru na druk gazety?

— Oczywiście — odpowiada. — Przed laty, w nocy dowieźliśmy do drukarni kilka bel papieru, by wydrukować gazety, bo wagon z transportem przeznaczonym dla nas ugrzązł gdzieś na bocznicy i dopiero po 14 dniach trafił do Łodzi. W marcu 1987 r. wagon papieru z Myszkowa jechał do nas 10 dni. W tym ostatnim przypadku dopomogli nam koledzy ze Śląskiego Wydawnictwa Prasowego, pożyczając papier na druk „Dziennika" i tygodników.

Ten dział istnieje od narodzin Wydawnictwa. Od 1951 r. kierował nim poprzednik Jerzego Kałużki — Eugeniusz Kukulak. Był to świetny fachowiec, niegdyś szef Delegatury Łódzkiej „Czytelnika". On właśnie wprowadził Jerzego Kałużkę w pełne tajemnic „papierowe podwórko" Wydawnictwa. Wówczas w dziale tym pracowali m.in.: Wiktoria Mikołajew, Franciszek Witczak, Jerzy Lulewski. Była jeszcze i brygada papieru, w skład której wchodzili m.in.: Waldemar Kudra, Józef Misa i Marian Woźnica.

Jerzy Kałużka, wspomagany na co dzień przez Ankę Winczakiewicz i Janusza Szewczyka, rozwiązuje sporo skomplikowanych zagadek. Np. „Głos Robotniczy", w zależności od objętości, wymaga różnego formatu papieru. A w magazynie nie ma odpowiedniego zapasu. Trzeba wówczas chwytać za telefon i dzwonić bezpośrednio do zakładu papierniczego np. w Szczecinie.

Magazyn papieru to zupełnie oddzielna historia. Niegdyś znajdował się przy ul. 1 Maja, następnie Wólczańskiej, Piotrkowskiej i Traugutta. W 1965 r. Wydawnictwo otrzymało pomieszczenia po dawnej cegielni przy ul. Orlej 17/19. Przy ul. Wydawniczej powstaje nowy, z prawdziwego zdarzenia magazyn papieru.

Przez Dział Wydawniczy ŁWP przewinęło się sporo ludzi. Tu m.in. stawiali pierwsze kroki w firmie znani dziś dziennikarze: Eugeniusz Iwanicki („Odgłosy") i Henryk Zawira („Głos Robotniczy"), tutaj także pracował Andrzej Gramsz, szef „Sztuki Polskiej" w Łodzi.

Jerzy Kałużka, autor wielu artykułów i twórca popularnych krzyżówek pochodzi z pobliskich Pabianic (rocznik 1932), gdzie też w tamtejszej mutacji „Głosu Robotniczego", będąc jeszcze w liceum, wydrukował pierwszą informację.

W 1951 roku związał się na dobre z „Głosem", potem współpracował także z „Dziennikiem Łódzkim" i z innymi pismami. W maju 1957 roku był jednym z założycieli „Życia Pabianic" — tygodnika istniejącego do dziś.

Znany jest jako człowiek bardzo aktywny zarówno w pracy zawodowej, jak i społecznej, przez 12 lat był I sekretarzem POP w ŁWP. Obecnie pełni funkcję przewodniczącego zespołu w Dzielnicowej Komisji Kontroli Partyjnej na Śródmieściu i działa w SD PRL.

Kazimiera Lesner

Na szarych drzwiach parteru Prasowych Zakładów Graficznych widnieje skromna, zielona tabliczka: „Dalekopisy". To tu właśnie mieści się „królestwo" pani Kazi, czyli Kazimiery Lesner.

— Dziennie przewija się przez nasze teleksy kilkadziesiąt co najmniej metrów taśm, a każda, poza oryginałem, posiada jeszcze dwie kopie, jako że te informacje, sprawozdania czy komentarze trafiają często do trzech redakcji równocześnie — mówi Kazimiera Lesner.

Pracę w dalekopisach rozpoczęła przed prawie czterdziestoma laty, w r. 1949, w redakcji „Głosu Robotniczego". Wówczas, w drukarni przy ul. Żwirki 17, dział dalekopisów — maszyny i cała ich obsługa —

stłoczone były w jednym, ciasnym i dusznym pomieszczeniu. Ale też wtedy, gdy nie znano jeszcze telewizji, a i radio miało zasięg ograniczony, dalekopisy były prawdziwą skarbnicą wszelkich nowinek i „gorących" jeszcze wiadomości. I bywało, że wszyscy pracownicy drukarni z zapartym tchem śledzili każdy kolejny znak, wyskakujący spod teleksowych czcionek, jak to było chociażby w czasie październikowych wydarzeń roku 1956, czy nieco później, już w roku 1961, gdy pierwszy człowiek poszybował w przestrzeń kosmiczną.

W gmachu przy ul. Armii Czerwonej 28, warunki pracy są o niebo lepsze, niż to dawniej bywało. A było przecież i tak, że po pożarze drukarni przy ul. Żwirki, dalekopisy — już połączone i pracujące na potrzeby wszystkich redakcji pod szyldem Działu Telekomunikacji — przeżywały kilkakrotne przeprowadzki: najpierw do drukarni dzielowej przy ul. Armii Ludowej, a później do drukarni wojskowej przy ul. Jerzego.

Dziś, gdy przyjdzie znużenie, można się odciąć od hałasu w szklanej „kabinie", zjeść spokojnie posiłek, wypić kawę, a nawet obejrzeć „kawałek" filmu na szklanym ekranie. Nigdy jednak w całości, bo teleksy — jak wszystkie rzeczy martwe — potrafią czasem być złośliwe i płatać figle, więc trzeba je cały czas uważnie obserwować. Chociaż pani Kazia — prawdę mówiąc — już bez patrzenia, tak „na ucho", wychwytuje wszystkie uchybienia, a i każdą maszynę z osobna potrafi poznać po jej stukocie.

Józef i Marian Misowie

Józef Misa, Marian Misa; pierwszy pracuje w Łodzi przy ul. Orlej 17/19, drugi — przy ul. Piotrkowskiej 96. Bracia. Wcześnie związali swój los z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym i nigdy go nie zdradzili. Pochodzą z niezamożnej rodziny na wsi lubelskiej Starszy z braci — Józef już w siódmym roku życia zmuszony był zarabiać na siebie u bogatych rolników.

Dopiero w wojsku poczuł Józef Misa mocny grunt pod nogami. W 1949 r. wdział mundur i nosił go przez 3 lata.

— Najbardziej utkwiło mi w pamięci rozminowywanie Gubina i pobliskiego wzgórza zwanego przez żołnierzy „Górą Śmierci" — wspomina Józef Misa. — Znajdowało się tam tak dużo niewypałów z okresu II wojny światowej, zwłaszcza zamaskowanych min, że do ich usuwania zaangażowano cały batalion saperów. Mimo to upłynęło wiele miesięcy, zanim mieszkańcy graniczącego z NRD Gubina i okolic tego miasta mogli bezpiecznie się poruszać.

Mówi się, że saper myli się tylko raz. Zdarzyło się to również Józefowi Misie. Przycinał specjalnymi nożycami wysoką trawę i chwasty w miejscu, gdzie znajdowała się mina. Nieopatrznie przeciął sznurek, do którego była przymocowana zawleczka. Nastąpił potężny wybuch i z twarzy sapera Józefa Misy popłynęła krew. Na szczęście nie były to groźne obrażenia. Pozostał po nich jednak ślad na twarzy żołnierza i na przegubie ręki.

— Pracę w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym — sięga pamięcią wstecz Józef Misa — rozpocząłem w 1953 r., w charakterze magazyniera papieru. Przeszkody pomagali mi pokonywać: kierownik działu wydawniczego — Eugeniusz Kukulak i kierownik działu gospodarczego — Karol Bukowski.

Józef Misa jest magazynierem papieru. Posiada duże doświadczenie i niezbędny zasób wiedzy, która ułatwia mu rozwiązywanie spraw i problemów związanych z zapewnieniem papieru gazetowego dla „Głosu Robotniczego", „Dziennika Łódzkiego", „Expressu" i dla innych redakcji.

R.S.W. KSIĄŻKA PRASA RUCH

Józef Misa uzyskał w wojsku stopień kaprala, a w Wydawnictwie uhonorowano go Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Medalem 40-lecia PRL.

— W 1955 r. odwiedziłem brata Józefa w Łodzi — wspomina Marian Misa. Po kilku dniach, dokładnie w poniedziałek — 1 sierpnia o godzinie 7, zgłosiłem się do pracy w magazynie papieru, a w 30 minut później pomagałem już innym robotnikom zatrudnionym w transporcie. Była to moja pierwsza praca. W dzień ładowało się na samochody 500—600-kilogramowe rolki papieru, które trzeba było dostarczyć do magazynu, a następnie do drukarni przy ul. Żwirki. Wszystko robiło się ręcznie. Posiadaliśmy podobne do szewskich fartuchy skórzane, które zakładało się na ubranie robocze, a mimo to już po 3—4 miesiącach były one poprzecierane i trzeba je było naprawiać bądź wymieniać na nowe.

Od kilkunastu lat Marian Misa jest palaczem w kotłowni ŁWP przy ul. Piotrkowskiej 96. Jego poprzednik się nie sprawdził i kierownik działu gospodarczego — Karol Bukowski namówił Misę, aby podjął się nowego zadania. Tutaj trzeba pracować w „świątek — piątek", ale mniejszym nakładem sił. Niezbędna jest samokontrola.

Uwieńczeniem, choć na pewno nie jedynym, ponad 30-letniej pracy p. Mariana w ŁWP jest jego dekoracja Brązowym i Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 40-lecia PRL i Odznaką Wzorowego Pracownika.

Celina Perzyńska

W lutym 1945 roku, jako sekretarka trafiła do „Głosu Ludu", w czerwcu towarzyszyła narodzinom „Głosu Robotniczego". Po 27 latach przeszła na emeryturę, ale tak naprawdę w „Głosie" pracuje do dziś.

Urodziła się w Łodzi jeszcze przed wybuchem I wojny światowej. Uczyła się w Państwowym Gimnazjum im. Emilii Szczanieckiej, a potem Cecylii Waszczyńskiej. Od 1932 r. do 1937 nie mogła znaleźć pracy, gdy zatem powstało w Łodzi Państwowe Pedagogium wstąpiła na tę uczelnię. Wybuch II wojny światowej i lata okupacji stanowiły trudny okres w jej życiu. Kulminacyjnym momentem było wywiezienie jej w sierpniu 1944 r. do kopania rowów pod Sieradzem.

W „Głosie Robotniczym" powierzono jej nadzór nad administracją redakcji. Zajmowała się wówczas dziesiątkami najróżniejszych spraw: poczynając od zakupu kwiatów na uroczystość, zdobywania benzyny do samochodów, a kończąc na wypłacie pensji dla dziennikarzy

R.S.W. KSIĄŻKA PRASA RUCH

i odwiedzaniu w domu chorych pracowników redakcji. Pilnowała też porządku w redakcji, o czym najlepiej wiedziały sprzątaczki, którym nie darowała żadnej „fuszerki".

W 1972 r. Celina Perzyńska przeszła na emeryturę. Nie oznaczało to jednak odejścia z redakcji, bowiem wkrótce zajęła się przygotowywaniem dorocznych czerwcowych Dni „Głosu Robotniczego". Tak jest zresztą do dziś. Zastać ją można niemal codziennie w siedzibie Komitetu Organizacyjnego, gdy siedzi nad rachunkami i innymi dokumentami.

Red. Irena Kawczakowa nazywała Celinę Perzyńską „tytanem pracy". Wielki to komplement dla skromnej, wątłej kobiety. A przecież już przed prawie czterdziestu laty nadano jej w firmie tytuł przodownicy pracy.

Przełożeni i koledzy z redakcji doceniali jej trud, ale zapominali o Perzyńskiej przy wręczaniu odznaczeń czy dyplomów. Dopiero przed laty naprawiono to przeoczenie. Za wieloletnią pracę za olbrzymie zasługi dla gazety uhonorowano ją Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bronisław Płuciennik

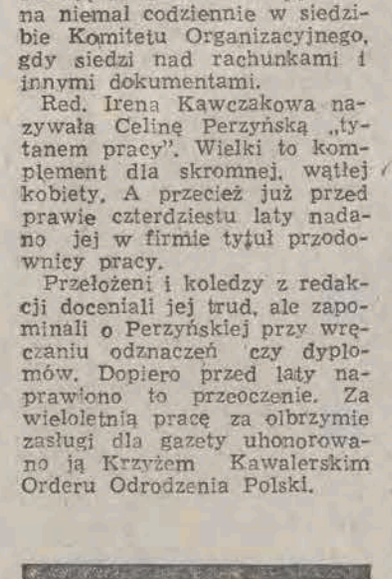

Spośród anegdot wiążących się z redakcją „Dziennika Łódzkiego" ta z pewnością należy do najczęściej przypominanych i zawsze wywołuje u słuchaczy huragan śmiechu.

Otóż dawno, dawno temu, gdy Bronek był jeszcze piękny i młody, miał on — praktykowany codziennie — zwyczaj kordialnego witania się z redaktorem naczelnym, a był nim niezapomniany Stanisław Mojkowski. Wyglądało to tak: Bronek zamaszystym krokiem wchodził rano do sekretariatu naczelnego, otwierał drzwi do jego gabinetu i kłaniając się wołał: „Cześć Stasiek".

„Moja" o tej porze zwykle jeszcze nie było, za to byli pracownicy sekretariatu. Z początku podziwiano Bronusia, z czasem wszyscy do tego przywykli, mówiono: — „Ot, poprawia sobie samopoczucie".

Aliści pewnego razu Bronek okropnie się naciął. Gdy jak zwykle otworzył drzwi do gabinetu „Moja", zresztą nawet już tam nie zaglądając i zawołał radośnie: — „Cześć Stasiek!" — zza drzwi odpowiedział mu głos szefa: — „No i co tam, Płuciennik? Co u was słychać?"

Bronek w jednej chwili zamienił się w słup soli i tylko z jego twarzy można było odczytać co przeżywa. Najpierw zbladł, potem spurpurowiał, a następnie czmychnął gdzie pieprz rośnie. Nie można go było znaleźć przez kilka godzin, a dobry tydzień upłynął, zanim wrócił do jakiej takiej równowagi.

Naturalnie martwił się zupełnie niepotrzebnie, ponieważ „Moj" bardzo lubił Bronka, podobnie jak wszyscy późniejsi szefowie, jak cały zespół, jak my teraz. Dobry przykład znajdziemy w opowieści dyrektora Wydawnictwa — Piotra Sagana.

— Wkrótce po tym, jak zacząłem tu dyrektorować, zostałem wezwany do Warszawy, do Zarządu Głównego. Starannie przygotowałem się do pierwszej audiencji u prezesa Mojkowskiego, zabrałem z sobą plik dokumentów, byłem gotów odpowiedzieć na każde pytanie dotyczące gospodarki w Wydawnictwie, nakładów, zwrotów, płac itd. Zameldowałem się o ustalonej godzinie; wychodzi prezes, podaje rękę — jak to miał w zwyczaju — „z biodra", zaprasza do siebie i mówi: „To wy, Sagan, jesteście teraz nowym dyrektorem... No, to posłuchajcie, mam do was trzy sprawy. Po pierwsze — Trębski musi spokojnie doczekać emerytury. Po drugie — nie wolno zrobić krzywdy Matuszyńskiemu. A po trzecie — szanujcie Płuciennika".

I na tym audiencja zakończyła się. To było wszystko, co „Moj" miał mi do powiedzenia przy pierwszym spotkaniu. Znowu ręka „z biodra" — i do widzenia!

Bronek Płuciennik jest człowiekiem samotnym, redakcja zastępuje mu rodzinę — i on wszystkich traktuje jak rodzinę. Tak wiele w nim pasji, chęci bycia użytecznym i zwyczajnego (zwyczajnego?) ludzkiego dobra.

Wstyd się przyznać, ale pewnie dlatego, że taki poczciwy, koledzy lubią robić mu rozmaite psikusy. Kiedyś na przykład dwaj koledzy, wiedząc, że Bronuś jest u siebie — i do tego bardzo czymś zajęty — po cichu przysunęli mu pod drzwi szafę stojącą na korytarzu. Niczego nie zauważył! Dopiero gdy chciał wyjść, a drzwi trafiły na opór... Nie, tego co się potem stało — co się rozpętało! — żadne pióro nie opisze. Przecież jednak wkrótce się wypogodził.

Innym razem dwaj zastępcy szefa i sekretarz redakcji powierzyli mu bojowe zadanie: trzeba kupić do redakcji akwarium.

— A po diabła nam akwarium?! — zawołał Bronek. — I dlaczego akurat ja!!

— Broneczku, kierujesz administracją czy nie? A akwarium jest potrzebne, bo interesanci przychodzą czasem z dziećmi, długo czekają w kolejce do radcy prawnego, dzieci się nudzą — a tak będą miały jakieś zajęcie. W końcu może być akwarium w drukarni — sam widziałeś, prawda? — więc może być i w redakcji.

Mówili to najpoważniej w świecie, a w nim gotowało się coraz bardziej.

— A kto będzie karmił rybki? Ja na pewno nie!

— Ty nie musisz. Znajdź kogoś, kto kocha zwierzęta, i nałóż na niego taki obowiązek. Ale przede wszystkim zorientuj się w dyrekcji Wydawnictwa, jak stoimy z pieniędzmi. Jakieś fundusze powinny się przecież znaleźć. No i musisz pójść do sklepu zoologicznego, wybrać ładne rybki — a pamiętaj, żeby były pary: samczyk i samiczka...

— Przecież ja się na tym nie znam! — Bronek był już bliski załamania.

— Nie szkodzi, wybierzecie razem ze sprzedawcą.

No i Bronek poszedł do dyrekcji starać się o fundusze...

Następnego dnia, jak zwykle, wszystko wróciło do normy.

Sławomir Topolski

Na „Tajwanie" — jak żartobliwie nazywana jest baza transportowa przy ul. Armii Czerwonej 28 — nie ma nadmiaru pojazdów. Jak w tej sytuacji pomóc dziennikarzowi? Sławomir Topolski posiada rozeznanie, gdzie znajdują się pojazdy, zna ich dokładny czas powrotu do bazy, a gdy się pojawią, kieruje je tam, gdzie jest to konieczne.

Ale jaka jest gwarancja, że kierowca nie nawali?

— W przeszłości — mówi szef bazy transportowej — różnie bywało. W rezultacie ci, którzy uważali, że „za dużo od nich wymagamy, rozstali się z ŁWP. Obecnie mam załogę ustabilizowaną i chętną do pracy. Kogo bym wyróżnił? W Dziale Transportu zatrudnionych jest 25, przeważnie młodych, lecz z niezbędnymi kwalifikacjami kierowców, z których większość należałoby pochwalić.

Rzadziej niż w innych latach słyszy się o awariach samochodów. Dokonali tego mechanicy: Ireneusz Górski, Wiesław Halusiak i Zbigniew Łuczak. Nie wypuszczą z warsztatu samochodów, jeśli ich stan techniczny nie daje gwarancji, że będą posłuszne woli kierowców.

Dział Transportu, w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, funkcjonuje od 1947 roku. Był on zlokalizowany przy ul. 1 Maja. Za kierownicą samochodów zasiadali w tamtych latach: Bernard Suchan, Mieczysław Mankiewicz, Wacław Trębski. Nie jeżdżono wówczas limuzynami. Były to samochody z demobilu: „Merdeces" i „Chevrolet", dwa samochody ciężarowe firmy „Renault" o nośności 2,5 t każdy oraz tej samej firmy — mikrobus. Później bazę transportową przeniesiono do obiektu ŁWP przy ul. Piotrkowskiej 96, a od 1974 roku — na „Tajwan".

Zmieniali się kierownicy Działu Transportu. Na liście tej znajdują się: Klejment, Ostrowski, Szymański, Wasiak, Konicki, a od stycznia 1973 roku aktualny kierownik — Sławomir Topolski.

Do grona osób najdłużej pracujących w Dziale Transportu należą: Bernard Suchan, Wacław Trębski, Jerzy Ignatowicz, Wacław Zen, Mieczysław Gralczyk, Mieczysław Mankiewicz, Władysław Kłosek oraz nieżyjący już: Stanisław Mankiewicz i Józef Wojciechowski. Aktualnie najdłużej, bo 30 lat, pracuje w Dziale Transportu Jan Kreczkowski, a stażem 18-letnim legitymują się: Ireneusz Górski, Jan Dąbrowski i Juliusz Rybiński.

Henryk Rudnicki-Hendryk

Od czerwca 1945 r. aż do śmierci w kwietniu 1980 r. związany z „Głosem Robotniczym", wychowawca wielu pokoleń żurnalistów, autor niezapomnianych felietonów „Ze środy na piątek", drukowanych nieprzerwanie przez ćwierć wieku!

Urodził się 23 października 1905 r. w rodzinie stolarza. Po ukończeniu szkoły powszechnej rozpocząć musiał pracę zarobkową. Był gońcem, sprzątał w składzie aptecznym, by w 1922 roku zostać w końcu urzędnikiem. Dokładna obserwacja życia łodzian spowodowała, iż zetknął się z komunistami.

W maju 1929 roku został korektorem w „Kurierze Łódzkim", a niedługo potem dziennikarzem. Przez kilka lat redagował dodatek cotygodniowy „Mały Kurier", przeznaczony dla dzieci.

24 stycznia 1945 r. H. Rudnicki wraz z przybyłym z Lublina Aleksandrem Litwinem wydaje pierwszy numer „Wolnej Łodzi". Ukazało się 6 numerów pierwszej powojennej gazety łódzkiej. Kilka miesięcy później jest wśród współtwórców „Głosu Robotniczego".

W połowie lat pięćdziesiątych zostaje kierownikiem działu miejskiego. 31 sierpnia 1955 r. ukazuje się jego pierwszy felieton z cyklu „Ze środy na piątek". Początkowo poruszają one sprawy drobne, dotyczące codziennego życia, z czasem felietony stają się znakomitymi opowieściami pełnymi wiedzy i mądrości życiowej. „Hendryk" — tak je podpisuje przez lata — staje się najpopularniejszym dziennikarzem „Głosu".

W listopadzie 1956 r. inicjuje akcję odbudowy zniszczonego przez hitlerowców pomnika Tadeusza Kościuszki. Jest wśród tych, którzy przyczyniają się do likwidacji wielu dymiących kominów. Dziennikarskie akcje H. Rudnickiego wywołują żywą reakcję czytelników.

Lata siedemdziesiąte przyniosły wiele znakomitych felietonów poświęconych dziejom Łodzi. Tylko w latach 1973—1974 ukazały się 82 tego typu materiały z cyklu „Kartki z dawnych lat". W tymże okresie H. Rudnicki wydrukował ponadto 93 felietony ze stałego cyklu „Ze środy na piątek". Ten imponujący dorobek uhonorowany został w 1974 roku Nagrodą Miasta Łodzi.

11 kwietnia 1980 roku, na łamach „Głosu" ukazał się jego felieton pt. „Czas generalnych porządków". Dzień później H. Rudnicki nie żył. Na Cmentarzu Komunalnym przy ul. Smutnej żegnali go koledzy i wierni czytelnicy.

Stefania Sebastiani

Jej zakres obowiązków wypisany jest maczkiem na kilku stronicach. Czegóż tam nie ma? — nadzorowanie pracy sekretariatu dyrektora i jego zastępców, rozdzielanie i ewidencjonowanie korespondencji, wystawianie delegacji służbowych, łączenie telefoniczne szefów i prowadzenie różnorodnych rejestrów, a do tego kierowanie pracą maszynistek, gońców i oczywiście robienie herbat i kaw. Wszystko na barkach jednej osoby — sekretarki naczelnego dyrektora, Steni Sebastiani.

Gdyby zakres obowiązków był kilka razy dłuższy i tak nie zawierałby wszystkich spraw, którymi na co dzień musi się zajmować. A przecież Stefania Sebastiani to także nasza Kasa Zapomogowo-Pożyczkowa, jak to często mówimy. Trzeba bowiem wiedzieć, iż już w połowie lat sześćdziesiątych z pomocy kredytowej Kasy korzystało ponad 300 członków i sporo wysiłku wymagało dokonywanie wypłat i pilnowanie wszystkich spraw finansowych.

Urodziła się w Łodzi w 1933 r. Rok później straciła ojca, w czasie wojny — matkę. Dopiero więc po wyzwoleniu mogła się zabrać do nauki. Z wielkim trudem, ale i zapałem goniła czas, który zabrała jej wojna.

W kwietniu 1948 r. przyszła do pracy w RSW „Prasa". Miała wówczas 15 lat i uczęszczała jeszcze do szkoły. Została gońcem. A że spisywała się dobrze i zaczęła uczęszczać do gimnazjum przy ul. Trębackiej, dano jej wkrótce pracę w Biurze Reklam i Ogłoszeń.

Zanim trafiła do sekretariatu naczelnego dyrektora pracowała jeszcze przez jakiś czas w księgowości pod okiem wielkiego fachowca — p. Wojtkowskiego. Chyba w 1953 roku została maszynistką w sekretariacie. Gdy odeszła Janina Szapert zajęła jej miejsce.

Sekretariat firmy to takie miejsce, do którego wiodą drogi wszystkich pracowników. Każdego trzeba przyjąć jednakowo grzecznie, udzielić informacji, a czasem pomóc. Dla gości jest to ponadto wizytówka firmy, więc trzeba się starać, by wyglądała ona korzystnie. Stenia Sebastiani mówi, że sekretariat prowadzić trzeba jak gospodarstwo domowe — skrupulatnie i bez fuszerki.

Posiada Złoty Krzyż Zasługi, Medal 40-lecia PRL i Odznakę „Za Zasługi dla RSW „Prasa-Książka-Ruch", nie brak też odznaki związkowej, bo przecież od lat „trzyma" Kasę Zapomogowo-Pożyczkową.

Pani Stenia uchodzi za osobę bardzo cierpliwą, wyrozumiałą i pogodną. Taki też był jej mąż Tadeusz, przez wiele lat związany z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym. Pracował latem w sulejowskim ośrodku wypoczynkowym towarzysząc właściwie jego narodzinom, a potem systematycznej rozbudowie. Wielu wczasowiczów zapamiętało właśnie jego humor, uśmiechniętą ciągle twarz. Zmarł nagle w Sulejowie w 1986 roku.

Edward Uzdański

Nie był rodowitym łodzianinem. Urodził się 12 sierpnia 1903 r. w Warszawie w rodzinie inteligenckiej. W czasie I wojny światowej wraz z rodziną wyjechał w głąb Rosji, gdzie zetknął się z ruchem rewolucyjnym. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości znalazł się w kraju. W gimnazjum, do którego trafił, założył wkrótce kółko komunistyczne. Oczywiście ta działalność nie mogła ujść uwadze władz. Jako działacz Związku Młodzieży Komunistycznej i KPP wielokrotnie trafiał do więzienia.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej ewakuowany został w głąb Związku Radzieckiego, gdzie początkowo pracował jako robotnik w kołchozie. W 1942 r. był już dziennikarzem w zespole redakcyjnym sekcji polskiej rozgłośni radiowej w Saratowie, a następnie w Kujbyszewie.

Wkrótce Uzdański znalazł się w szeregach powstającej I Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Brał udział w bitwie pod Lenino.

Na początku 1945 r. był już w kraju. Przybył do Łodzi, gdzie natychmiast przystąpił do pracy partyjnej. Po przeniesieniu do tego miasta redakcji centralnego dziennika PPR „Głosu Ludu", został jej sekretarzem, pełniąc jednocześnie obowiązki sekretarza d.s. propagandy Komitetu Łódzkiego PPR. W tym czasie wiele jego artykułów ukazywało się w „Trybunie Wolności" i „Głosie Ludu".

Po przeniesieniu redakcji „Głosu Ludu" do Warszawy, E. Uzdański został naczelnym redaktorem „Głosu Robotniczego". Wydawano „Głos" w bardzo trudnych warunkach, w starej drukarni poniemieckiej, w ciasnocie, bez zagwarantowanych dostaw papieru i innych materiałów niezbędnych do drukowania gazety. W tych trudnych warunkach E. Uzdański zdołał zorganizować zespół redakcyjny i bazę poligraficzną. Był delegatem na I Zjazd PPR, uczestniczył w Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS.

W lipcu 1950 r. objął obowiązki zastępcy przewodniczącego Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio". Z wielkim zapałem przystąpił do organizowania zespołu programów dla zagranicy, którym kierował do śmierci.

Podczas IV Zjazdu PZPR został zastępcą członka Komitetu Centralnego partii, jednocześnie pełnił obowiązki członka Zarządu Głównego SDP. Już wówczas zaczęła dawać o sobie znać nieuleczalna choroba.

Mimo choroby nadal pracował, redagował audycje. W nocy z 1 na 2 listopada 1967 r. zmarł w jednym z warszawskich szpitali. Pochowano go w Alei Zasłużonych na Powązkach.

R.S.W. KSIĄŻKA PRASA RUCH

Wacław Zen

Pracowałem w kilku miejscach. Najpierw w zakładach im. Wiosny Ludów, potem jako kierowca w Komitecie Wojewódzkim PZPR, następnie przez trzy lata byłem taksówkarzem, a w końcu lat pięćdziesiątych trafiłem do prasy, po paru tygodniach pracy w Wydawnictwie przydzielono mnie do dyspozycji redakcji „Expressu" i tak już zostało, aż do mego przejścia na emeryturę w grudniu 1979 roku...

Tak krótko przedstawił się Wacław Zen, jeden z najpopularniejszych i najsympatyczniejszych pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. Jak nikt znał Łódź, potrafił dopomóc szybko dostać się na miejsce, na pilną obsługę. Był niewyczerpaną kopalnią podpowiedzi, które raczkujący dziennikarze traktowali — i słusznie — jak inspirację. Na ogół celną...

— Najmilej wspominam „stary", dobry „Express", ten z czasów, gdy jeszcze się było młodym, a i wydarzenia z tamtych lat jakoś sympatycznie tkwią mi w pamięci. Byłem wraz z ekipą dziennikarską — świadkiem akcji ratunkowej po katastrofie kolejowej w Babach, największej i najtragiczniejszej w historii polskiego kolejnictwa. Wstrząsający widok: wszędzie zniekształcone, zmiażdżone zwłoki ludzkie, straszliwie pokaleczeni ranni, to cięcie palnikami wagonów, by uratować jeszcze jedno życie ludzkie.

— Przez te lata miałem tylko jeden wypadek, a i to nie zawiniłem ja, lecz ciężarówka, która uderzyła z tyłu w naszą redakcyjną „Wołgę". To przykra sprawa, bo Basia Drzewińska, którą tak lubię, doznała wtedy poważnej kontuzji i długo się leczyła.

— Przez te dwadzieścia lat chyba tylko trzy lub cztery Sylwestry miałem wolne, przecież pamiętasz, z tobą też parę razy witaliśmy Nowy Rok przy robocie. W „zimę stulecia", gdy na Jacka Michonia, Gienka Kudaja i mnie przypadł sylwestrowy dyżur, nie mogłem wyjechać: „Wołga" nie dała się wyprowadzić z zasypanego śniegiem garażu.

Wacek Zen nie jest „wypoczywającym" emerytem. Jego ruchliwa, aktywna natura wzdraga się przed bezczynnością. Więc pracuje — w Fabryce Szlifierek „Ponar-Jotes", jako starszy portier, w niepełnym wymiarze godzin. Łączy przyjemne („lubię pracować") z pożytecznym („dorobi się do emerytury"). Ale utrzymuje kontakt z kolegami.

Komu ogłoszenie?

Jadwiga Nasińska kieruje Biurem Ogłoszeń od kwietnia 1983 r. Przyszła kilka miesięcy wcześniej, a potem zastąpiła zmarłą Grażynę Rodzińską, pracownika ofiarnego i bardzo cenionego w firmie.

6 czerwca 1983 r. w wieżowcu przy ul. Sienkiewicza 3/5 otwarty został nowy, dodatkowy punkt przyjmowania ogłoszeń do prasy łódzkiej. W październiku 1986 roku filia stała się centralą, czyli Biuro Ogłoszeń przeniosło się do wieżowca. Zatrudnia kilkanaście osób.

Biuro Ogłoszeń przyjmuje codziennie zlecenia wartości około miliona złotych. Totalizator Sportowy, PZU i „Dom Książki" należą do stałych klientów. Właśnie zakłady i instytucje są „najbogatszymi" kontrahentami. Ale Biuro Ogłoszeń to także tysiące klientów indywidualnych, pragnących sprzedać działkę, motocykl, poszukujących garażu do wynajęcia czy oferujących różnorodne usługi.

Wraz z gustami czytelników zmieniają się i formy ogłoszeń. Niedawno pojawiły się w prasie ogłoszenia superekspresowe, drukowane z dnia na dzień, oczywiście za odpowiednio wyższą opłatą.

— Drukowanie ogłoszeń i reklam jest obwarowane wieloma przepisami — mówi Jadwiga Szczech — których wielu klientów po prostu nie zna. Przychodzą np. matki, pragnące w imieniu swoich synów dać ogłoszenie matrymonialne. Tymczasem wymagamy, by zainteresowany pojawił się osobiście i okazał dowód tożsamości, potwierdzający, iż nie jest żonaty.

W Biurze Ogłoszeń pracują same kobiety. Barbara Wasiak i Wanda Janiszewska najczęściej obsługują klientów bezpośrednio przy okienkach. Wiesława Bącela, Elżbieta Jakuszonek i Małgorzata Stawicka zajmuje się dokumentacją, która tutaj musi być szczególnie solidnie prowadzona. Małgorzata Stawicka sprawdza np. czy ogłoszenie opłacone przez klienta wydrukowane zostało w gazecie zgodnie z jego życzeniem.

Przez ręce Anny Kraśniuk przechodzą codziennie dziesiątki zleceń od instytucji. Równie odpowiedzialną robotę wykonuje Krystyna Płyta.

W dziejach Biura Ogłoszeń były różne chwile: radosne, gdy przybywało klientów i rosły wpływy, smutne — gdy wprowadzane od czasu do czasu nowe przepisy hamowały np. działalność reklamową wielu firm. Taki „dołek" był m.in. w 1977 r., gdy ówczesny premier zarządził obcięcie funduszów na reklamę. Ostanie lata nie są najgorsze pod tym względem. Sporo dochodów dostarczają także punkty ogłoszeń uruchomione już w końcu lat 70-tych w innych województwach.

Piotr Sagan — dyrektor ŁWP w latach 1974–87.

Bogdan Głowacki — główny księgowy ŁWP do roku 1978.

Tadeusz Lewandowski — dyrektor ŁWP w latach 1974—86.

Stanisław Mojkowski — redaktor naczelny „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego", „Dziennika Łódzkiego" i „Głosu Robotniczego".

Wiesław Bek — zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego", a następnie sekretarz KW PZPR w Łodzi.

Wojciech Drygas — naczelny redaktor „Karuzeli" do roku 1986.

Minęło 40 lat

ze str. I

Lata siedemdziesiąte przyniosły wiele korzystnych zmian dla prasy, ale zarysowujący się powoli kryzys społeczno-gospodarczy w kraju zaczął wkrótce wyciskać piętno i na obliczu gazet. Forsowanie tzw. propagandy sukcesu i scentralizowanie wielu decyzji wywarło szczególnie negatywny wpływ na funkcjonowanie prasy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, przyczyniło się do powstania wielu negatywnych zjawisk w zespołach redakcyjnych. Nie znalazło to co prawda jeszcze odzwierciedlenia w czytelnictwie prasy łódzkiej i w sprzedaży gazet oraz czasopism, ale zapowiadało zbliżający się szybkimi krokami kryzys.

Charakteryzując dekadę lat 70 warto przypomnieć jeszcze jedno wydarzenie: uroczyste obchody **30-lecia Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.** 23 maja 1977 r. w Klubie Dziennikarza spotkali się pracownicy firmy, przedstawiciele wielu instytucji i organizacji współpracujących z prasą oraz władz partyjno-administracyjnych czterech województw centralnej Polski. Wśród gości nie zabrakło delegacji „Freie Presse" w Karl-Marx-Stadt (NRD), od lat utrzymującej ożywione kontakty z zespołem redakcyjnym „Głosu" i ŁWP.

Wielu zasłużonych pracowników uhonorowano wówczas wysokimi odznaczeniami państwowymi. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: **Natalia Adamczewska, Eugeniusz Kudaj, Wiktoria Mikołajew i Teresa Wojciechowska.** Złoty Krzyż Zasługi wręczono m.in.: **Zofii Dombrowskiej, Jerzemu Kwiecińskiemu, Kazimierze Lesner, Stanisławowi Mankiewiczowi, Józefowi Misie, Marii Rapale i Zdzisławowi Strzępkowi.**

Nadeszły trudne lata osiemdziesiąte. U ich progu, wśród pracowników ŁWP nastąpiła polaryzacja poglądów i postaw. Mimo sytuacji kryzysowych, przeważająca część zespołów redakcyjnych i pracowników administracyjno-technicznych pozostała wierna nadrzędnym ideom, godnie służąc społeczeństwu i partii. Przejawiło się to m.in. podczas strajków i tzw. dni bez prasy, gdy mimo kłopotów gazety trafiały do czytelników. Widoczne to było także podczas dyskusji i szukania dróg porozumienia.

Ogłoszenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku spowodowało duże zmiany w Wydawnictwie. Przede wszystkim zaistniały w końcu warunki do uporządkowania wielu spraw i ustawienia ich na odpowiednie tory. Po ogłoszeniu stanu wojennego rozwiązano praktycznie wszystkie zespoły redakcyjne ŁWP i stworzono jeden przygotowujący „Głos Robotniczy". Przez pewien okres dziennik partyjny ukazywał się jako jedyna gazeta na obszarze 4 województw (tylko 1 mutacja miejsko-terenowa). Brak początkowo czynnych łączy telefonicznych, teleksowych zmusił dziennikarzy do uruchomienia nasłuchu radiowego i korzystania z tego typu źródła informacji.

9 lutego 1982 r. rozpoczął się proces tworzenia nowych zespołów redakcyjnych w ŁWP. Jednocześnie w ŁWP kształtować się zaczęła nowa organizacja związkowa, początkowo w postaci zakładowej grupy socjalnej, po kilku miesiącach — grupy inicjatywnej tworzącej Związek Zawodowy Pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

W okresie lutego — kwietnia 1982 r., po przerwie spowodowanej wprowadzeniem stanu wojennego, wznowiono druk prasy ŁWP: 3.II. — „Tygodnik Piotrkowski", 11.II. — „Wiadomości Skierniewickie", 19.II. — „Dziennik Łódzki" i „Nad Wartą", 12.III. — „Express Ilustrowany", 1.IV. — „Życie Pabianic", 5.IV. — „Karuzela" i 8.IV. — „Odgłosy".

W latach osiemdziesiątych ŁWP wydawało łącznie 10 tytułów. Wśród wielu cennych inicjatyw zmierzających do powiększenia zysku firmy i spełnienia oczekiwań czytelników znalazło się przygotowywanie wielu wydawnictw pozaprasowych, np. redakcja „Głosu Robotniczego" wydała w 1985 r. „Klub Hi-Fi", „Expresu Ilustrowanego" — kilka nadzwyczajnych dodatków sportowych, „Odgłosów" — książkę pt. „Śmierć higieniczna. Opowiadania fantastyczne" (1985 r.). Warto też wspomnieć o cennej inicjatywie wydania w drugim półroczu 1986 r. 10 kolejnych poniedziałkowych wydań „Sportowego Expressu Ilustrowanego".

W listopadzie 1983 r. ŁWP zakupiło wieżowiec przy ul. Sienkiewicza 3/5, do którego, po niezbędnej adaptacji, w 1985 r. przeniesiono redakcje: „Odgłosów", „Karuzeli", „Expressu Ilustrowanego" i administrację ŁWP, w 1984 r. zmodernizowano siedzibę redakcji „Nad Wartą" i Oddziału „Głosu" w Sieradzu, zakupiono 6 nowych pojazdów, w tym autokar marki „Jelcz", w ośrodku wypoczynkowym w Sulejowie wzniesiono pawilon sanitarno-magazynowy i 5 domków typu „Bieszczady", w roku następnym zakupiono kilka kolejnych nowych samochodów, w Sulejowie zmontowano 2 domki wypoczynkowe, a w 1986 r. wmurowano uroczyście kamień węgielny pod budowę magazynu papieru przy ul. Wydawniczej i przekazano wczasowiczom w sulejowskim ośrodku piękną świetlicę.

Z dniem 1 stycznia 1986 roku wszedł w życie nowy, korzystny system płacowy dla pracowników administracji ŁWP, podpisany przez kierownictwo firmy i przedstawicieli Związku Zawodowego Pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

Jak wynika z danych znajdujących się w Dziale Kadr przez firmę w ciągu 40 lat przeszło 3,5 tys. ludzi. To spora armia dziennikarzy i pracowników administracyjno-technicznych, bez których nie byłoby prasy. Wielu z nich całe życie spędziło w Wydawnictwie, inni oddali mu najpiękniejsze swoje lata, całą energię i zdrowie. Nie wszyscy dożyli 40-lecia. Pożegnaliśmy m.in.: **B. Głowackiego, E. Kokot, E. Kukulaka i Grażynę Rodzińską,** z dziennikarskiego grona odeszli m.in.: **F. Bąbol, A. Batorowicz, M. Jagoszewski, W. Koniecki, Z. Królewski, S. Mojkowski, J. Nieciecki, H. Rudnicki, Z. i P. Skibiccy, E. Uzdański i H. Żyżka.**

Za ofiarną służbę na rzecz społeczeństwa zarówno poszczególne redakcje, jak i pracownicy Wydawnictwa wielokrotnie byli nagradzani i honorowani. Liczne odznaczenia państwowe i resortowe, dyplomy uznania i podziękowania czytelników przekazywane m.in. w listach, świadczą, iż w ciągu minionych czterdziestu lat pracownicy Wydawnictwa dobrze służyli krajowi.

Łączność

Niemal nazajutrz po wyzwoleniu uruchomione zostało pierwsze połączenie telegraficzne na linii Warszawa—Łódź. Dokonał tego Ryszard Jaworski, przebywający obecnie na emeryturze, a wówczas pracownik miejskich służb telekomunikacyjnych. Wspomniane łącze służyło przede wszystkim potrzebom „Polpressu" przekształconego następnie w Polską Agencję Prasową. Do dyspozycji łódzkiej prasy oddano na początku amerykański dalekopis z demobilu, później zaś podobne urządzenie niemieckiej firmy „Lorenza".

W pierwszym okresie działalności porozprasz ane redakcje depeszowe: „Głosu Robotniczego", „Dziennika Łódzkiego" i „Expressu Ilustrowanego" przeniesiono na ul. Żwirki 17, tam, gdzie otwarto niebawem drukarnię. Wówczas przy dalekopisach pracowali: Kazimiera Lesner, Janina Borówko, Eugeniusz Kudaj, Włodzimierz Konicki oraz Zygmunt Owczarek. W 1946 r. do ekipy tej dołączył Jan Stanisławski, rozpoczynając pracę jako konserwator dalekopisów.

Z upływem lat ŁWP wzbogaciło się o nowe środki łączności. W 1962 r. stacja dalekopisowa otrzymała nowe telexy firmy RFT z NRD, co umożliwiło uzyskiwanie bezpośrednich połączeń z całym krajem. Pięć lat później zainstalowano telefoto — urządzenie pozwalające drogą kablową odbieranie zdjęć dla łódzkich gazet z Centralnej Agencji Fotograficznej. Poprzednio zdjęcia trafiały z Warszawy do Łodzi za pośrednictwem poczty, a te najpilniejsze dowożone były samochodami.

Po przejściu na emeryturę Jana Stanisławskiego funkcję konserwatora objął po nim syn, a zarazem uczeń, znakomity fachowiec — Janusz Stanisławski.

Pod kierunkiem Jana Stanisławskiego poznawał tajniki zawodu Ryszard Jaworski, syn Ryszarda Jaworskiego seniora, który uruchamiał pierwsze łącze telegraficzne dla łódzkiej prasy bezpośrednio po wyzwoleniu.

3 marca 1968 r. utworzono w ŁWP pierwszy, poza centralą warszawską, Dział Telekomunikacji. Jego kierownikiem został Ryszard Jaworski junior.

Wyjątkowo niepomyślnym okresem dla całej łódzkiej prasy, a tym samym również dla jej służby łączności był koniec lat sześćdziesiątych, kiedy to spłonęła drukarnia przy ul. Żwirki. Tylko dzięki ofiarności obecnych tam pracowników, którzy na własnych plecach wynosili cenne urządzenia, należy zawdzięczać fakt ich uratowania.

Placówka telekomunikacji przy ul. Armii Czerwonej wyposażona została w nowe urządzenia telegrafii nadakustycznej, które jako pierwsi uruchamiali: Ryszard Jaworski junior oraz Jerzy Pawłowski z warszawskiego Zakładu Telekomunikacji RSW „Prasa-Książka-Ruch" Urządzenia te wyposażone były w dziewięć łączy telegraficznych dla potrzeb „Trybuny Ludu" i wszystkich łódzkich gazet. Podobne urządzenia posiadała wówczas jedynie centrala PAP w stolicy.

Ryszardowi Jaworskiemu marzy się jeszcze wykorzystanie telewizji satelitarnej w codziennej pracy dziennikarskiej, myśli również o stacji magnetofonowej ŁWP, by w dniach, w których np. telexy są nieczynne bądź to z jakichś powodów nie pracują, nagrywać terenowe korespondencje dziennikarzy na taśmę magnetofonów, z której następnie maszynistka spisywałaby tekst. Marzy mu się również mikrokomputer z bankiem danych, zawierający np. wyniki sportowe sprzed lat, najważniejsze wydarzenia z życia Łodzi itp. Marzy mu się zupełne wyeliminowanie dalekopisów, a przekazywanie wiadomości bezpośrednio do pamięci komputera, zadiustowanie ich na monitorze i przekazywanie dalej bezpośrednio do drukarni na linotypy. Marzy mu się wreszcie by z biurek dziennikarskich zniknęły raz na zawsze maszyny do pisania, a ich miejsce zajęły komputery, na monitorze których w dowolny sposób można skracać, adiustować, poprawiać i oddawać do druku gotowe już materiały.

Autorzy tekstów: Stanisław Bąkowicz, Jolanta Bogdańska, Zygmunt Foltyński, Jacek Michoń, Ryszard Poradowski. Nina Smoleń, Krzysztof Spychała, Jerzy Szelewicki.

Foto: Grzegorz Gałasiński, Paweł Nowak i Witold Werner.

Opracowanie graficzne: Janusz Szymański-Glanc.

Korekta: Elżbieta Miziołek i Jolanta Sawiuk.

Nadzór techniczny: Stanisław Ciesonik.

Redakcja: Lucjusz Włodkowski.